

Ksenia Basztowa

WAMPIR

Z PRZYPADKU

przełożyła
Izabela Wiśniewska-Repeczko

Lublin 2009

PROLOG

O północy nabrzeże było opustoszałe. Jedyne w oddali, skąd dochodziły melodyjne dźwięki koncertu, w oknach czynnych do późna knajpek paliło się jeszcze światło. Słaby wiatr poruszał liśćmi drzew.

Samochód koloru pustynnej nocy powoli zahamował. Rozległ się szmer opon na rozgrzanym asfalcie, a po chwili ktoś bezszelestnie otworzył przednie drzwi. Niedopalony papieros niczym dogasający meteor rozbłysnął w powietrzu, przeleciał ponad żelazną balustradą i wpadł do wody.

- Nooo? - ze zniecierpliwieniem odezwał się siedzący z przodu mężczyzna. - I gdzie on jest?

- Na pewno zaraz się zjawi... - Kierowca leniwie zakaszłał.

Zaraz potem usłyszał za plecami głosy towarzyszy:

- Zamknij się! Nikt cię o zdanie nie pytał!

- Wybacz, szefie. - Szofer spuścił oczy.

Niebawem rozległ się odgłos kroków, a następnie słabe, stłumione pochrząkiwanie. Uwagę tego, którego nazywali szefem, przykuł nowo przybyły.

- Nooo?

- Wszystko gotowe, szefie - wydusił usłużnie mężczyzna. - Dom jest urządzony według pana gustu. Zastosowaliśmy się do wszystkich zaleceń.

Szef powoli wysiadł z samochodu. Spod marynarki na chwilę wysunęła się koszula barwy krwi.

- Ilu jest ich w mieście?

- Dwóch lub trzech. Wszyscy mieszkają tu od ponad dziesięciu lat.

- Jacyś uczniowie? Kontakty z władzami?

- Miejscowi gliniarze nic o nich nie wiedzą. Jeśli chodzi o uczniów, każdy ma nie więcej niż pięciu, góra sześciu. Ogółem około dwudziestu.

Szef w zamyśleniu oparł się o samochód.

- A co wiadomo na temat tych... kundli? - zapytał po chwili.

- Słyszałem, że zawarli coś w rodzaju rozejmu - odparł z wahaniem rozmówca.

- Możesz odejść.

Nowy skinął głową. Zrobił kilka kroków w tył i wyszedł z kręgu rzucanego przez latarnię światła, po czym rozpląnął się w ciemnościach letniej nocy.

Szef dłuższą chwilę stał nieruchomo, oparty plecami o samochód.

Szczęknął zamek w drzwiach. Zanim zdążyły się otworzyć, mężczyzna błyskawicznie pochwycił klamkę, pomagając młodej kobiecie wydostać się z tylnego siedzenia.

Dziewczyna leniwym krokiem przemierzyła pas zieleni oddzielający jezdnię od chodnika, zatrzymała się nad brzegiem rzeki i chwyciła za poręcz. Mężczyzna podążył za nią bez pośpiechu.

Od wody powiało chłodem.

- Ależ mi to wszystko obrzydło - cicho, z namysłem rzekła kobieta.

- Lidio, ja...

- Obrzydło! - powtórzyła stanowczym tonem z nutą nostalgii w głosie. - Co kilka lat rzucać wszystko i wyjeżdżać, wciąż się spieszyć... Mam tego dość. Mam dość życia w wiecznym strachu, obawie, że gdy tylko skręcę za róg, ktoś może mnie napaść. Mam dość tej całej Europy i tych podróży.

- Nie lubisz Europy? Pojedziemy do Ameryki, do Australii, dokądkolwiek zechcesz!

- Nie chcę nigdzie jechać! - niemal krzyknęła. - Czy ty niczego nie rozumiesz? Nie chodzi o miejsca, chodzi o to życie! Naprawdę tego nie widzisz?

Mężczyzna nie odpowiedział. Narzucił na ramiona dziewczyny marynarkę. Ten gest nie był niczym więcej, jak tylko przejawem kurtuazji - dziewczyna już od dawna nie była zdolna do odczuwania zimna. Mimo to przyjęła podarunek.

Przyjęła, chlipnęła cicho i położyła głowę na ramieniu kochanka, a on objął ją w tali.

Piękna mogłaby być z nich para. Mogłaby, gdyby nie dziwna bladość kobiety i cienka, biaława szrama szpecząca twarz mężczyzny.

CZEŚĆ PIERWISZA

ŻYWA LEGENDA! IŁOŚĆ SIĘ NIE LICZY!

O szóstej rano telewizor włączony przez jakiegoś idiotę na cały regulator uroczyście odegrał hymn. Grobowy harmider trąb, bębnów i tym podobnych instrumentów do wtóru z hukiem młota pneumatycznego w mojej głowie sprawił, że się obudziłem.

Złorzecząc cicho przez zaciśnięte zęby (głośno nie mogłem z powodu wspomnianej dolegliwości), bez otwierania oczu spełznięłem z wersalki i namacawszy przycisk na pilocie, wyłączyłem szklane pudło. Biorąc pod uwagę fakt, że zdołałem to zrobić, musiałem znajdować się w domu. A skoro tak, to żeby dotrzeć do kuchni i dorwać się do cudownego eliksiru z ogórków, wystarczyło wyjść z pokoju i skręcić... w lewo!

Kiedy z niewielką pomocą palców uniosłem powieki, poczułem, jak razi mnie niesamowicie jasne światło poranka (kto powiedział, że promienie słońca są przyjemne?!).

Doszedłem do wniosku, że najwyższy czas wstać. Po pięciu nieudanych próbach pokonałem wreszcie syndrom agresywnego chodnika - gdyby ktoś nie wiedział, mam na myśli sytuację, kiedy chodnik, a w tym przypadku podłoga, oddala się coraz bardziej i bardziej... aż w końcu zniemacka obija człowiekowi gębę. Doczłapałem do lodówki i wyciągnąłem trzylitrowy słój z błogosławioną wodą po ogórkach.

Kilka łyków i od razu jakby lepiej. Oto co kac robi z człowiekiem.

No tak, ale w jaki sposób doprowadziłem swój biedny organizm do takiego stanu? Zmusiłem szare komórki do pracy na wysokich obrotach i walcząc z bólem głowy przy pomocy wspomnianego już napoju, zacząłem sobie co nieco przypominać.

Wczoraj... a może wcale nie wczoraj? W każdym razie na pewno w piątek. W piątek o trzeciej po południu rodzice zabrali młodszego brata i wyjechali do domku letniskowego. Wcześniej doszli do wniosku, że będzie dla mnie lepiej, jeśli zostanę w mieście i spróbuję pobyć trochę bez ich nadzoru.

Nawiasem mówiąc, lepiej, żeby była sobota. Jak mnie mamuśka zobaczy w takim stanie, porządnie oberwę po uszach.

Powróćmy jednak do tematu. Co się działo później? Najpierw skakałem po kanałach telewizora, usiłując znaleźć coś lepszego od tych nadawanych bez końca talkshow, a gdy się poddałem i zamierzałem wyłączyć szklane pudło, ktoś zadzwonił do drzwi. Przyszedł „lekk” wcięty Wowka z kilkoma butelkami piwa.

- Słuchaj, brachu, skoro twoich starych nie ma w domu, może byśmy łyknęli? - zaproponował.

Chyba się opierałem, ale w końcu wytoczył argument koronny:

- Stary, Irka mnie rzuciła.

Wowka bez przerwy to się kłócił, to znów godził z Ireną, po pięćdziesiąt razy na dzień, bo przecież najważniejsze to znaleźć jakiś powód, zgadza się?

Ale do rzeczy. Kiedy osuszyliśmy wszystkie butelki piwa, kochany Wowka wyciągnął skądś pół litra samogonu, potem wódkę, potem koniak, potem znów piwo, potem ja znalazłem sake (zawsze myślałem, że to jakieś paskudztwo, a tu proszę - całkiem, całkiem), potem jeszcze jedną butelkę wódki, potem... potem Wowka rzygał. Kiedy doszedł do siebie, oznajmił, że zatrul się ciastem owsianym, które służyło nam za zakąskę. Na szczęście mój żołądek nie jest aż tak wrażliwy.

Ponieważ uznaliśmy, że mamy już dość w czubie, wyszliśmy na miasto. Co się działo później, pamiętam jakby przez mgłę... Zresztą, może później sobie przypomnę.

Odstawiłem kubek z niedopitą wodą po ogórkach i zrobiłem obchód po wszystkich pokojach, trzymując się ścian. Najwyraźniej niczego nie spaliliśmy, nie rozbiliśmy, ani nie przepiliśmy, a to już połowa sukcesu.

Posiedziałem chwilę na kanapie, a potem poszedłem się umyć. Gdy wlałem do łazienki, przypadkiem spojrzałem w górę - na świeżo wybielonym suficie widniały ślady butów. Przeniósłem wzrok na swoje nogi - no tak, byłem w butach. Rzuciłem okiem na podeszwę - wszystko się zgadza, cała w kredzie. Tylko jak ja to zrobiłem?

Pomyślałem, że kiedy już dojdę do siebie, zamażę ślady, bo inaczej rodzice mnie ukatrupią. Opłukałem twarz i zacząłem myć zęby, nie potrafiąc się wyzbyć wrażenia, że coś jest nie tak. Zerknąłem w wiszące nad zlewem lustro, szeroko rozdziawiając usta, by słodko ziewnąć. Ujrzałem własną nietrzeźwą fizjonomię: rozczochrane kasztanowe włosy, smutne brązowe oczy (nic dziwnego, przy takim głowy bólu... tfu, bólu głowy), dwudniowy zarost... A figa z makiem, nie będę się dzisiaj golić! Sprawy i tak przybrały dość nieoczekiwany obrót, tylko tego brakowało, żebym się jeszcze pozacinał na kacu. Tak sobie właśnie myślałem, gdy wtem, mniej więcej w połowie wydobywającego się z mojego gardła przeciągłego „aaaaa”, wybałuszyłem oczy.

Górne kły były zdecydowanie dłuższe od pozostałych zębów, a na dodatek chyba zaostrome. Jasne, nigdy nie miałem idealnego zgryzu, ale żeby do tego stopnia?! Ostrożnie przeciągnąłem kciukiem po jednym z kłów: na palcu pojawiła się krew. Jezu Chryste, w co ja się wpakowałem?!

Przed oczami przeleciały mi sceny ze wszystkich horrorów klasy „D” o wilkołakach i wampirach, jakie kiedykolwiek oglądałem.

Wyszedłem z łazienki i opadłem na fotel w pokoju gościnnym. Na stole leżała popielniczka i kilka paczek papierosów, jedna ledwie napoczęta, pozostałe puste. Wowka pali raz na sto lat, od wielkiego dzwonu. Ja, jeśli mam być szczerzy, nigdy jeszcze nie próbowałem, ale teraz nasza mnie nieodparta ochota.

Włożyłem jednego w usta, zaciągnąłem się niezbyt wprawnie, przestawiłem bliżej popielniczkę i... od razu odeszła mi ochota na wyroby tytoniowe. Obok papierosów leżał ołówek. Dopalony do połowy.

Cóż, to najwyraźniej nie był mój dzień.

* * *

Omiotłem pokój tępym wzrokiem, wyłapując kolejne dowody wczorajszej libacji - nasadzone na końcu żyrandola puste butelki, Kiciusia i Mruczusia pochrapujących cicho w dwóch różnych kątach pokoju, jakby urwał im się film. (Nie ma się z czego śmiać, nie moja wina, że tatko dostał w prezencie dwa szczeniaki ciao-ciao z zapewnieniem, że to NIESAMOWICIE PUSZYSTE kocięta. I co z tego, że miały czarne języki? Może od jagód!). Od obydwu dziwnie zalatywało walerianą czy czymś podobnym.

W końcu znudziło mi się lustrowanie pobjowiska po tej „uczcie w czasie dżumy”, więc wziąłem się w garść i zacząłem sprzątać. Później będę myśleć, w jaki sposób dorobiłem się tych zębów, o ile oczywiście zdołam sobie coś przypomnieć.

Do czwartej po południu uporałem się z bałaganem i dom lśnił aż miło, po czym znów zacząłem zachodzić w głowę, co się wczoraj wydarzyło.

Wczoraj...

Wczoraj, gdy już mieliśmy nieźle w czubie, poszliśmy na spacer. Po około półgodzinie bezsensownego wałęsania się po mieście dotarliśmy do... no jasne, do ogrodu botanicznego!

A dalej...

W ogrodzie spotkaliśmy jakichś tolkienistów, żwawo wymachujących mieczami. Chyba się nawet zdziwiłem, że przyjeźli akurat tam, zamiast pod Żmijówkę (mamy jedno takie miejsce, gdzie spotykają się elfy, hobbici, orkowie i inni popaprańcy).

Przez jakiś czas ich obserwowaliśmy, aż w pewnym momencie wydało nam się oburzające, że dwóch napadło na jednego. Wowa delikatnie poklepał po ramieniu stojącego bliżej napastnika, a kiedy tamten się odwrócił, walnął go w szczękę tak

mocno, że biedaczek nakrył się kopytami. (Rzecz jasna w przenośni! Tak naprawdę żadnych kopyt nie miał. Tak sądzę).

Potem ten napadnięty nakładł po gębie parzystokopytnemu, który, tak na marginesie, został sam na polu bitwy. Już po wszystkim przedstawił się nam i zaproponował swoje towarzystwo.

Włóczyliśmy się po mieście i zaczynał mnie morzyć sen, kiedy ten typek (w dodatku okryty klawym czarnym płaszczykiem) zapytał:

- Chłopaki, chcecie być nieśmiertelni?

Z tego co pamiętam, pomyślałem wtedy, że zamierza nas wciągnąć do tej tolkienowskiej paczki (mają tam taką grupkę nieśmiertelnych oraz taką, którą nazywają kopytnymi), więc się zgodziłem, mimo że nigdy specjalnie mnie nie interesowało żadne koło teatralne. Wowa postanowił pójść za moim przykładem.

Zdaje się, że właśnie wtedy w rękach tego Duncana McClauda ni stąd, ni zowąd pojawił się kindżał oraz bogato zdobiony złotem i drogimi kamieniami puchar.

Czarny Płaszcz przejechał nożem po nadgarstku, utoczył trochę krwi i podał nam kielich.

- Pijcie!

Aha, lepiej spadajmy, zanim uraczy nas jakimś spidem.

Zanim jednak zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Wowka radośnie pochwycił „kieliszek”, upił nieco jego zawartości, po czym z rozmysłem zamlaskał.

- Mmm, pychotka...

Wtedy i ja postanowiłem skosztować tego specyfiku. Pamiętam, że smakował trochę jak szampan, a trochę jak likier czekoladowy (gul, gul, gul...). Prawdopodobnie wypiłbym więcej, ale Czarny Płaszcz nagle wyrwał mi puchar z rąk i ryknął:

- Wystarczy!

Następnie postawił kołnierz i tyleśmy go widzieli.

Dziwna sprawa...

Gdybym więc miał wyciągnąć wnioski z wyglądu moich zębów - wampir ze mnie bez dwóch zdań. Ostrożnie zlizalem z palca plamkę zaschniętej już krwi. Tfu, ohyda!

No tak. Ludzka krew nie robi na mnie wrażenia. Może by tak zwierzęcej?

Złapałem Kiciusia za ogon i przyciągnąłem do wersalki. Pies leniwie powarkiwiał. Podniosłem go za przednie łapy, próbując namierzyć w tej kupie sierści szyję. Jeżeli prawdą jest to, co pokazują w filmach grozy i jeżeli ofiara wampira faktycznie nie reaguje na czynniki drażniące, to znaczy, że na moim ciao-ciao żeruje całe stado

wampirów, (rzecz jasna, po wypiciu litra waleriany na ryj) - pies flegmatycznie zmierzył mnie wzrokiem, liznął w nos i głośno zachrapał. To, że wciąż go oglądałem, nie robiło na nim najmniejszego wrażenia.

No dobra, nie będę go kąsał, zwłaszcza że raczej nie miałem na to ochoty.

Problem wciąż jednak pozostawał nierozwiązany, a ja nie bardzo wiedziałem, co robić... O, to jest myśl! Zadzwońię do Wowki i wspólnie udamy się na poszukiwania Czarnego Płaszczka, o ile rzecz jasna Wowka będzie w stanie. Poczłapałem do telefonu.

Najpierw usłyszałem sygnał, a po chwili jęczący głos „lekko” wciętego kumpla:

- Taaa?

Ciekawe, jak zareagowała jego matka na widok napranego synalka.

- Siemasz, Wowa, musimy pogadać. Wpadnij do mnie.

- Jaja sobie robisz, co? - zapytał udęczonym głosem. Kiedy jednak wypowiedziałem pewne znane zaklęcie, natychmiast się ożywił.

- Może browarek?

- Już leczę, pędzę!

To gadzina, nawet słuchawki nie odłożył!

A ja, no cóż... Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko skoczyć po piwo. Bezalkoholowe. Wystarczy mu tego, co wlał w siebie wczoraj. W pobliżu normalnego nie mieli, a nasz kochany Wowka to przecież światowiec, „Karmi” nie wypije, musiałem więc pójść aż na rynek.

Po jakichś dwóch kwadransach błądzenia między straganami w końcu znalazłem mniej więcej to, czego szukałem i zakupiwszy kilka butelek, wróciłem do domu. Wowa już tam czekał. Ubrany w eleganckie jasnoszare spodnie i kolorową koszulę w palmy i papugi, przestępował z nogi na nogę pod drzwiami mieszkania. Nie próbował nawet zadzwonić czy zapukać, tylko powtarzał monotannie:

- Andriej, otwieraj.

Po pięciu minutach znudziła mnie ta szopka i postanowiłem się ujawnić.

Wowka obrzucił mętnym wzrokiem graffiti nabazgrane na klatce przez miejscowych psycholi, po czym zapytał:

- To myśmy wczoraj wszystko wypili?

* * *

Władimir Dan lubi dowcipkować, więc wprowadziłem go czym prędzej do domu, poczęstowałem piwem i poszedłem przejrzeć zawartość apteczki. Dokopałem się do alka-seltzera, 2KC oraz aktywnego węgla. Zmieszałem to wszystko i tak przygotowaną wybuchową miksturą napoiłem Wowę, a sam uzbroiłem się w cierpliwość i czekałem na efekty.

Po dwóch godzinach, upewniwszy się, że Wowka nie zaproponuje odbiciu w lustrze bruderszaftu, zaprowadziłem go do łazienki i kazałem mu obejrzeć zęby, a potem pokazałem swoje.

Reakcja przyjaciela była, delikatnie mówiąc, niezbyt normalna:

- Klawo! Teraz będę mógł otwierać wino bez użycia korkociągu!

Podczas gdy ja, skołowany, próbowałem nadażyć za jego tokiem rozumowania, on zaczął ostukiwać ząbki, trochę nimi potarł, by sprawdzić, czy mocno siedzą, a potem dosłownie wyparował z łazienki.

Kiedy wreszcie po kilku minutach doszedłem do siebie i wróciłem do pokoju, moim oczom ukazał się kuriozalny widok: Wowka siedział na wersalce i wyciągał spomiędzy zębów spore kępki rudej sierści, a pod jego nogami leżał Mruczuś i co dziwne, lizał mu rękę.

Do reszty zgłupiałem.

- Chciałeś wyssać krew z mojego psa?!

Wowka, któremu nie udało się jeszcze wypluć wszystkich kłaków, z oburzeniem zmierzył mnie wzrokiem.

- No co ty, Andriej, z byka spadłeś? Ja tylko wziąłem go na rękę i pokazałem mu zęby. Przecież wiesz, że w horrorach zwierzęta boją się wampirów. A ten twój... - dłuższą chwilę próbował znaleźć właściwe określenie ale, nie mogąc wymyślić niczego odpowiedniego, wyraził się całkiem kulturalnie - stuknięty Mruczuś zaczął się do nich łąsić... Czego rechoczesz? Moja wina, że linieje?

Na szczęście na tym zakończyły się wszelkie próby pożarcia moich zwierząt i w końcu zdołałem namówić Wowkę, byśmy poszukali tego barana z kindziałem i czarą - z góry proszę wszystkie barany o wybaczenie.

Wowka nie miał nic przeciwko temu, żeby się przewietrzyć, ale przekonać go do szukania Czarnego Płaszca było znacznie trudniej. Jak przystało na prawdziwego prawnika (no dobra, nie do końca prawdziwego, do tej pory zaliczył tylko cztery lata), mój przyjaciel jest szczególnie wnikliwy, bystry i posiada analityczny umysł. W jaki

sposób wszystkie te cechy współgrają z jego wisielczym poczuciem humoru i paskudnym charakterkiem, tego po prostu nie jestem w stanie pojąć. Ale do rzeczy.

Kiedy Wowka nieco doszedł do siebie po wstrząsającej terapii pastylkowej, zapytał, gdzie zamierzam szukać Czarnego Płaszczka. Miasto jest tak duże, że gdybyśmy chcieli przetrząsać wszystkie ulice, zabrałoby nam to chyba cały miesiąc. Cóż, przyznaję, jakoś nie przyszło mi to wcześniej do głowy.

Wowka westchnął głęboko.

- Ech, ty początkujący tłumaczu... Może poszukajmy tam, gdzie go wczoraj spotkaliśmy? - zaproponował.

- Myślisz, że się uda? - zapytałem odrobinę przygnębiony. Szczerze mówiąc, zbił mnie z tropu, gdy mi uświadomił, że węszenie za tym typkiem to jak szukanie igły w stogu siana.

Wowka w milczeniu wzruszył ramionami.

- No to co, idziemy do ogrodu - mruknąłem.

* * *

Żwawo kroczyliśmy ulicą, rozglądając się za Czarnym Płaszczem, kiedy spotkała nas pierwsza nieprzyjemna sytuacja.

Wowka dostrzegł naprzeciwko dwie fajne dziewczyny, więc pomachał do nich i uśmiechnął się szeroko, ukazując wszystkie sześćdziesiąt cztery zęby. Bardzo przepraszam, trzydzieści dwa. Albo może szesnaście? Zawsze było u mnie cienko z matematyką. Czy chodzi raczej o biologię? Wszystko jedno.

Nie należymy z Wowką do piękniśków. Ja mam śniadą karnację, a Wowka szerokie plecy, rude włosy sięgające ramion i naiwne niebieskie oczka typowego głupiego Jasia. Nic więc dziwnego, że dziewczyny z krzykiem uciekły na drugą stronę ulicy.

Wowka spojrział na mnie zdumiony.

- A im co?

- Zamknij usta - burknąłem.

Na szczęście panienki w końcu sobie uświadomiły, że wampiry nie istnieją, więc tylko fuknęły:

- Idioci! Sztuczne zęby sobie poprzyczepiali! - I poszły.

Cóż, poszukiwania nie szły nam najlepiej.

Spod mojego domu do ogrodu botanicznego jest w linii prostej jakieś dwadzieścia minut piechotą. Szkopuł w tym, że kochany Wowka nie bardzo chciał iść prosto, wciąż zbaczając w zaułki.

W pewnym momencie znaleźliśmy się tuż przy szkole. Obrzuciłem szary trzypiętrowy budynek obojętnym spojrzeniem i szedłem dalej, ale Wowka przystanął nagle pod płotem.

- Te, Andriej, szkoła! Zajdziemy?!

Zmarszczyłem brwi.

- Zwariowałeś? Mamy lato, a w dodatku jest wpół do dziewiątej. Już dawno zamknęli. A poza tym to nawet nie jest nasza szkoła...

- A co za różnica, w której szyby powybijamy? Szkoła to szkoła!

Westchnąłem ciężko. Rozumiem, że nasz system edukacyjny jest niewiele wart, ale że aż do tego stopnia?

Sądząc po radosnej minie Wowki, chyba jednak aż do tego.

* * *

Szliśmy ulicą, mijając sklepy, które właśnie zamykano i domy, gdzie w oknach gasły już światła. Byliśmy prawie na miejscu, kiedy zza rogu dobiegł nas przeraźliwy krzyk kobiety. Przez chwilę świdrował ciszę, a gdy sięgnął szczytu, niespodziewanie zamarł. Bez chwili wahania ruszyliśmy sprawdzić, co się dzieje. Wowka potracił mężczyznę, który stanął nam na drodze, nasłuchując, cóż to za hałasy przeszkadzają mu w wieczornej przechadzce.

Przyjemnie jest spacerować ulicami po zmroku - palą się latarnie, witryny czynnych jeszcze sklepów oświetlają chodniki... Tylko że, niestety, tak to wygląda tylko w centrum, a na obrzeżach miasta to i sam diabeł nogi połamię.

W zaułku, z którego dobiegł nas krzyk, paliła się tylko jedna latarnia, pod którą... leżała zwinięta w kłębek drobna dziewczyna. Pochylał się nad nią, wczepiony zębami w jej szyję, potężny kafar. Wyjątkowo przerośnięty jak na mój gust.

Cała scena raczej nie przypominała udzielania pierwszej pomocy.

- Hej, chłopczyku, zostaw ją! - wrzasnął Wowka, podchodząc bliżej. Daje słowo, naoglądał się amerykańskich filmów o komandosach.

Kafar wyprostował się. Światło latarni oblało jego twarz i kiedy zobaczyłem usta umazane krwią, znieruchomiałem.

Jak w najgorszym horrorze.

- Odwalcie się, śmiertelnicy! - ryknął napastnik, szczerząc zęby. Błysnęły białe kły. - Macie szczęście, że nie jestem głodny!

Auuu, wujciu Stefciu Kingu, gdzie jesteś?

Tymczasem Wowa tracił resztki rozumu.

- Kogo nazywasz śmiertelnikami? - Podkasał rękawy i zrobił kolejny krok.

Wampir - bo jak inaczej nazwać tego przerośniętego komara? - szybkim, ledwie zauważalnym ruchem doskoczył do Wowki i... nadział się cennymi ząbkami na jego pięść. Wowa swego czasu trenował boks i najwyraźniej nauka nie całkiem poszła w las.

Ciszę nocy przeciął kolejny krzyk, który niebawem przerodził się w ciche skomlenie. Potomek księcia Drakuli, przyciskając dłonie do ust i wydając z siebie dźwięki, jakich nie powstydziliby się sowa, zniknął w ciemnościach.

Podeszliśmy do dziewczyny. Przykucnąłem, położyłem jej rękę na ramieniu i ostrożnie nią potrząsnąłem:

- Ej, wszystko w porządku?

Głowa dziewczyny opadła bezwładnie najpierw na jedną, a potem drugą stronę. Nie wyglądało to zbyt dobrze. Coś mi podpowiadało, że to nie omdlenie. Szyja wyginała się jakby pod nienaturalnym kątem. Jakby.

- Andriej! Ona tylko straciła przytomność, prawda?!

W głosie Wowy usłyszałem szczerą niepokój. Chłopak był naprawdę wystraszony.

- Nie znam się na medycynie, ale... ona chyba nie oddycha. I to wcale nie oddycha! Pulsu też nie wyczuwam... O rany, maaamusiu kochana!

- Facet, nogi za pas! Zaraz się tu zbiegnie psiarnia, a potem udowodnij takim, że nie jesteś wielbłądem. Szczególnie z ząbkami jak twoje! - Wowki jak zwykle nie opuszczało poczucie humoru. Psiakrew, sam po uszy w g... gnoju tkwi, a jeszcze na docinki mu się zbiera. Łeb zakuty!

Kiedy znaleźliśmy się w bezpiecznej odległości, spojrzałem do tyłu. Długie jasne włosy opadały gęstymi loczkami na twarz dziewczyny, całkowicie ją zasłaniając.

Przez jakiś czas szlajaliśmy się po ciemnych zaułkach, zanim dotarliśmy do feralnego ogrodu botanicznego. Dlaczego ci tolkieniści z ząbkami nie siedzieli wtedy w Słowicznym Gnieździe koło Żmijówki?

- Do diabła, gdybyśmy tam dotarli odrobinę wcześniej, jeszcze by żyła! - Wowka od niechcienia kopnął kamień, który potoczył się w ciemność za moimi plecami.

Nagle usłyszeliśmy zdławiony jęk, a zaraz potem w połowie urwane przekleństwo, ale szczerze mówiąc, ani ja, ani Wowka nie zwróciliśmy na to uwagi.

- Wowa, przestań się obwiniać.

Nie wiem, jak on, ale ja byłem zupełnie oszołomiony. Najchętniej napiłbym się wódki, położył, zamknął oczy i nie myślał o niczym.

- Przestań. Przestań! Co przestań?!

Najchętniej to bym się zalał w trupa. A rodzicie niech się wstydzą, że mnie zostawili samego!

Nie odpowiedziałem. Pograżony w wisielczym nastroju Wowka mamrotał coś pod nosem. Sam bym z chęcią pomamrotał, ale moje myśli zaprzętało teraz „drzewo genealogiczne” wampira, o którym nie przestawał mówić. Nagle wbił we mnie wzrok:

- Nie mogę tylko zrozumieć jednej rzeczy.

Żeby tu się cokolwiek kupy trzymało!

- Czyli?

- Jeżeli ten typek jest wampirem, to w takim razie kim my jesteśmy?

- Ich zapytaj!

- Kogo?

- Tych za tobą.

Mój drogi kolega obejrzał się momentalnie, a ja zdębiałem, nie do końca świadomy, co właściwie zaszło. Kiedy Wowa kopnął kamień, w ciemnościach niczego nie potrafiłem dostrzec, a teraz... Teraz za plecami kumpla widziałem jak na dłoni mniej więcej piętnastu kafarów. Co więcej, widziałem równie wyraźnie, że wszyscy byli tacy miliiii, uśmiechnięciu i głodniii.

Na przedzie stał nasz znajomek Komar z rozbitą szczęką.

- O, fo fe gafy bewwębne na mnie napafli! - oznajmił, niezbyt kulturalnie wytykając nas palcem.

Matko i córko, zdaje się, że potrafię przenikać wzrokiem ciemność! Tyle, że jakoś tak wybiórczo. Wampiry widzę doskonale, ale poza nimi - zupełnie nic. Może widzę tylko to, co niebezpieczne?

Wowka groźnie strzelił palcami i odezwał się uprzejmym tonem:

- Podejdź bliżej, chłopcze. Zaraz ci takiego gafa bewwębnego pokawę, tfu, pokażę, że ci gwiazdy przed oczami zamigotają!

Komar zbladł i schował się za plecami kolegów, a Wowka, chcąc wystraszyć go jeszcze bardziej, wyszczerzył długie i zaostrome zębki w szerokim uśmiechu.

Lepiej by było, gdyby tego nie zrobił - zębaci zajarzyli, że napadł ich swój i wtedy rozległ się kolejny dziki okrzyk:

- Bić renegatów!

O rety! Nigdy nie przypuszczałem, że potrafię tak szybko przebierać nogami.

* * *

Kiedy robiłem już piąte czy szóste kółko wokół ogrodu botanicznego, potknąłem się i upadłem. Chciałem wstać, ale między łopatkami poczułem tak silny ból, że momentalnie odechciało mi się wykonywać jakiegokolwiek ruchu.

Po chwili ktoś bezceremonialnie złapał mnie za fraki i postawił na nogi. Dwóch kafarów chwyciło mnie za ręce, a trzeci wsadził mi niemyte łapy w usta, pewnie po to, by sprawdzić, czy te moje zęby są prawdziwe.

Pamiętam wizyty u dentysty z dzieciństwa. Mama za każdym razem musiała mnie namawiać: „Andriusza, otwórz buzię, żeby ten wredny, okropny doktor mógł wyciągnąć z niej palec”. Myśl, że wstręciuch z brudnymi rękami ma mi grzebać w gębie, nie napawała zbytnim entuzjazmem, więc niewiele myśląc, zacisnąłem szczęki na palcach tego, pozał się Boże, stomatologa. Skoro z piąchy nie można, trzeba próbować innymi podręcznymi (a dokładniej - podzębnymi) metodami.

Napastnik zawył niczym kastrat, który postanowił dorobić sobie jako sygnalizator dźwiękowy na skrzyżowaniu, po czym zaczął rozpaczliwie wyszarpywać palce. Rzecz jasna bezskutecznie.

Po jakimś czasie stwierdził, że odgrywanie piskorza nie przyniesie rezultatów, więc z donośnym rykiem walnął mnie w brzuch. Zabolało wystarczająco, bym otworzył usta i zaczął ciężko dyszeć. Kumple początkującego stomatologa wciąż trzymali mnie za ręce, więc nie mogłem się zgiać i stałem wyprostowany jak struna.

- Łobal pwebwydły! - wycedził mój oprawca.

Ach tak, przecież to nasz znajomy Komar po kłarantannie.

- Sam jesteś robał przebrzydły! - nie pozostałem mu dłużny.

Zwykło się mawiać: jeśli drzwi do serca są zamknięte, należy zapukać do wątroby. Tyle zdążyłem pomyśleć, zanim wielka pięść wylądowała na moim czole. Potem zobaczyłem gwiazdy, a sekundę później urwał mi się film.

* * *

Noc. Prawie nie słychać kroków. To miasto... niczym się nie różni od innych: ludzie, wilkołaki, nocni łowcy. A jej nigdzie nie ma. Tak samo jak tego, dzięki któremu stała się tym, czym teraz jest.

Miasto niczym się nie różni od innych, tylko że... Wcześniej nikt nie ważył się na nikogo napadać. Czyżbym odnalazł właściwą drogę?!

Nie było wykolejeńców.

Po raz pierwszy od tylu lat... Czy to dobrze, czy źle?

* * *

Oj, ale mnie łupie w czaszce! Aż się mózg lasuje. Wolno rozkleiłem oczy. Wszystko wokół falowało i poruszało się jak na statku. Jakbym miał chorobę morską. Na szczęście udało mi się jakoś powstrzymać mdłości i zebrać do kupy niemal każdą część ciała z osobna.

Pokój, w którym się znajdowałem, wyglądał elegancko: na ścianach i suficie sztukateria, marmurowe kolumny... Każdy nowobogacki rozpęknąłby się z zawiści. Pomieszczenie było puste, jeśli nie liczyć stojącego w przeciwległym kącie śmiesznego, obitego tkaniną krzesła z wygiętymi nóżkami.

Z trudem odwróciłem głowę. Cały ten miły obrazek zepsuł widok skutego Wowki: pod okiem wyrastała mu śliwa, miał rozciętą brew i opuchnięte wargi. Ja zresztą nie wyglądałem lepiej i trzymałem się na nogach tylko dzięki około piętnastocentymetrowym kajdanom, mocno przytwierdzonym do ściany nad moją głową.

Wowa otworzył oczy i spojrzał na mnie z ukosa.

- Czego się gapisz? Kijowo wyglądam?

Nie mogłem wydobyć z siebie ani słowa, tak mi było kijowo. Zwiesiłem tylko głowę, a potem ją uniosłem. Wowka prawidłowo rozszyfrował znaczenie gestu. Uśmiechnął się i powiedział:

- Szkoda, że nie widziałeś, jak oni wyglądają...

- A ty widziałeś?

- Jasny gwint! Jak ci się udało takie długie zdanie wymówić?!

- Żartowniś.

Nagle tuż obok głośno skrzypnęły drzwi (sygnalizacja, psiakość!) i do pokoju (choć jak tam pokój, do diabła, sala, nie pokój) wkroczył wysoki, dwudziestotrzyczteroletni mężczyzna. Nad jego górną wargą widniała cienka, smolista linia wąsika. Nosił czarny prosty garnitur i koszulę czerwoną jak krew w żyłach. Jego wygląd psuła jedynie blada szrama, zaczynająca się tuż przy lewym oku, ciągnąca przez cały policzek, przechodząca obok kącika ust i kończąca na podbródku. Wąska i długa szrama.

Z drugiej strony moją matkę rajcował widok Jeoffreya de Peyraca, chociaż jego twarz była oszpecona jeszcze bardziej. Ach, te kobiety, któż je zrozumie?

- No, no, niezły strojniś - zauważył cichym głosem Wowa. - Mógłby chociaż krawat założyć, Banderas niedorobiony!

Facet chyba usłyszał krytyczną uwagę, ale tylko zacisnął wargi, po czym podszedł bliżej. Za jego plecami dreptał w miejscu „bewwębny” kafar, lękliwie uciekając wzrokiem po kątach. Trzech łysych, napompowanych koleś nieśmiało wśliznęło się do pokoju i stanęło przy drzwiach.

Banderas, jak go całkiem trafnie ochrzcił Wowa, uniósł lekko rękę, dając jakiś znak, a Komar w mgnieniu oka podał mu zapalone kubańskie cygaro. Mężczyzna zaciągnął się i wydmuchnął powoli dym, po czym zgasił cygaro na własnej dłoni (aż mną wstrząsnęło), a niedopałek rzucił za siebie. Komar szybciotko podniósł go i wyrzucił przez okratowane okno. Dopiero wtedy gospodarz raczył zaszczyścić mnie i Wowę spojrzeniem.

Po jakimś czasie znudziło mu się lustrowanie naszych obitych fizjonomii. Z kieszeni marynarki wyciągnął parę śnieżnobiałych rękawiczek. Naciągnąwszy je, jednym palcem ostrożnie uniósł moją górną wargę. Kłapnąłem groźnie, a on, bardziej ze zdziwienia aniżeli strachu, odskoczył. Wowka wybuchnął śmiechem.

Następnie człowiek z blizną powtórzył to samo na Wowce, po czym bez pośpiechu zdjął rękawiczki. Gdy tylko rzucił je na podłogę, jeden ze stojących przy drzwiach karków podniósł je i wybiegł z pokoju. Pozostali usłużnie przystawili Banderasowi ciężki fotel i znów zastygli przy drzwiach. Mężczyzna powoli opadł na siedzenie. Założył nogę na nogę, a potem spojrzał na Komara, który stał jako ten słup soli ze wzrokiem wbitym we własne stopy.

- A więc twierdzisz - leniwym, nieco melodyjnym głosem z dziwnym bułgarskim czy estońskim akcentem zaczął Banderas - że te dzieciaki, którym jeszcze kły nie zdążyły dobrze wyrosnąć, przeszkodziły ci w śniadaniu?

Komar skinął głową, nie podnosząc wzroku.

- I po tym wszystkim masz czelność na coś liczyć? - dociekał elegancik znudzonym tonem. - Won mi z oczu. I żebym cię nie widział przez najbliższe pięćdziesiąt lat.

- Kiedy...

- Wynoś się!

Komar westchnął i wyszedł z pokoju, a Banderas znów spojrzał na mnie i na Wowę.

- A zatem kto was uaktywnił? - zapytał ze szczerym zainteresowaniem.

ŻE NIBY CO?

Nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej, teraz jednak nie zwracał się do żadnego z nas i patrzył w zupełnie innym kierunku.

- Dziwne, bardzo dziwne... - Splótł palce i wsparł na nich podbródek. - Od kogo jesteście? - Na końcu języka miałem „od mamy i taty”, ale rozsądek nakazywał milczeć. - Kto was uaktywnił? Helga? Ona zostawia na szyi swoich uczniów długie szramy. Rollan? Nigdy się nie zabiera za dwóch jednocześnie. Piotr? Najpierw wyjaśniłby wszystkie zasady.

Zanim wrócił koleś, który poszedł wyrzucić rękawiczki, poczułem się trochę lepiej. Rzecz jasna nie do końca, ale przynajmniej ustałbym na nogach, gdyby zdjęto mi pęta.

- A tak w ogóle to coś ty za jeden? - mruknąłem.

Po dłuższej chwili na twarzy Banderasa rozlał się ohydny uśmiezek.

- Nazywam się Drakula. Wład Drakula.

Taaa. Bond. James Bond.

- Masz tylko jedno imię? - zapytał nagle ochrypłym głosem Wowa.

Banderas gniewnie cmoknął językiem o ząb. Ostry. Trzonowy. Najprawdopodobniej bez najmniejszej dziurki.

- Na świecie jest tylko jeden Drakula. Ja. Nadano mi to imię, gdy się urodziłem i ja jeden je noszę.

Cóż, na skromność nie zdechnie. Kołkiem go, kołkiem osinowym!

Drakula tymczasem mówił dalej:

- Jeśli chodzi o was - w jego rękach, jak z magicznego kapelusza, pojawiły się dwa pistolety wycelowane we mnie i Wowę - można by was po prostu powystrzelać. Nie znacie elementarnych zasad dobrego wychowania, przeszkadzacie innym w śniadaniu. To jednak byłoby zbyt krwawe rozwiązanie, tym bardziej że pistolety są nabite srebrnymi kulami. Porozdzierałoby was na strzępy. - Esteta zakichany. - W każdym razie bezpańscy wykolejeńcy są zawsze niebezpieczni. Lepiej nie próbujcie żadnych sztuczek, te pistolety potrafią położyć nawet sześćdziesiąt - na jego twarzy zabłysnął uśmiešek - wampirów w ciągu minuty, a takich niedoróbek jak wy to nawet i ze sto. Aleksander, Siergiej, Karl - mężczyzna przywołał swoje pieski (tak samo zresztą zębate jak i on) - zaprowadźcie ich do pokoju gościnnego, a jutro po zachodzie nie zapomnijcie dopilnować, żeby tam zamieciono. Popiół rozsypany po całej podłodze wygląda tak... nieestetycznie.

Pistolety powierzone jednemu z kafarów zabiły we mnie wszelką chęć do zwady. Jeśli chodzi o Wowkę...

- Andriej - rzucił ochryplym głosem, kiedy zdejmowano mi kajdany - jak myślisz, powinniśmy się obrazić za te niedoróbki?

Spojrzałem z ukosa na bardziej niż przerażające pukawki i posłusznie założyłem ręce za głowę.

- Nie teraz.

Wowa westchnął i poszedł za moim przykładem. Zresztą nie miał innego wyjścia.

Karki zaprowadziły nas do innego pokoju, przez cały czas trzymając nas na muszce. Głośno szczęknał zamek w drzwiach. Wreszcie mogłem opuścić zdrętwiałe ręce i rozejrzeć się dookoła.

* * *

Ściany, sufit i podłogę pomieszczenia wyłożono lustrami. Poza tym pokój był zupełnie pusty. Mógłby chociaż jakieś materace rozłożyć, zębaty dusigrosz!

Jedyne, co wyglądało w miarę normalnie, to dwie pary drzwi. Przez te z dębowego drewna weszliśmy do środka, a za drugimi znajdowała się, jak to zostało określone w pewnym starym radzieckim filmie, toaleta typu *sortir*, zaznaczona na planie literami M i Ż.

Och, zapomniałbym o jednej rzeczy. W pokoju było też okno - a jakże - z metalu i plastiku, zabezpieczone kratami o prętach dwucentymetrowej grubości. Nie żeby

krata prezentowała się jak należy - żadnych kóleczek ani kwiatuszków. Najzwyklejsza więzienna krata.

Rozejrzałem się nieco dokładniej, ale nie znalazłem nic godnego zainteresowania. Klapnąłem na lustrzaną podłogę, która nie wiedzieć czemu, wcale nie była śliska. Zamknąłem oczy, najwyraźniej jednak nie było mi dane zasnąć: ledwie się położyłem, już ktoś zaczął mną potrząsać.

- Andriej, chłopie, szaleju się nażarłeś? Natychmiast wstawaj!

Uniosłem lekko powieki. Strasznie chciało mi się spać.

- Po co?

- Jak to „po co”?! Jest druga w nocy! Za trzy godziny wszędzie słońce, co według Drakuli oznacza nasz koniec! Tak na marginesie, oglądałem *Wywiad z wampirem* i widziałem, jak to działa. Wcale mi się to nie spodobało! Jasne, popiół to doskonała pożywka dla różyczek, ale nie zamierzam się poświęcić dla dobra ekologicznej sytuacji rodzinnego miasta!

- Wowka, dureń z ciebie - powiedziałem powoli, próbując zwalczyć senność. - Przypomnij sobie, kiedy do mnie przyszedłeś.

- W dzie...

Zamknij się! - napomniałem go uprzejmie. - Tu na pewno jest mnóstwo pluskiew.

Z wyrazu twarzy przyjaciela wyczytałem, że biedaczek bił się z myślami. Chciał zyskać pewność, czy dobrze zrozumiał sugestię, ale z powodu tych pluskiew bał się głośno zapytać. W końcu nie wytrzymał i machnął ręką.

- Dobra, masz rację. Chodźmy spa... O cholera! Pozabijam te maskary!

- Co się stało?

Głowa jak z ołowiu...

- Zobacz, co zrobili z moją hawajką. - Faktycznie, koszula była umorusana i podziurawiona. - Mama dopiero co ją kupiła. Przecież obedrze mnie za to ze skóry!

- To powiedz jej prawdę - poradziłem, opuszczając głowę na podłogę. Kiedy zasypiałem, usłyszałem jeszcze:

- Prędzej z Drakuli te jego szmatki zedre!

* * *

Obudził mnie okropny żar. Promienie porannego słońca paliły na całego, odbijając się w przeklętych lustrach. Otworzyłem oczy i powoli usiadłem. W przeciwległym kącie pokoju chrapał do połowy rozebrany Wowka. A ja myślałem, że tu kogoś przeryniają piłą spalinową!

W nocy nie dawał mi spać, to teraz ja mu pokażę. Po cichutku podreptałem do toalety (jaki ten Drakula dobry, nawet o wygodce dla jeńców pomyślał), zdjąłem koszulę (i tak była brudna, jakby całą noc ktoś mną podłogę wycierał), namoczyłem ją pod kranem w eleganckim marmurowym zlewie (facet naprawdę nie miał na co forsę wydawać), a potem ostrożnie, starając się uronić jak najmniej wody, zakradłem się do Wowki i zdecydowanym ruchem wykręciłem koszulę nad jego głową.

Wowka zerwał się jak oparzony, ryknął niczym rozjuszony lew, któremu ktoś nadepnął na ogon, a potem wyrzucił z siebie ze sto albo i więcej niecenzuralnych słów. Kiedy wreszcie skończył monolog, zapytałem:

- Już?

- Już - burknął.

- W takim razie spadajmy, póki jeszcze wszyscy słodko śpią w trumienkach.

Podszedłem do okna. Co my tu mamy? Wyglądało na to, że znajdujemy się na drugim piętrze, a jakaś niepokorna topola wyciąga ku nam grubą gałąź. No cóż, sprawdzimy, czy fantaści mają rację, przypisując wampirom nadludzkie moce. Otworzyłem okno, wpuszczając do pomieszczenia szum ulicy i z całej siły uczepiłem się kraty, chcąc ją wyrwać.

Nie był to najlepszy pomysł. Naraz poczułem, jakbym chwycił za rozpalony pogrzebacz. Błyskawicznie odskoczyłem i ze zgrozą zauważyłem, jak na dłoni zaczynają się pojawiać pęcherze. Co jest, do diabła?!

Wowka z miną znawcy obejrzał moją rękę.

- Srebro - oznajmił.

- Co?

- Mówię, że krata jest ze srebra. A wampiry są na srebro uczulone.

- Serio?

- Bez kitu - mruknął przygnębiony, podchodząc do drzwi.

- Co chcesz zrobić? - zapytałem, potrząsając oparzoną dłonią.

- Wyważyć, do ciężkiego licha!

Rozpędził się i z całej siły wyrzwał w drzwi, najwyraźniej próbując wyłamać je z zawiasów. Wiedziałem, że nawet wspólnie nie dalibyśmy rady, więc obojętnym

wzrokiem obserwowałem jego zmagania. Drań nie próbował mnie powstrzymać, gdy łąpałem za srebro.

- Spróbuj głową! - poradziłem, kiedy przystanął, ciężko dysząc. - I tak jest z drewna.

Na twarzy Wowki odmalowało się pytanie „co jest z drewna?”, ale nie wypowiedział go głośno, pewnie z obawy, że usłyszy jedyną możliwą odpowiedź.

Kolejne pół godziny przesiedzieliśmy na okropnie twardej podłodze, tępo wgapieni w sufit. Co jakiś czas Wowa wymyślał kolejny absurdalny plan ucieczki. Padła między innymi propozycja, byśmy wybili dziurę w ścianie, skoro z drzwiami nie wyszło, albo żebyśmy znaleźli sznur i udawali, że się powiesiliśmy, a kiedy nasi oprawcy wpadną w osłupienie, objemy im gęby.

Nie mogąc zdzierżyć jednostajnego rytmu, wystukiwanego przez Wowę palcami na podłodze, zaproponowałem grę w miasta. (O rany, ale mi burczało w brzuchu!). Kiedy jednak po półgodzinie mój drogi kolega złamał zasady i spojrzał na mnie w taki sposób, że nie miałem odwagi zaprotestować, uświadomiłem sobie głupotę tego pomysłu. (Jak to możliwe, że kobiety całymi tygodniami żyją na samej wodzie?!).

I nagle mnie olśniło. Drakula twierdził, że w pistolecie znajdowały się srebrne kule. Oznaczało to, że potrzebujemy czegoś stalowego lub czegoś bardzo grubego i szczelnego jako izolacji. Niestety, koszula okazała się za mało szczelna - co Wowka udowodnił empirycznie, chwytając za kratę - a stali nie posiadaliśmy.

No i odpłaciłem pięknym za nadobne. Teraz nie tylko ja miałem poparzoną dłoń.

Tymczasem Wowa machał ręką jak cepem. Nagle znieruchomiał i zapytał:

- Andriej, jak myślisz, czy my jesteśmy nieśmiertelni?

Pytanie było tak zaskakujące, że zdębiałem. Dopiero po chwili zdołałem wydukać:

- Noo, pewnie tak. Przecież nas pytał, czy chcemy być nieśmiertelni.

Wowka zaczął ostrożnie masować nadgarstek. (Jakoś wątpiłem, by miało to pomóc).

- Wiesz co? Wcale bym nie chciał...

- Czego byś nie chciał?

- Być nieśmiertelnym.

- Dlaczego?

- A co w tym dobrego? Stuknie mi siedemset pięćdziesiąt lat i wciąż będę żyć. Do tego czasu Irka dawno zdąży kojfnąć, tak samo jak wszyscy krewni i znajomi. Nie chcę żyć wiecznie i już!

- Jak spotkamy Czarnego Płaszcz, powiemy mu, żeby nam zabrał nieśmiertelność. O ile ją w ogóle mamy.

- No to się dogadaliśmy - stwierdził z uśmiechem Wowka.

Na tym zakończyliśmy rozmowę.

Dopiero kiedy zaczynało się ściemniać, wpadł mi do głowy pewien pomysł. Drakula kazał swoim wampirom zamieść po nas popiół, ale przecież nie będą się zajmować takimi bzdurami, bo to raczej ochroniarze, a nie sprzątaczkę. Przysłała pewnie jakąś babunię. Wniosek: babkę z łatwością się uciszy, a jednemu strażnikowi jakoś damy radę. Pytanie tylko: jak?

I w tym momencie Wowka zaproponował:

- A może byśmy umywalkę wyrwali?

- A może kibelek? - zażartowałem posepnie.

- No co ty. - Pokręcił głową. - Z umywalką pójdzie łatwiej!

Proszę, proszę...

Łatwo nie poszło, ale wreszcie po trudach i znojach ostatnie pociągnięcie i... Oto ono, poręczne narzędzie unieszkodliwiania wszelkiego rodzaju niegrzecznych kafarów! Nawiasem mówiąc, umywalka wcale nie była kamienna. Miała tylko marmurowy wzór, bo w przeciwnym razie ważyłaby dużo więcej. Poskapił, zgred jeden.

Za oknem powoli zapadał zmierzch. Która to godzina? Dziewiąta? Stanęliśmy z Wowką za drzwiami (otwierały się do środka, pewnie celowo, żeby utrudnić wyważenie), które właśnie cichutko skrzypnęły. Przez szparę zobaczyliśmy babunię. Gdy tylko weszła, od razu zaczęła pomstować:

- Nie będę tego robić! Z jakiej racji mam harować za te przeklęte wampiry? - Głosik babuni brzmiał dość dziwnie, zupełnie nie przypominał starczego. - No i gdzie ten popiół, ja się pytam?! - Pewnie strażnik-wampir zniknął gdzieś na chwilę, a babunia-niebabunia postanowiła wyrzucić z siebie wszystko, co jej leżało na wątrobie.

Nagle ze złością kopnęła drzwi i zamiast starowinki, jakiej się spodziewałem, ujrzałem stojącego do nas bokiem niewysokiego, szczupłego chłopca ubranego w zniszczoną podkoszulkę i szorty. W jego wyglądzie nie byłoby niczego nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że zamiast twarzy miał psią mordę. Wilkołak?! Jak na filmach? Stadium przejściowe?

Cudaczny młodzieniec trzymał miotelkę i szufelkę.

Wowka zdębiał do tego stopnia, że spuścił mi na nogę zlew, który trzymał nad głową. Zawylem niczym wilk i nawrzucałem temu kretynowi w trzech językach: po francusku, angielsku i niemiecku. W końcu mam zostać tłumaczem, tak czy nie?!

W domu po naszymu nie można się pokłócić jak należy (rodzice by nas pozagryzali bez pomocy wampirów), a tak, jak młodszy braciszek doprowadzi mnie do białej gorączki, mogę go posłać na wszystkie cztery strony świata przy pomocy wiązanki serdecznych słów w obcym języku. Od razu robi się człowiekowi lżej na duszy, a i mamusia wpada w zachwyty: „Andriusza, jak ty świetnie znasz francuski!”. Na szczęście nie pyta, co znaczy *pardieu* i tym podobne wyrażenia. To by dopiero było! „Andriusza, ty przeklinasz! Jak ci nie wstyd!”

Czy to moja wina, że ich języki są o wiele uboższe od naszego? Weźmy na przykład angielski - na trzy nasze słowa, u nich przypada tylko jedno. Nie będę podawał przykładów, nawet mnie nie proście!

No co? Profesjonalny tłumacz powinien znać każdy aspekt języka. Pamiętam, jak kiedyś przeglądałem angielsko-rosyjski słownik frazeologiczny dla obcokrajowców (można powiedzieć, że dla podniesienia kwalifikacji). Tato długo się potem dopytywał, co za stronę znalazłem w Internecie, że się tak tarzałem ze śmiechu. Też chciał zobaczyć.

Ale zboczyłem z tematu. Wilkołak zadrżał i oblizując się nerwowo, wlepił w nas gały.

- Wowa - wymamrotałem, jak się już porządnie wyskakałem na zdrowej nodze. - Chcesz zostać wampirem-wilkołakiem?

- Nie, a...

- Ja też nie.

Wilkołak podszedł bliżej. Poczulem, jak zamiera mi serce.

- Mordę mu obiję - bez przekonania oznajmił szeptem Wowa.

Odmieniec zastygł, nie spuszczał z nas wzroku. Przez chwilę miałem wrażenie, że to raczej on się nas boi, stwierdziłem więc, że nie mamy nic do stracenia i zapytałem:

- Jak można stąd uciec?

- Prosto korytarzem - zaczął wilk. Nie wiercie, jeśli ktoś wam powie, że odmienicy inaczej poruszają ustami, gdy mówią. Ten mówił zupełnie normalnie. - A później na dół po schodach. Tylko tam jest pełno ochro...

Nagle zawiasy przeraźliwie pisnęły i drzwi o mały włos nie uderzyły mnie prosto w twarz, przesłaniając przy okazji widok.

- Ej, obiboku, posprzątałeś już? - zapytał jakiś mężczyzna pogardliwym tonem. Po głosie rozpoznałem jednego z ochroniarzy Drakuli.

- Tak! - błyskawicznie odpowiedział wilczek.

- A gdzie popiół?

- Noo... Wyrzuciłem za okno! Pomyślałem, że nie ma co w tę i z powrotem po schodach ze śmieciami latać.

- No popatrz, jeszcze będą z ciebie ludzie. - Z tonu wypowiedzi wywnioskowałem, że rozmówca się uśmiechnął. - Idziemy!

Drzwi zamknęły się cicho, ale zamek - nie!

Odczekałem chwilę, a potem uchyliłem je lekko i wyjrzałem na korytarz. Cisza i spokój, ani jednego wampira. Czas wiać. Obejrzałem się na Wowkę.

- Idziemy?

- A co z naszymi koszulami? Jeśli je założymy, pierwszy lepszy napotkany na ulicy element weźmie nas za kloszardów.

- Hm, co racja to racja. Te koszule nawet rękawy mają dziurawe...

Wowka machnął ręką w reakcji na moją zatroskaną minę, zrobił ze swojej hawajki opaskę i przewiązał ją wokół pasa. No no, całkiem niezły pomysł.

W końcu po cichu wyleźliśmy na zewnątrz. Korytarz był malutki i wąziutki, nie miał chyba nawet pięciu metrów szerokości. Nawet tutaj ściany pokrywała nudna sztukateria. Matka powiedziałaaby, że gość nie wie, co zrobić z kasą. Chcieliśmy iść dalej (tak się złożyło, że nasz pokój znajdował się na samym końcu korytarza), ale nagle Wowka przystanął i zapytał:

- Andriej, jak myślisz, skąd by tu jaką broń wytrzasnąć? Bo gdyby nas napadli, z jednym czy dwoma damy sobie radę, ale reszta załatwi nas jak mamuty!

Nawet nie pomyślałem o broni - choćby dlatego, że cała wiedza zdobyta na lekcjach przysposobienia obronnego już dawno wywietrzała mi z głowy. Jeśli zaś chodzi o Wowę, zdaje się, że niezłe obrywał podczas niezapomnianych zajęć z boksu. Zaczynałem mieć poważne wątpliwości, czy kolega Dan korzysta ze swych umiejętności jak należy.

- Oderwij jakąś listwę - poradziłem. W końcu po obu stronach korytarza znajdowało się całe mnóstwo ciężkich drzwi.

- Jasne, niezły pomysł!

Wowka przykucnął, złapał za futrynę i pociągnął ją w górę i do siebie. Rozległ się głośny trzask, który moim zdaniem powinien zaalarmować całą wampirzą populację miasta.

- Słuchaj, a może byś i dla mnie oderwał? - poprosiłem, gdy Wowa wstał, dźwigając ciężką, mierzącą około metra rzeźbioną listwę.

Znów trzasnęło i już po chwili dzierżyłem w łapach drugą połowę nieszczęsnej futryny.

- Proszę bardzo. A teraz chodźmy!

Na końcu korytarza skręciliśmy w prawo, ale musieliśmy się zatrzymać: wyrosła przed nami biała, udekorowana banalnymi wzorkami ściana. Staliśmy jakieś trzy metry od niej, a po prawej i lewej stronie znajdowały się drzwi.

- To koniec - powiedziałem zrezygnowany.

Wowka okazał się bardziej dosadny w swoich osądach:

- Okłamał nas, wilczyśko wstrętne! Niech no ja się tylko stąd wydostanę! Jak nie oderwę mu ogon i głowę!

Chciałem zaprotestować, bo ostatecznie w niczym by nam to nie pomogło, gdy nagle usłyszeliśmy cichy szmer i ściana zaczęła się powoli przesuwac. Bez wahania doskoczyliśmy do najbliższych drzwi. Na szczęście były otwarte.

Trafiliśmy do pomieszczenia przypominającego pokój gościnny. Jak to mawiają w uwielbianych przez moją mamę romansidłach, „wokół panował upadek”, w tym konkretnym przypadku upadek ze sporej wysokości. W oknach wisiały pogryzione przez mole story (Tyson mógłby przejść na emeryturę), w kącie stało łóżko w stylu późnego rokoko albo wczesnego zastoju, obok ustawiono koślawy stolik nocny, a na nim niedużą lampkę. Wszystko koszmarne przygnębiające.

Przez uchylone drzwi dostrzegłem w korytarzu dwoje ludzi: kafara, którego Drakula nazwał Karlem i na oko dwudziestoletnią dziewczynę. Karl szepnął jej coś do ucha, a ona zaśmiała się, odrzucając w tył głowę i odsłaniając ostre kły. O rety, tu grasują nie tylko wampiry, ale i wampirzyce?! Biedne nasze miasto...

Dziewczyna chwyciła ściskany przez Karla klucz, uśmiechnęła się po raz kolejny i znikła za rogiem. Wampir poczekał do momentu, aż usłyszał szczęknięcie zamka w drzwiach, a gdy to nastąpiło, rozpląnął się w ciemnościach.

Ściana znów się zasunęła.

Upewniwszy się, że nikt nie nadchodzi, wyszliśmy z Wowką na korytarz. Jak się okazało, ścianę można było bez trudu przesuwac, chwytając za klamkę w kształcie

kwiatka, ukrytą pośród innych gipsowych wzorów. Z tyłu znajdowały się prowadzące w dół długie marmurowe schody.

- To jak, idziemy? - zapytałem.

- A mamy jakiś wybór? - mruknął Wowka. - Chyba że wolisz wyskoczyć oknem?

* * *

Zeszliśmy schodami najpierw na pierwsze piętro, a potem na parter, do ogromnego, pogrążonego w półmroku pokoju pomalowanego na czerwono i czarno. W kątach stały marmurowe statuetki przedstawiające blade dziewczyny o ciałach upstrzonych czarnymi plamkami oraz czerwonych mężczyzn (pewnie ze wstydu, bo to chyba oni zarażali tymi plamami). Mężczyźni wbijali zęby w szyje dziewcząt. Maniak, psiakrew.

- A właśnie, przecież istnieje na świecie również czarny marmur... - powiedziałem z namysłem, przystając przed wyjątkowo realistycznie wyglądającą rzeźbą dziewczyny, która, co dziwne, nie traciła przytomności i próbowała wydobyć zza gorsetu naprawdę ogromny nóż. (Ciekawe, jak go tam schowała?). Na świat boży wydostało się już jakieś trzydzieści centymetrów ostrza i sądząc po jego kształcie, był to dopiero jego początek.

- Brawo! - mruknął mój kolega. - Jak spotkamy Drakulę, podsunie mu pomysł, żeby obok Indian postawił jeszcze paru Murzynów. A teraz chodźmy! Mówiłeś, że tu pełno pluskiew, a sam sterczysz jak kołek.

- Sam jesteś... kołek! - odgryzłem się dobrotliwie. Podeszedłem do dębowych drzwi naprzeciwko schodów. Otworzyłem je bez trudu i poczułem świeży powiew wieczornego wiatru.

* * *

Zanim udało mi się cokolwiek zobaczyć, dłuższą chwilę świdrowałem wzrokiem ciemność. (Dziwne, przecież ogród botaniczny był doskonale oświetlony... Może oczy muszą przywyknąć?). Co my tu mamy? Około trzy-czterometrowej wysokości mur, ciężkie kute wrota, wybrukowaną dróżkę. A tuż nad bramą jakieś pudełko. Do czorta, przecież to kamery!

W popłochu wróciłem do środka i zatrzasnąłem drzwi.

- No i? - Wowka uniósł brwi, bawiąc się listewką.

W kilku słowach nakreśliłem mu obraz sytuacji.

- Będziemy musieli obejść dom, a potem przeskoczyć przez mur - westchnął.

- A co to da? - parsknąłem sceptycznie. - Kamera i tak zarejestruje, że ktoś wychodzi z domu.

- Prawdziwi bohaterowie niczego się nie boją!

W tej sytuacji nie pozostawało mi nic, jak tylko zapytać cicho:

- Jesteś pewien, że nie trzymają psów na straży?

- Zagryziemy - rzucił na odczepnego Wowka. - Idziemy? O matko, Andriej, czego ty znowu sterczysz przy tych statuetkach?

- Tak się zastanawiam, czy by ich nie rozwalić, tak na amen, żeby im się odechciało na biednych tłumaczy napadać.

Wowa chwycił mnie za rękę.

- Oczadziałeś czy jak?! On tu zaraz gliny wezwie i wsadzą cię za niszczenie mienia. Jak potem udowodnisz, że się tu nie włamałeś? Lepiej już chodźmy.

Zapomniałem, że Wowa studiuje prawo.

Ostrożnie wysłiznęliśmy się z domu. Idąc jak najbliżej ściany, skręciliśmy w prawo. Zamarłem, gdy usłyszałem uniesiony głos mężczyzny:

- Chyba mówiłem wyraźnie, że masz pozamiatać dróżki!

W ciemnościach dostrzegłem dwie stojące do nas bokiem postaci. Patrząc na ich kontury, można się było domyślić, że wielki jak szafa łobuz potrząsa za kołnierz chuderławego chłopczynę.

- Proszę mnie puścić! Ja nic nie muszę! - zapiszczał chłopiec. - Jak tu przyjdzie mój brat, to was... - Nagle w ciszę nocy wdarł się dźwięk plaśnięcia w policzek.

Tego już było za wiele.

Możecie mówić, że to niepotrzebne i niemądre, ale ruszyłem naprzód i przyciągnąłem biedaczynę do siebie. Wowka też nie stał z założonymi rękami. W chwili gdy kafar wybałuszył gały, łapiąc ze zdumienia oddech, z całej siły palnął go oderwaną od futryny listwą prosto w łepetynę. Kark ujrzał gwiazdy i padł na ziemię. Chłopiec wyrwał się z moich objęć, szczerząc zęby jak wilk.

- Kim jeste...? To znowu wy?! Dlaczego jeszcze nie uciekliście?

- Chwila, my się znamy? - zaciekawiał się Wowka.

- Znamy - bąknął chłopiec. - Ja...

Przecież potrafię dodać dwa do dwóch!

- Jesteś tym wilkołakiem, który nas wypuścił, tak? - dokończyłem za niego.

W pobliżu coś zaszleściło, ale nie zwróciłem na to większej uwagi.

- Tak. - Chłopiec kiwnął głową. - Lepiej uciekajcie. Kiedy ten typ się ocknie, nie chciałbym być w waszej skórze. - Skinął w kierunku miejsca, gdzie leżała ofiara ataku Wowki. - Jaaasna cholera, już go nie ma! W nogi!

- A ty?

Zamiast odpowiedzieć, chłopiec schował się za moimi plecami i zaskowyczał:

- Z tyłu!

Chciałem się odwrócić, gdy coś ciężkiego spadło na moją głowę. Ważyło chyba ze trzy tony.

* * *

Czułem się tak, jakby przez ostatnie dwa miesiące ktoś wbijał mi gwoździe w czaszkę. Ciekawe, gdzie wylądowałem i co zobaczę, gdy otworzę oczy? Jedno oko, drugie...

Ech, dlaczego nie jestem Wijem? Ten miał na usługach specjalne demony, do których zadań należało podtrzymywanie mu powiek.

Znajdowałem się w doskonale znanym mi już pokoju: pąsowe ściany, białe kolumny, rzeźbiony fotel, samotny stolik, około dziesięciu strażników przycupniętych w najdalszym kącie i oczekujących na rozkazy... Wowka przykuty do ściany, stanowiący najważniejszy element wystroju i w końcu ja w dokładnie tej samej pozycji, zawieszony przed gospodarzem.

Sam pan (a może towarzysz - kto by się w tym teraz połapał?) Drakula siedział w fotelu, popijając coś z kielicha i wertując malutką książeczkę oprawioną w czarną skórę.

W końcu podniósł głowę i nasze oczy się spotkały. Przez jego usta przemknął uśmiech zadowolenia. Czyżby znalazł coś ważnego w tej książeczce?

Jakiś czas milczał. Pewnie czekał, aż Wowka się ocknie.

Kiedy wreszcie mój kolega zaczął dawać pierwsze oznaki życia, Drakula pstryknął palcami i natychmiast w służalczym pokłonie zastygło obok niego dwóch zębanych.

- Zdjąć - rzucił krótko główny krwiopijca.

Ciekawe, o co chodzi? Będę się bił do ostatniego!

Ob ręce wokół nadgarstków szczęknęły, a ja przygnałem łopatkami i tyłem głowy do ściany, mając szczerą nadzieję, że się po niej nie osunę.

Na dźwięk kolejnego pstryknięcia kafary przystawiły dwa rzeźbione fotele, co prawda mniejsze i skromniejsze od fotela gospodarza.

Drakula zamaszystym gestem poprosił, byśmy usiedli.

- Proszę.

O rany, skąd taka nagła zmiana? Jeszcze niedawno o mało nas nie pokąsał, a teraz...

Skoro już jest taki dobry, mógłby nas nie zakuwać. Chociaż nie, przecież to nie on nas łąpał. Złapały nas kafary, założyły obrączki, a potem przyszedł dobry szef i wszyscy uszczęśliwieni.

Spojrzeliliśmy z Wowką po sobie i usiedliśmy w fotelach. Szumiało mi w uszach.

Drakula w międzyczasie ciągnął dalej:

- Jesteście głodni?

Ktoś mi wyjaśni przystępnie, co sprawiło, że zaczął wykazywać troskę o nasze samopoczucie?

Zanim się zastanowiłem, czy warto odpowiedzieć, Wowka rzucił:

- Tak.

Główny amator krwiodawstwa (przepraszam, krwiobrania!) skinął z zadowoleniem.

- Karl?

Jeden z karków natychmiast poderwał się z miejsca. Po kilku minutach wrócił z drewnianą tacą, na której stał złoty dzban. Inny ochroniarz, z przerzuconym przez ramię ręcznikiem, przyniósł dwa złote kielichy.

Krótko mówiąc, mucha nie siada. Kielichy postawiono na stole, a gospodarz własnoręcznie przelał do nich zawartość dzbana.

- Proszę, napijcie się.

Ostrożnie zajrzałem do naczynia. Było w nim coś ciemnoczerwonego, oleistego i błyszczącego.

- Co to? - zapytałem ochrypłym głosem.

- No przecież, że nie sok pomidorowy! Krew, rzecz jasna. AB Rh-, tak na marginesie, prawdziwy rarytas. Pijcie!

Ja osobiście straciłem apetyt, Wowka chyba też. W końcu równocześnie odstawiliśmy kielichy z cichym brzękiem na stół.

- Dziękujemy, ale jakoś nie mamy ochoty. Drakula skoczył na równe nogi, oparł się o stolik i ryknął nam do uszu:

- Pijcie, powiedziałem!

- A idź ty do...

Nie pamiętam, kto to powiedział: ja czy Wowka, ale w tym momencie dopadły do nas „gryzidziurki”, które do tej pory cicho siedziały w kącie. Pewnie gospodarz przewidział podobny obrót sprawy i zawczasu wydał odpowiednie polecenia. W każdym razie finał nie trwał długo: parę razy dałem komuś w mordę, potem sam oberwałem, a potem to już niczego nie pamiętam.

* * *

Do diabła, na co komu ta inicjacja?! O ile wczoraj można było się ich tylko bać, to dzisiaj... W co oni się wpakowali?

Do diabła!

* * *

Auć. W ten sposób szybko zostanę półgłówkiem. W ciągu ostatniej doby oberwałem po głowie, niech no policzę... trzy albo cztery razy. Mam nadzieję, że to wszystko skończy się co najwyżej schizofrenią i tikiem nerwowym.

Tymczasem sprawdźmy, jak się przedstawia nasza sytuacja.

Leżę na plecach. Czuję twardą, niezbyt zimną podłogę. Otwieram szerzej oczy. Ciemny pokój z dwiema parami drzwi, maciupeńką wersalką i stolikiem jak z żurnala.

No proszę, tym razem nie umieścił nas w gabinecie luster. Skąd taka dobroć?

Pewnie pomyślał, że jak lustra na nas nie działają, to nie ma sensu z nich korzystać.

- I jak, ocknąłeś się? - rozbrzmiał obok głos Wowki.

Zatem też tu jest, a to już połowa sukcesu. Usiadłem niezdarnie, oparłem się plecami o ścianę i dopiero wtedy odnalazłem wzrokiem kumpla. Śliwa pod okiem rozplynęła się po całym policzku, brew rozcięta... Koszmar! Co na to powie jego matka? Miałem nadzieję, że ja aż tak strasznie nie wyglądam, bo inaczej rodzice mnie do domu nie wpuszczą.

- Ocknąłem. Tylko jakoś nie sędzę, żeby to miało cokolwiek pomóc.

- Pomoże!

Okazuje się, że Wowa to niepoprawny optymista.

Coś tam jeszcze gdakał, ale ja zamknąłem oczy i znieruchomiałem, próbując odegnąć ból byle dalej i głębiej. Kiedy świdrowanie w potylicy przemieniło się w nieco delikatniejsze postukiwanie, nagle zaskrzypiały drzwi. Otworzyłem oczy.

Do pokoju przydreptało dwóch kafarów. Jeden trzymał na rękach nieprzytomną dwudziestolatkę. Miała na sobie czerwoną bluzkę, czarną spódniczkę do kolan i klapki na wysokim obcasie. Jej ciemne włosy zwisały niczym spieniona fala.

- A ona tu po co? - smętnie zainteresował się ten, który ją przyniósł.

- Czort wie - odparł drugi i splunął. - Szef nie mówił, a przez telefon nie będziemy mu głowy zawracać. Zostaw ją tutaj. Zapytamy go, jak wróci.

Zachowywali się tak, jakby ani Wowki, ani mnie nie było w pomieszczeniu.

Kafar zrzucił dziewczynę na podłogę, wyszedł i zamknął drzwi na klucz.

Szkoda.

Wowka odplunął krwią na podłogę, powoli zbliżył się do dziewczyny (ja nie miałem siły) i dotknął opuszkami palców jej nadgarstka, sprawdzając puls.

- Chyba żyje.

Potem ostrożnie odciągnął ją spod drzwi i podszedł do mnie.

- No i co robimy?

- Wieszamy się - bąknąłem.

- Nie mamy sznura - westchnął Wowka.

- To będziemy musieli znów coś wymyślić.

- Andriej, wyjaśnij mi coś. Promienie słoneczne nam nie zaszkodziły, ale srebra dotknąć nie możemy. Psiakość, na biednego tośmy nie trafili! Żeby wszystkie kraty ze srebra porobić... W końcu jesteśmy wampirami czy nie?

- Cholera wie - westchnąłem.

- Gdybyśmy występowali w amerykańskim serialu, w tamtym kącie pojawiłby się teraz jakiś rogaty stwór i oznajmił: „Wiem wszystko, ale nic nie powiem!”. A potem by zniknął.

Głos Wowki brzmiał tak przekonywająco, że bezwiednie skierowałem wzrok w stronę wskazanego kąta. Rzecz jasna niczego tam nie było. Szkoda.

Swoją drogą nie za szybko wracamy do sił?

Jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, aż w końcu Wowka powiedział:

- Słuchaj, Andriej, może byś przyniósł wody, co? Strasznie chce mi się pić.

Już miałem zaprotestować, zwrócić mu uwagę, że się u niego nie najmowałem za chłopca na posyłki, ale zmierzyłem go tylko wzrokiem i zapytałem spokojnie:

- Skąd ja ci wezmę wodę?

Zawsze byłem dobry i wrażliwy!

Zresztą tak samo jak i Wowka. Wskazując palcem na drugie drzwi, oznajmił:

- Pewnie stamtąd.

- Żartujesz?

- Ani mi to w głowie! Skoro w „lustrzance” mieliśmy wszystkie wygodę, to dlaczego nie tutaj?

Logiczne. Tylko że... Zdjąłem zawiązaną wokół pasa koszulę.

- W czym sobie życzysz? W kołnierzu czy w rękawie?

- Że co...? - zająknął się Wowka.

- Jesteś dureń, czy tylko udajesz?

- Zdecydowanie dureń. O co ci chodzi?

Powiodłem ręką dookoła.

- Widzisz tu gdzieś kubek?

- Ale żeby mnie oblać, to coś ci się udało znaleźć!

- Koszulę nad tobą wyjąłem. Ko-szu-lę! No to jak, z rękawa czy z kołnierza?

- Z rączek: - burknął Wowa, podnosząc się z podłogi.

Biorąc pod uwagę fakt, że drugie drzwi nie były zamknięte i że zniknął za nimi na dobre pięć minut, jego domysły musiały się okazać trafne.

Kiedy wreszcie wrócił, zauważyłem, że siniak pod jego okiem już prawie znikł.

Wtedy dziewczyna otworzyła oczy i powoli usiadła.

- Gdzie ja jestem? - wyszeptła, rozglądając się po pokoju.

Rzeczywiście jak w serialu...

Wowka jak zwykle nie potrafił się opanować. Zrobił okropną minę i wycharczał:

- W jaskini wampira! Jak się zwiesz, śniadanie?!

- Nie jestem żadnym śniadaniem - jęknęła dziewczyna, z każdą sekundą blednąc coraz bardziej.

- W takim razie obiadem bądź kolacją! - oznajmił mój szurnięty przyjaciel nieznoszącym sprzeciwu tonem.

W oczach dziewczyny pojawił się strach. Nie wytrzymałem.

- Wowka, daj spokój. - Odwróciłem się do niej. - Nie zwracaj na niego uwagi, z nudów mu się we łbie przewracało. Jak masz na imię?

- Ania.

Uśmiechnąłem się.

- Ja jestem Andriej, a ten kawalarz z idiotycznym poczuciem humoru to Wowa.

- Bardzo mi miło. - Dziewczyna spąsowiała. Dałbym sobie łeb uciąć, że w czasach feminizacji i emancypacji kobiet podobne turgieniewskie hrabianki można było spotkać już tylko w filmach Michałkowa.

- Andriej, wyjaśnij mi jedną rzecz - wtrącił Wowka, wciąż stojąc pod drzwiami łazienki. - Anka zarumieniła się od tego, że jest jej bardzo miło. To zrozumiałe, ale dlaczego ty masz takie czerwone uszy?

Aż mnie zatkało na taką bezczelność i jedyne, co mogłem zrobić, to bezsilnie zerknąć na Anię. Dziewczyna zachichotała, zakrywając usta piąstką i zmierzyła mnie chytrym wzrokiem. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko wybuchnąć śmiechem.

Wowka ze zdziwieniem spojrział na mnie, potem na Anię i znów na mnie.

- Wesółki zakichane! - burknął.

- Chłopie, co ci jest?

- Co mi jest? Głodny jestem! A jak jestem głodny, to i zły. Po szesnastu latach znajomości wypadałoby to wiedzieć!

Co racja, to racja. Poznałem Wowkę, gdy miał cztery lata, a ja prawie pięć. Ach, to były czasy! Trzeba przyznać, że głodny Wowka robi się po prostu nie do zniesienia, i to do takiego stopnia, że człowiek zaczyna myśleć o wyniesieniu go z zaludnionego pomieszczenia nogami do przodu.

- Oj, jesteście głodni? - wymamrotała Ania, gorączkowo przerzucając rzeczy w wiszącej na jej ramieniu ogromnej torbie ze skóry albo jakiejś imitacji. - Zaraz, zaraz...

O! - Podała nam trzy kawałki pieczywa zapakowane w celofan.

- Co to? - podejrzliwie zapytał Wowka, podchodząc do dziewczyny.

Ale pieczywo wziął i od razu zaczął rozpakowywać!

- Słodkie bułeczki.

- Z KRWIĄ?! - ryknął, wbijając zęby w miękkie ciasto. Z rodzynekami zresztą. Najwyraźniej postanowił, że jak już udawać wampira, to na całego. Sądząc po opakowaniu, bułeczka została wypieczona w jednej z najlepszych piekarni w mieście.

Ania uśmiechnęła się lekko i kiedy zacząłem przeżuwać, zapytała:

- Andriej, dlaczego wy cały czas robicie z siebie wampirów? O krwi mówicie... To taka zabawa, zgadza się? - Z jej głosu bez trudu można było wyczytać: „Jesteście głuptasami, tak?”.

Jako kulturalny chłopak nie będę się obrażał z powodu aluzji, na pewno nie!

- Żeby tylko zabawa... - westchnąłem, przelękając kęs. - My po prostu jesteśmy wampirami. Zobacz. - Uniosłem palcami górną wargę, by dziewczyna mogła się przyjrzeć.

- Nabijacie się?!

- Czyżby? - do rozmowy wtrącił się Wowka. - No to wiedz, że uwielbiam doprowadzać ludzi do ostateczności. Kiedy dopada ich taka złość, że rzucają się z siekierą na sąsiadów, wzrasta im poziom hemoglobiny we krwi. Po prostu pychotka!

Kawalarz zakichany!

Na dodatek mlasnął głośno językiem, przez co Anka, najwyraźniej nieprzywykła do tego rodzaju żartów, zemdląła.

Ledwie zdążyłem ją złapać.

Potrzebowałem dobrych kilku minut, żeby wygarnąć Wowce, co o nim myślę.

- Ale co ja takiego zrobiłem?! Moja wina, że na żartach się nie zna?

Ostrożnie poklepałem dziewczynę po policzku.

- Ania, ocknij się!

Nagle otworzyła oczy i zapytała cicho:

- A nie wysiecie ze mnie krwi?

Zdaje się, że jednak nam uwierzyła.

- Skądże, przecież my nie wysysamy krwi! - zapewniłem ją natychmiast.

- Nic z tych rzeczy, od razu połykamy!

No i znów zemdląła. Boże jedyny, co ona taka wrażliwa?

Tym razem klepanie po policzkach nie przyniosło rezultatów. Postanowiłem skorzystać z bardziej drastycznych metod.

- Wowka, przynieś wody.

- A ty co, zaniki pamięci masz? Przecież sam mówiłeś, że nie ma w co nabrać.

- Rusz głową i coś wymyśl!

Wowka westchnął ciężko i poszedł do łazienki. Po kilku minutach coś przeraźliwie huknęło, a on wrócił do pokoju cały radosny i rozpromieniony. W rękach trzymał oderwaną od ściany umywalkę. Nie przyszło mu oczywiście do głowy, żeby zatkać odpływ, wołał zawiązać węża na supeł.

No pięknie, to tak jakby durniowi kazać modlitwy do Boga odmawiać. W ten sposób zdewastujemy biednemu Drakuli wszystkie pokoje. A zresztą, co się nim będę przejmował!

Podniosłem z podłogi szczękę i zapytałem:

- Czym ty tak walileś?

- Toż ona, zaraza jedna, była do ściany na cement przyklejona!

No tak, obraz jest wart tyle, ile pióro malarza albo pędzel pisarza. Tfu, psiakrew, na odwrót! Krótko mówiąc, długo jeszcze moim oczom będzie się ukazywać ten widok: Ania zemdlona na podłodze, ja na kolanach, a obok śmiertelnie obrażony kumpel, przyciskający do piersi umywalkę pełną wody.

I oto w kulminacyjnym momencie, kiedy Wowa przykucnęła, żebym mógł zamoczyć rękę i ochlapać ofiarę zemdlenia, rozległ się taki huk, jakby coś wieceelkiego wbiło się w drzwi (w te niby pancerne). Drzwi rymsnęły o podłogę, a w wejściu pojawiła się dziwnie znajoma twarz.

Przez kilka dłuższych chwil usilnie próbowałem sobie przypomnieć, do kogo należała.

Nagle do mnie dotarło. Do Wowy dotarło dokładnie w tej samej chwili i w kompletnym zdumieniu wypuścił z rąk umywalkę, chwiała Panu, tym razem nie na moją nogę.

Pochwyciłem Anię, lecz umywalka zdążyła się już przewrócić, a woda rozprysnąć po całym pokoju. Kilka kropli spadło dziewczynie na twarz. Odrzuciła nerwowo głowę, ale przytomności nie odzyskała.

Swoją drogą ten „gryzidziurek” to niezły osioł. Skoro nas tu zamknął, mógł przynajmniej jakiś dywan rozłożyć, dzięki czemu na podłodze nie powstałaby teraz wielka kałuża.

Stojący w progu wysoki brunet o ostrych rysach twarzy, odsunął się z niesmakiem (woda podeszła mu do butów i o mało nie zmoczyła płaszcz - czarnego, tak na marginesie), po czym rzucił zniecierpliwionym tonem:

- Macie zamiar tak siedzieć? A może chcecie tu zostać na zawsze?

Poderwałem się z miejsca. Jasna cholera! Całe spodnie od kolan w dół przemoczone do suchej nitki! Wowka bez pośpiechu otrząpał dłonie.

- My cię wszędzie szukamy, a ty tutaj? Jak nas znalazłeś?

Czarny Płaszcz zmierzył go wzrokiem.

- Zawsze czuję swoją krew.

Oczywiście zrozumiałem, że chodzi o napój z czary, ale Wowka był w swoim żywiole. Rozłożył szeroko ręce i radośnie krzyknął:

- Swoją krew?! Witaj, tato!

Młodzieniec (dopiero teraz się zorientowałem, że miał najwyżej dwadzieścia sześć lat) zająknął się, a potem wycedził przez zęby, czerwony ze złości:

- Gdybym miał takiego syna, udusiłbym go w kołysce.

- Nie może być - odparł z namysłem Wowka. - Mama mi mówiła, że byłeś agentem wywiadu i zginąłeś na służbie.

Kłamliwa gnida! Jego ojciec był pilotem!

Czarny Płaszcz zmarszczył brwi.

- Idziecie czy nie?

- Idziemy, idziemy. Idziemy, Andriej?

Mama zawsze mnie uczyła, żeby nigdzie nie chodzić z obcymi wujkami i ciociami.

- Idziemy. Tylko najpierw chciałbym poznać pańskie imię, proszę pa...

Ostatnie słowo chciałem zaprawić odrobiną sarkazmu, ale raptem, zupełnie nie wiedzieć czemu, ugryzłem się w język. Nieznajomy zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, jakby się zastanawiał, czy warto mi wyjawić wielką tajemnicę, po czym oznajmił z wyniosłą miną:

- Nazywam się Wład III Palownik, Drakula, gospodar Wołoski.

Prawie upuściłem dziewczynę. Klonują się czy jak? Nawet Wowka przestał stroić sobie żarty. Jedyne, na co było go stać, to pytanie:

- Serio?

Drakula Drugi z wyższością wycedził przez zęby:

- Można mi wiele zarzucić, drogi panie - jeszcze nigdy nie słyszałem, by ktoś wyraził tyle pogardy za pomocą tak krótkiego zdania - ale nie to, że okryłem swoje imię hańbą kłamstwa.

Ciekawe, a krócej się nie dało? Na przykład coś w stylu: „jak mamę kocham, w życiu nie skłamałem”?

- Andriej... - Wowka spojrział w moją stronę. - Jak sądzisz, prawdę gada?

- Nie mam zielonego pojęcia. - Wzruszyłem ramionami. - Nie zdziwiłbym się, gdyby za chwilę wleciał tu przez okno Piotruś Pan.

- Nieee. - Wowka pokręcił głową. - Piotruś Pan jest zmyślony.

Drakula Drugi zacisnął zęby.

- Wampiry też są zmyślone - skwitowałem.

- Dość tego! - ryknął. - Nie mam pojęcia, z jakiej choinki się urwaliście, ale wiem, że za chwilę wróci gospodarz, a wtedy nie chciałbym być w waszej skórze. Chyba że wolicie tu zostać? Wtedy jedyne, czego mógłbym mu życzyć, to żeby się wami udławił!

- Jak to: wróci? - zapytałem, ale typek w odpowiedzi pokazał mi plecy, zaszeleścił płaszczem i wyszedł, nie spoglądając za siebie.

- Andriej, nie wiem jak ty, ale ja lecę z gościem. Bądź co bądź nie próbował mnie zjeść. - Wowka podniósł torebkę Ani, zarzucił mi ją na szyję i wybiegł z pokoju.

Wyskoczyłem w ślad za nim.

Ależ ta dziewczyna ciężka! Na szczęście Wowka nie okazał się aż takim bucem, za jakiego go miałem w chwili, kiedy wziął nogi za pas. Czekał na mnie zaraz za wyłamanymi drzwiami i gdy tylko wyszedłem, zdjął mi z szyi torebkę.

- No i co, Romeo, idziemy? - zapytał.

- Sam jesteś Romeo!

- To się jeszcze oka...

- Cicho! - syknął Czarny Płaszcz stojący nieruchomo jak posąg kilka kroków dalej.

Przyłgnął plecami do ściany i wpatrywał się w półmrok korytarza. Mać-mać-mać! odpowiedziało swym zwyczajem echo. Gdzie się podziały wszystkie lampki? Pamiętam dokładnie, że kiedy tędy uciekaliśmy, paliło się światło. Czort z nim!

No i? Długo jeszcze będziemy tak sterczeć?

- Możesz iść - półgłosem odparł dubler Drakuli. - A za pięć minut zaciągną cię tu z powrotem.

Co jest?! Przecież nie powiedziałem tego głośno! Telepata zakichany!

- Co masz na myśli - „zaciągną nas z powrotem”? - dociekał Wowka. - Przecież sam mówiłeś, że możemy uciekać.

- Mówiłem - przytaknął wybawca z bożej łaski. - Tylko że w czasie, gdy co poniektórzy trzęśli portkami, wrócił gospodarz. A ja się z nim jeszcze nie witałem i póki co nie mam na to ochoty.

Przemoczone spodnie nieprzyjemnie kleiły mi się do nóg. Zabić tego Wowkę to mało, nie potrafi nawet zwykłego zlewu utrzymać!

- A gdzie był? - zapytałem.

- A tobie co do tego? - uciął typek. - Po prostu wyczuwam, gdy w pobliżu kręcą się nocni łowcy i tyle!

Nie mógł powiedzieć nie wiem, tylko od razu „co ci do tego!, co ci do tego!”? Nieładnie.

- Zostawisz nas? - bąknął Wowka, przystając z rozdziawionymi ustami. - O rany, ta telepatia jest zaraźliwa? Przenosi się drogą kropelkową?

- Nie, przez krew! - ryknął zębaty.

- Znaczy, że to dopiero początkowa faza działania spida? O mamus...

Drakula Drugi zgromił Wowkę wzrokiem. Z jego miny można było wyczytać, że uważa chłopaka za cymbała, którego rozwój umysłowy zatrzymał się na poziomie ameby czy pantofelka.

* * *

Po chwili Czarny Płaszcz zniknął za rogiem. Spojrzeliśmy z Wowką po sobie i zgodnym krokiem ruszyliśmy za nim.

Ściana przesłaniająca schody odsunęła się powoli, pozwalając, by z dołu dobiegły nas czyjeś rozgorączkowane głosy. Możliwe że „tatuś” Wowki zdążył obić komuś głowę, zanim przybył z odsieczą. A może i nie...

Po chwili usłyszeliśmy, jak ktoś niespiesznym krokiem wchodzi na górę. Czarny Płaszcz wycedził coś przez zęby i nie było to nic cenzuralnego. Co jak co, ale po przestudiowaniu tyłu słowników potrafię odróżnić zwykle słowo od przekleństwa, choćby nawet nie zostało dopowiedziane.

Tak czy owak Czarny Płaszcz, niewiele myśląc, złapał za klamkę pobliskich drzwi i zniknął w ciemnościach pomieszczenia. Nie pozostało nam nic innego, jak pójść za nim. Kiedy znaleźliśmy się w środku, stał obok masywnego stołu zawalonego stertą papierów.

- Pomóście mi go przestawić!

Chociaż raz by poprosił, ale nie, wciąż tylko rozkazuje! A dziewczynę niby gdzie mam położyć?

- Na fotel - zakomenderował „tатko” Wowki.

Kurka wodna, nawet nie mogę nic powiedzieć! Mimo wszystko postanowiłem skorzystać z jego rady (zresztą, miałem inny wybór?). Ostrożnie położyłem Anię na fotelu, a potem we trzech przeciągnęliśmy stół pod drzwi. Dokładnie w tej samej chwili ktoś zaczął się niecierpliwie do nas dobijać, po czym przeraźliwie wrzasnął:

- SA TUTAJ!

Co teraz z nami będzie? Spojrzałem wyczekująco na Drakulę Drugiego. Spodziewałem się, że zaproponuje kilka wariantów ucieczki, ale zamiast tego

znieruchomiał, zapatrzony w jeden punkt. Zastanawiając się, co też przykuło jego uwagę, skierowałem wzrok w tę samą stronę. Pod ścianą na sztaludze leżał nieoprawiony jeszcze obraz przedstawiający młodą dziewczynę w średniowiecznym stroju łowieckim.

Żaden ze mnie znawca sztuki, ale dziewczyna była namalowana naprawdę pięknie. Męski strój z zielonego aksamitu niesamowicie podkreślał złoty kolor włosów i głębię błękitnych oczu. Na ustach gościł delikatny uśmiech.

Patrząc na obraz, odnosiło się wrażenie, jakby nieznana modelka, trzymająca lewą rękę na rękojeści szpady zwieszanej u prawego boku, zaglądała człowiekowi prosto w serce.

Potrząsnąłem głową, by odegnąć przywidzenie. Drakula nie odrywał oczu od obrazu, a tymczasem w drzwi łomotali już na całego. Czarny Płaszcz bez pośpiechu przeciągnął palcem po płótnie: pozostał na nim ślad niewyschniętej jeszcze farby. Nie wytrzymałem i złapałem go za ramię.

- Ej, czas na nas!

Odwrócił się gwałtownie i zmierzył mnie wzrokiem. Miałem wrażenie, jakby w mojej podświadomości wygrzmiały boleśnie palące słowa:

ZABIERZ ŁAPY, PACHOŁKU!

Cofnąłem się niepewnie, a on wytarł dłoń w leżące na stole papiery, po czym omiół pokój posępnym spojrzeniem. Tymczasem Wowka zdążył już sprawdzić, co się kryje za bocznymi drzwiami, wyjrzał za okno i nawet nie dostrzegłszy, jak Drakula dziwnie patrzy na obraz, oznajmił optymistycznie:

- Nie ma dokąd uciec. Za drzwiami jest sypialnia, za oknem balkon.

Hmm...

Czarny Płaszcz potrząsnął głową. Gdy wreszcie zespolił się z rzeczywistością, rzucił:

- Musimy skakać.

- Co takiego?! - wrzasnęliśmy z Wowką jak na komendę.

- To co słyszeliście. Skoczycie i wylądujecie nogami na ziemi.

- Aaa... - zacząłem nieśmiało.

- Chodzi o dziewczynę? Po co wam ona? Zostawcie ją tutaj.

- Yyy...

- Jasne. Jeden z was skoczy pierwszy i ją złapie.

Przecież to logiczne.

* * *

Wowka otworzył na oścież drzwi balkonowe i zeskoczył. Wziąłem Anię na rękę, bez trudu przełożyłem ją przez balustradę, a on odebrał ją na dole. Nadal nie reagowała na bodźce.

Na szczęście wszyscy dobijali się do drzwi, więc na podwórzu nikogo nie było. Wróciłem do pokoju po torebkę, a przy okazji również po Drakulę i zauważyłem, jak nasz nowy towarzysz podnosi z przesuniętego już o kilka centymetrów stołu zapisaną kartkę. W jego ręce błysnął sztylet (zrobiło mi się nieswojo, delikatnie mówiąc), który zaraz potem świsnął w powietrzu i wbił się we framugę drzwi aż po samą rękojęść. Na końcu Czarny Płaszcz przytwierdził do niego list.

Ciekawy sposób zostawiania wiadomości!

Przerzuciłem torebkę Ani przez ramię, żeby mieć wolne ręce, gdy tymczasem Drakula odsunął ciężką storę i wyszedł na balkon. Pospieszyłem za nim. Stół przesunął się o kolejnych kilka centymetrów.

Czarny Płaszcz z łatwością zeskoczył na dół i wylądował tuż obok Wowki. Ja również wyskoczyłem, o mały włos nie spadając mu prosto na głowę.

I co dalej? Przed nami potężny mur z cegieł, a brama zamknięta!

- Jak dzieci... - burknął Drakula i podszedł do muru.

Pewnie za chwilę krzyknie „hiii-ja!” i wybije w nim dziurę nogą... Nic takiego się nie wydarzyło. Gościu podskoczył, wczepił palce w cement między cegłami i wlaż na samą górę.

Rozdziawiłem gębę z wrażenia.

- Murarzem głowy bym pourywał. Co to za cement?! Piasek, nie cement! - sarknął wampir, po czym wycedził: - Długo macie zamiar tak stać? Dawajcie tu dziewczynę.

- A jak ją przerzucimy? - zapytał rozsądnie Wowka.

Wziąłem od niego Anię. Drakula podał mu rękę i Wowa bez problemu wszedł na ogrodzenie, uniósł rękę w teatralnym geście triumfu, po czym zlażł na drugą stronę. Ostrożnie podałem dziewczynę Drakuli, który przekazał ją Wowce, a potem podał rękę mnie.

- Dawaj!

Nagle zza rogu dobiegł nas czyjś głos:

- Szefie! - wołał jeden z odźwiernych. - Postawiłem samochód w gara...

Wtedy nas dostrzegł. Niczym w zwolnionym tempie zobaczyłem, jak jego oczy robią się okrągłe, jak usta otwierają się do krzyku i jak w tej samej chwili w gardle utkwiał mu sztylet z czarną, wypolerowaną na błysk rękojeścią.

Kafar uniósł bezwiednie rękę, po czym nie wydając z siebie najmniejszego dźwięku, runął na ziemię.

- Idziesz czy nie? - rozległ się nade mną głos Drakuli Drugiego.

Spojrzałem w górę.

- Czy on nie powinien teraz wyciągnąć sztyletu i ruszyć za nami w pogoń?

- Za dużo filmów się naoglądałeś. Sztylet jest srebrny. Dawaj rękę!

* * *

Ledwie zdążyłem przejść przez mur, Wowka przekazał mi Anię.

- Zabieraj swoją narzeczoną.

A to świnią! Jaką, psiakrew, narzeczoną? Co on, z drzewa spadł i to prosto na jeża?

Wowka z miną niewiniątka zatrzepotał rękami.

Wtem tuż obok nas pojawił się Drakula. To uratowało Wowkę przed najbardziej okrutną zemstą, jaką można sobie tylko wyobrazić. Nic to, jeszcze mu dam do wiwatu.

- Chodźmy - spokojnym tonem rozkazał wampir.

- Już, już. - Chwyciłem dziewczynę wygodniej. - Wowka, nie wydaje ci się, że dawno powinna była odzyskać przytomność?

- Ona śpi - odpowiedział za Wowkę Czarny Płaszcz.

Śpi? O tej porze? Żarty żartami, ale to już przestaje być śmieszne.

- Śpi, bo ja tak chcę - doprecyzował. - A teraz chodźmy.

Ruszył ulicą w dół. Cóż było robić? Podreptaliśmy za nim. Mogłem teraz rozejrzeć się dookoła. Wyglądało na to, że Drakula Pierwszy mieszkał w modnej dzielnicy miasta: po obu stronach wznosiły się jedno - i dwupiętrowe domy w nowobogackim stylu, otoczone żelaznymi ozdobami i murowanymi ogrodzeniami.

* * *

Stół blokujący drzwi powoli przesunął się na bok. Jeszcze tylko kilka pchnięć i... Niewłaściwa ocena sił spowodowała, że dwa wampiry wpadły do środka. W ślad za nimi do gabinetu wszedł sam Drakula.

Omiotł pokój spojrzeniem, zerwał list z framugi. Po chwili zgnieciony papier wylądował na podłodze.

- Diabeł!

* * *

Jakiś czas włóczyliśmy się po ulicach miasta, aż w końcu dotarliśmy do dziwnie znajomego miejsca.

- Chyba jesteśmy na placu „Trzech Ptaków” - z namysłem powiedział Wowka.

- Że niby gdzie? - spojrzałem na niego pytająco.

- Andriej, aleś ty zacofany! Nie znasz miejscowego żargonu? Zobacz, tam jest policja, a tam kiedyś była kawiarnia „Jaskółka”. Teraz to się nazywa „U Wasilicza” czy jakoś tak. A dalej jest kinoteatr „Sokół”, a właściwie to był, bo już go zamknęli.

- Sokół i jaskółka to dwa ptaki. Gdzie trzeci?

- Chłopie, ty nie jesteś zacofany, ty jesteś dinozaur. A według ciebie policjanci nic wspólnego z ptakami nie mają? Nie pamiętasz, jak kiedyś czarnymi „wronami” jeździli? A wrona to wrona.

- Starczy tego burczenia! - wrzasnął Drakula. - Idziemy.

Zbliżył się do krawędzi chodnika, by złapać taksówkę. Ciekawe, czy z takim wyglądem ktokolwiek nas w ogóle zabierze?

- Nikt was nawet nie zauważy - rzucił przez ramię.

* * *

Minęło trochę czasu, nim ktoś wreszcie się zatrzymał. Kierowca wystawił głowę przez okno i zapytał:

- Dokąd jedziemy?

- Daleko - mruknął wampir.

Nagle oczy kierowcy zaszyły mgłą, a po chwili nieszczęśnik wydukał:

- Zapraszam, milordzie.

Niezbyt mi się to wszystko podobało. Z drugiej strony wracać do domu piechotą? Nieee... Pewnie przed świtem bym nie zaszedł.

* * *

Wsiedliśmy do samochodu, Drakula do przodu, a my we troje do tyłu. Ania położyła mi głowę na ramieniu. Kierowca gwałtownie zacisnął ręce na kierownicy i zapytał ochrypłym głosem:

- Dokąd jedziemy, milordzie?

Drakula odwrócił się i unióśł brwi, a Wowka wbił we mnie wzrok. Nie wytrzymałem.

- Do szpitala rejonowego.

- Po co?! - ryknął Wowka. - Chcesz przebadać Ankę? Przecież to nie poliklinika.

- Teraz to ty jesteś zacofany! A gdzie niby mieszkam? Obok szpitala. Rodziców nie ma w domu. Chyba że wolisz pojechać do ciebie?

Wowka unióśł głowę i przyglądając się bacznie tapicerce na dachu, zanucił:

- Lalala, tititi, alem dziś głupiutki! Lalala, tititi, alem dziś...

- Nie da się ukryć - mruknąłem i mój niesforny przyjaciel wreszcie umilkł. Jego podśpiewywanie zaburzyło jednak stan hipnozy, w jakim znajdował się kierowca. Mężczyzna potrząsnął głową i zaczął powtarzać:

- Dokąd jedziemy, milordzie? Dokąd jedziemy, milordzie? Dokąd jedziemy...

- Do szpitala! - wrzasnął poirytowany Drakula. Po co te nerwy? Trochę więcej cierpliwości, to i ludzie będą miłsi.

Kierowca wcisnął pedał gazu. Wowka, któremu pogroziłem pięścią, demonstracyjnie odwrócił się w stronę okna. Przez chwilę czegoś w nim wypatrywał, a potem zaniósł się histerycznym śmiechem, chowając twarz w dłoniach.

- Co jest? - zapytałem nieco wystraszony.

Wskazał palcem okno. Niczego dziwnego ani tym bardziej zabawnego nie zauważyłem: wyburzony do połowy budynek kinoteatru, płot i plakaty reklamujące występy przyjezdnych gwiazd.

- No i?

Wowa znów wyciągnął palec, nie przestając chichotać, ale tym razem wskazał wiszącą na płocie tabliczkę: „Wejście na teren budowy może spowodować uszczerbek na zdrowiu”.

- Nie łapię...

- Po prostu wyobraziłem sobie - zaczął wyjaśniać, próbując opanować śmiech - że to niebezpieczeństwo to pewnie kierownik budowy, który biega dookoła placu, a jak się kto nawinie, to go ciach łomikiem w łeb.

Ja również się roześmiałem, kiedy wyobraziłem sobie opisaną scenę: wieczór, półmrok i biegający wokół płotu chłop w uniformie z drągiem w ręku.

- Boże! - doszedł nas cichy jęk z przedniego siedzenia. - Za jakie grzechy pokarałeś mnie tymi idiotami?

A on co, na żartach się nie zna?

Wreszcie przejazdka dobiegła końca. Szczerze mówiąc, nie wierzyłem, że dotrę do domu w jednym kawałku: przez całą drogę kierowca ani razu nie spojrział we wsteczne lusterko!

Samochód gwałtownie zahamował naprzeciwko szpitala rejonowego. Wysiedliśmy ostrożnie. Kiedy z taksówki wylazł Drakula, zaczęły się kłopoty: kierowca, dostrzegłszy nas w lusterku, najpierw gapił się na nas w całkowitym osłupieniu, a potem wyskoczył na ulicę.

- Co się tu (piiip!) dzieje?! Jak ja się tutaj (piiip!) znalazłem?! I kim wy (piiip!) jesteście?!

Drakula podszedł do nas powoli, okrążając samochód od strony maski, a zdenerwowany kierowca dał nura do środka i zaczął rozpaczliwie szukać młotka pod siedzeniem. Wampir oparł się o drzwi, po czym wymruczał cichym tonem hipnotyzera:

- Spójrz mi w oczy.

Taksiarz podniósł głowę i znieruchomiał na widok czarnych źrenic Drakuli. Młotek wysunął mu się z ręki i z głośnym stukiem uderzył o asfalt.

- A teraz - kontynuował Drakula - wsiądziesz do samochodu i gdy policzę do trzech, odjedziesz tam, gdzie się spotkaliśmy i niczego nie będziesz pamiętał. Raz, dwa, trzy.

Mężczyzna zatrzasnął drzwi, samochód ruszył i popędził w siną dał. O ja nieszczęsny, prawie mnie przejechał! Trzymałem Anię, więc ledwie zdążyłem uskoczyć.

Drakula potrząsnął głową. Odgarnął z twarzy kosmyk długich, lekko zakręconych kruczoczarnych włosów i wymamrotał coś w rodzaju: „Boże, jaki jestem zmęczony”. Potem znów wbił w nas gały, marszcząc czoło.

- Będziecie tak sterczeć jak żony Lota, czy możemy już iść? Gdzie mieszkaś?
- Chodźmy - westchnąłem.

* * *

Na szczęście mój blok znajdował się nieopodal. Kiedy weszliśmy do klatki, zaczęły się kłopoty. Po pierwsze winda nie działała i musieliśmy pójść pieszo, i to na siódme piętro! Po drugie wciąż trzymałem na rękach dziewczynę. Miałem wrażenie, jakby z każdym piętrem przybywało jej na wadze z pięćdziesiąt kilogramów. Albo nawet i sto. Wowka bez trudu wyprzedził mnie i krzyknął:

- Andriej, ładnie ci w tym krawacie!
 - W jakim krawacie? - zapytałem zdyszany.
 - Czerwonym! Na twoim ramieniu! Ach, to twój język! Wybacz, pomyliłem się!
- GADZINAAA!

Zanim dotarliśmy do piątego piętra, zdążył cztery razy nazwać mnie Romeem i trzykrotnie zaśpiewać „zakochana para, Jacek i Barbara”. Nim doszliśmy do szóstego, powziąłem mocne postanowienie: jak już będziemy u mnie, zastrzelę go, wypruję mu flaki, zrobię z niego wiatrak, a po wszystkim będę się pastwił nad jego ciałem, ćwiartując je na kawałki. O ile coś z niego zostanie.

Kiedy jednak stanąłem na siódmym piętrze przed drzwiami mieszkania (gdzie już czekał wsparty o poręcz Drakula, który nie wykazywał najmniejszych oznak zmęczenia), Wowka przejął Anię i powiedział z uśmiechem:

- Poszukaj kluczy.

Grzebiąc w kieszeniach, postanowiłem, że mu przebaszę (tfu, przebaczę, oczywiście), ale ledwie o tym pomyślałem, znów zaczął swoje:

- Romeo, Romeo!

A jednak kawał drania z niego! Chociaż to mój kumpel, pomyślałem, wyciągając brelok z kluczami. Albo może na odwrót? Mój kumpel, chociaż drań?

Ledwie przekręciłem klucz w zamku, Wowka oddał mi Anię, a sam chwycił za klamkę. Lepiej by było, gdyby tego nie zrobił.

Cudem zdołał odskoczyć, kiedy na klatkę wyskoczyły dwa kudłate stwory, prawie go przewracając. W szalonym pędzie brązowe ciao-ciao minęły nas i pognały w stronę schodów, a potem zniknęły z widoku. Mało brakowało, a zdeptałyby Bogu ducha winnego Drakulę.

Świetnie, teraz jeszcze trzeba będzie psy łapać. Za jakie grzechy mnie to spotyka!

Kiedy położyłem dziewczynę na wersalce w dużym pokoju, a jej torbę postawiłem na podłodze, jęknąłem:

- Wowka, poszukaj czegoś w lodówce. Idę po psy.

* * *

Kiciuś i Mruczuś, sierściuchy paskudne, biegały dookoła podwórka, a ja niemrawo wodziłem za nimi wzrokiem, uwieszony na drzwiach. Żreć mi się chce, aż strach, a te zapchlone kundle latają, jakby im kto soli na ogon nasypał. Niech je wyłapią i na szaszłyki przerobią! Tuby dopiero Romek, mój szanowny braciszek, lament podniósł. „Buuu, moje pieski, buuu!” Tak, tak - JEGO pieski. Ale jak trzeba wyprowadzić, to go nigdy nie ma. Zawsze ja muszę. I jeszcze wyrobił sobie gówniarz nawyk, że jak tylko coś się dzieje, to od razu w ryk: „Na dzieeeeku się wszyyyscy wyżywiają!” (Żebyście tylko słyszeli, jak on potrafi żałośnie zawodzić).

Dziecko, psia mać! Siedemnastoletni chłop, wyższy ode mnie o głowę. Dziecko! Sami przyznajcie - czy to nie gadzina? A po wszystkim dodaje: „Krzywdzą biedne, nieletnie dziecko!”

Kiedyś nie wytrzymałem i zapytałem:

- Romciu, co zrobisz, jak ci stuknie osiemnastka?

- Hmm... Powiem, że krzywdzą biedne dziecko, które dopiero co osiągnęło pełnoletność.

- A jak będziesz miał dziewiętnaście?

- Powiem, że krzywdzą biedne dziecko, które już dawno osiągnęło pełnoletność.

- A jak dwadzieścia? - nie dawałem za wygraną.

Zamyślił się, a potem wyrecytował:

- Wtedy powiem, że krzywdzą biedne, nieletnie według amerykańskiego prawa dziecko!

Tego to go pewnie nauczył Wowka, prawnik zakichany!

Wreszcie psy się wybiegały i stanęły przy mojej nodze. Pogłaskałem Kiciusia po głowie, wytarłosłem Mruczusia za uszy, po czym wpuściłem je do klatki. Weszły co prawda powoli, ale dogoniłem je dopiero na siódmym piętrze.

Na szczęście drzwi zostawili otwarte. Wtoczyłem się do mieszkania, zdjąłem buty, wrzuciłem skarpetki do pralki i poszedłem do swojego pokoju, żeby się przebrać.

Włożyłem dzinsy oraz pierwszą lepszą koszulę w kratę, która wpadła mi w ręce. Okazało się, że koszula należy do Romka, bo była nieco przyciasna w ramionach. Ale to już jego problem. Poza tym wyglądała, jakby przebiegło po niej stado słońi.

* * *

Wowka postawił na stole grubo pokrojoną kielbasę, ser, wyciśniętą do połowy cytrynę (widać noża mu się nie chciało naostrzyć), ciasteczka oraz herbatę. Wciąż ubrany w płaszcz Drakula siedział przy oknie (szczerze mówiąc, zawsze mi się zdawało, że płaszcz to okrycie wierzchnie, które w domu się zdejmuje). Gdy tylko wszedłem do pokoju, rzucił mi lodowate spojrzenie, aż nabrałem ochoty wrócić do sypialni i jeżeli nie schować się pod łóżkiem, to przynajmniej wskoczyć we frak czy smoking. Byłby to jednak nie lada kłopot: jedyny garnitur, jaki miałem, rodzice kupili mi na studniówkę i już dawno z niego wyrosłem. Rad nierad, musiałem zapomnieć o tym pomysle. Klasnąłem w dłonie i usiadłem przy stole. Łyżeczka kawy rozpuszczalnej, dwie łyżeczki cukru, wrzątek. Boże, ależ ja jestem zmęczony!

- To dopiero początek - ponuro stwierdził Czarny Płaszcz.

- Pocieszające - mruknął Wowka. - Może byś nam przy okazji powiedział, jak się do ciebie zwracać?

- Po pierwsze, nie do „ciebie”, tylko do „pana”. Nie przypominam sobie, żebyśmy pili bruderszaft. Po drugie, już mówiłem - jestem Wład III Palownik, Drakula, gospodar wołoski.

- Jasne... - wyraził swoje wątpliwości Wowka. - Ten facet, u którego byliśmy w gościach, też twierdził, że się nazywa Wład Drakula.

- MÓWIŁ. ŻE. SIĘ. NAZYWA. WŁAD. DRAKULA?! - Zębatego aż zagulgotało w gardle.

Palce lewej dłoni, którą trzymał na stole, pobielaly, a kiedy już opanował odrobinę nerwy (choć jak tam nerwy, wściekłość nie nerwy) i podniósł rękę, na blacie dostrzegłem cztery wgniecenia.

Co ja powiem staruszkom?!

- Mówił, że się nazywa Wład Drakula - potwierdziłem, usiłując zachować spokój.

- Aha - wtrącił znów Wowka. - To znaczy, że nie jest Drakulą?

Czarny Płaszcz zazgrzytał zębami.

- Naprawdę jestem Wład III Palownik, Drakula, gospodar wołoski. Jeśli mi nie wierzycie, to już wasza sprawa! - Gwałtownie zerwał się z miejsca.

- Ej, ej, ej! - wypalił Wowa. - Przypuśćmy, że ci wierzymy. Może byś nam coś o sobie opowiedział?

Czarny Płaszcz powoli opadł na wersalkę.

- Urodziłem się w 1435 roku. Do czternastego roku życia mieszkałem na dworze tureckiego sułtana. W 1456 zasiadłem na tronie Wołoszczyzny. - Trzydzieści pięć plus czternaście to czterdzieści dziewięć, zgadza się? - Jeszcze jakieś pytania?

Ton miał lodowaty jak w tej piosence: „My jesteśmy pingwinkami, zimna nie czujemy, na Północy żyjemy”. Dosięgło mnie kolejne niezbyt przyjazne spojrzenie. Aż się zakrztusiłem, próbując zdławić śmiech.

- Czy ty... czy pan jest człowiekiem? - zapytałem.

- Oczywiście! - burknął z oburzeniem Drakula. - Pamiętam, jak w 1458 roku na zamku w Târgoviște...

- Gdzie?

- W Târgoviște. To stolica Wołoszczyzny.

O mało nie palnąłem: „a gdzie to jest?”, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język. Jutro poszukam w Internecie.

- Znalazłem księgę napisaną po łacinie - ciągnął zębaty. - Było w niej zaklęcie, które według autora zapewniało nieśmiertelność. Wyczytałem w niej również, że jeśli śmiertelnie ranny człowiek wypowie zaklęcie, będzie mógł odzyskać utraconą krew, uzupełniając braki krwią innego człowieka.

- Wampiryzm... - wymamrotałem.

- Niezupełnie. Dotknięta zaklęciem osoba nie boi się światła, osiki i tych wszystkich głupot, mimo że jest nieśmiertelna tak samo jak wampir.

- A co się dzieje z człowiekiem, któremu wyssano krew? - zainteresował się Wowka. - Umiera?

- Nie. Jeżeli utrata krwi będzie niewielka, nieszczęśnik może nawet nie zauważyć, że ktoś się nim pożywał. Jeśli zaś będzie tak duża, że mogłaby spowodować śmierć, wówczas stanie się nocnym łowcą.

- Vampiris sapiens vulgaris - powiedziałem z namysłem.

- Andriej, nie wymądrzaj się! - fuknął Wowka. - I tak nikt cię nie rozumie!

Świnia! To nic, jeszcze mu pokażę. Będzie kiedyś potrzebował, żeby mu coś z angielskiego przetłumaczyć. Figa z makiem!

- A ty piłeś cudzą krew?

- Kilka razy - odpowiedział Czarny Płaszcz. Ciekawe, dlaczego Wowce pozwalał, żeby go tak tykał?

- A kiedy pierwszy raz?

Drakula zamknął oczy, próbując sięgnąć w najgłębsze zakamarki pamięci.

- Siedemnastego czerwca 1462 roku. Podczas nocnego ataku zostałem zrzucony z konia i śmiertelnie ugodzony. W pobliżu leżał jakiś Turek, nie widziałem jego twarzy, była zalana krwią. Ktoś mu rozciął głowę szablą.

W ciszy, która zapadła, wyraźnie słyszeliśmy, jak Wowka siorbie herbatę.

- A co z nami? - zapytałem. - Dlaczego światło nas nie rusza?

- Wy dwaj dostąpiliście innego rodzaju inicjacji. To przecież wy wypiliście moją krew, a nie ja waszą. Dlatego ani światło, ani osika na was nie działają.

- A srebro? Krzyż? No i te kły? Jak długo to wszystko będzie się ciągnęło?

Drakula w zadumie potarł palcem podbródek.

- Na srebro przestaniecie reagować za kilka dni. Jeśli chodzi o zęby... Niedługo nie będą widoczne. Oczywiście jeśli zechcecie, znów mogą się pojawić. No i nie jesteście nieśmiertelni.

- Hura - wyszeptał Wowka.

Jeśli mnie pamięć nie myli, ktoś tu twierdził, że nigdy nie kłamie. Co w takim razie miało oznaczać to „chcecie być nieśmiertelni”, ja się pytam? Chociaż tak naprawdę chyba nie chciałbym usłyszeć odpowiedzi.

- A co z krwią? Dlaczego nie mamy ochoty jej pić?

- Z tego samego powodu, co ja.

- Dlaczego więc tamtemu wampirovi tak zależało, żebyśmy zamoczyli usta we krwi?

Drakula spiorunował mnie wzrokiem.

- NAPRAWDĘ tego chciał?!

- No. - Zgodnie potakaliśmy z Wowką głowami. - Chciał nas zmusić!

Czarny Płaszcz położył łokcie na stole, splótł palce, oparł na nich podbródek i głęboko się zamyślił. Po chwili wolno przemówił:

- W tej książce było napisane, że jeśli nocny łowca wypije krew dziennego łowcy, który z własnej woli umoczył usta w ludzkiej krwi, wtedy nocny łowca uniewrażliwi się na światło dzienne.

Ale się porobiło!

Drakula wstał tak gwałtownie, że poły płaszcz zatrzepotały niczym skrzydła.

- Gdybyście się znaleźli w niebezpieczeństwie, możecie mnie wezwać. Nie musicie nic mówić. Usłyszę nawet wtedy, gdy przywołacie mnie myślami.

Ruszył z miejsca i kiedy przechodził obok mnie, dodał:

- Dziewczyna obudzi się za pół godziny. Wymyślcie jakąś historyjkę, żeby jej wytłumaczyć, jak się tu znalazła.

Potem skierował kroki do przedpokoju (skoczyłem na równe nogi), pchnął drzwi (przecież zamknąłem na klucz!) i pomknął schodami w dół.

- Wiesz - odezwał się Wowka, wylewając resztki herbaty do zlewu. - Mam dziwne przeczucie, że kiedy Drakula częstował nas swoją krwią, nie kierowała nim wdzięczność.

Oto, w jaki sposób ludzie stają się cynikami - najpierw przestają wierzyć w bezinteresowność, a potem sami za „dziękuję” nic dla innych nie robią.

* * *

Zamyśliłem się.

- A ja sądzę... Drakula mówił, że człowiek zamienia się w wampira, kiedy straci dużo krwi. Ale jak wygląda sam proces przemiany?

- Andriej, myślę, że nie chodzi o krew, tylko o genetykę.. Może to jest tak: po wypowiedzeniu zaklęcia - o ile Drakula nie kłamał - kod DNA ulega przemianie i człowiek zyskuje nieśmiertelność. Gdy wampir wbija w człowieka zęby, wprowadza do jego organizmu, dajmy na to, ślinę zawierającą wadliwe geny. Jeżeli człowiek jest całkowicie zdrowy, jego przeciwciała bez problemu potrafią zwalczyć obce komórki. Jeżeli zaś jest poważnie chory, odniósł groźną ranę czy utracił dużo krwi, osłabiony organizm nie potrafi zwalczyć złych komórek i tak powstaje nowy wampir.

Zmierzyłem Wowkę wzrokiem.

- Na pewno jesteś prawnikiem, a nie biologiem?

- Co najwyżej bałwanem! Gdybym był mądrzejszy, nie dałbym się złapać na ten twój tani numer z zaproszeniem na piwo, tylko spokojnie sobie spał.

Co takiego?! To niby JA go namawiałem do picia? Przecież to on do mnie przylaźł z piwkiem!

Wowa dostrzegł grymas oburzenia na mojej twarzy.

- No dobra, żarty na bok. Lepiej pomyślmy, co powiemy Ani. Co sądzisz o...

* * *

Ania zgodnie z obietnicą Drakuli, otworzyła oczy pół godziny później. Zerwała się gwałtownie, usiadła na wersalce i z przerażeniem spojrzała na mnie i na Wowkę.

- Gdzie ja jestem?

- Nie bój się - zacząłem ubierać w słowa naprędce wymyśloną historię. - Szłaś ulicą, potknęłaś się, upadłaś i straciłaś przytomność. Ja akurat szedłem za tobą, zobaczyłem, jak się osuwasz, złapałem cię i przyniosłem tutaj. Tyle!

Tylko nie mówcie, że to brzmi niedorzecznie. Wersja Wowki była jeszcze gorsza: „To jest sen! To wszystko ci się śni! Kiedy się obudzisz, wszystko zniknie!” A do tego gadał takim charakterystycznym tonem i machał czymś dziewczynie przed oczami. Hipnotyzer od siedmiu boleści. Postukałem się w czoło i powiedziałem:

- Nie zapomnij na koniec dodać: „Pamiętaj, Neo, łyżka nie istnieje!”.

- Co takiego? - Wowka nie załapał.

- A to, że głupoty wygadujesz i tyle!

W końcu doszliśmy do porozumienia i przyjęliśmy moją wersję wydarzeń. Kiedy skończyłem opowiadać, Ania spojrzała na mnie sceptycznie i zmrużywszy oczy ze strachu przed własnym zuchwalstwem, krzyknęła:

- Kłamstwo! My się znamy. Spotkaliśmy się w takim pokoju z lustrami. Powiedzieliście, że jesteście wampirami. Pamiętam wasze imiona, ty jesteś Andriej - wycelowała palec w Wowkę, a ty Wowka - wskazała na mnie.

- Odwrotnie - westchnąłem niczym skazaniec.

- To znaczy?

- Ja jestem Andriej, a on Wowka.

Musieliśmy powiedzieć jej prawdę, celowo jednak nie wspomnieliśmy o pogawędce z Czarnym Płaszczem. Ania w milczeniu wysłuchiwała tych rewelacji, po czym stwierdziła:

- Bzdury.

- Wybacz - bąknął Wowka - ale musisz wybierać: albo bzdurną, albo zmyśloną opowieść. Trzeciej wersji nie ma.

Zaskoczona dziewczyna rzuciła mu przelotne spojrzenie, a potem zapytała nieśmiało:

- Mogę stąd iść?

- Oczywiście. - Wowka wzruszył ramionami, a ja, starając się zignorować jego złośliwie błyszczące oczka, zaproponowałem:

- Odprowadzę cię do autobusu.

- Dziękuję - zgodziła się Ania.

Podreptałem do swojego pokoju, ubrałem koszulę we właściwym rozmiarze, po czym podniosłem z podłogi torebkę i oddałem ją właścicielce.

- Idziemy?

Wowka zaczął cicho nucić motyw z „Romea i Julii” czy coś w tym rodzaju. Jak wrócę, to go zabiję!

* * *

Szliśmy na przystanek w zupełnym milczeniu, aż w końcu nie wytrzymałem.

- Ania, może cię odprowadzę do domu, żeby rodzice na ciebie nie krzyczeli?

Jaka tam miłość, do stu diabłów? Troska zwyczajna! Dziewczyna uśmiechnęła się ciepło.

- Nie nakrzczą. Nie jestem stąd, mieszkam w akademiku.

- Ale sesja na wszystkich uczelniach skończyła się trzy dni temu. Czy ty masz do połowy czerwca?

- Nie, po prostu musiałam zostać jeszcze kilka dni w mieście. W środę wyjeżdżam.

Znów zapadła grobowa cisza. Gdyby za każdą minutę niezręcznego milczenia na świecie pojawiał się nowy człowiek, to za tę przerwę w rozmowie z Anią urodziłoby się ich ze trzydziestu.

Wreszcie zza zakrętu wyjechał poranny autobus. Ania dojrzała jego numer.

- O, to mój. Na razie, Andriej!

I nagle jakby sam diabeł mnie podkusił:

- Dasz mi swój telefon?

- Co? - zapytała ze zdziwieniem.

- Swój numer. Dasz?

Ania chrząknęła.

- Zapisz.

Nie miałem nic do pisania. Wyciągnęła z torebki cienkopis, a ja szybko naskrobałem cyfry na dłoni.

- Dzięki. No to do zobaczenia.

- A ty mi swojego nie dasz?

Hmm, jednak mi odbiło.

- Notuj.

Wydobyła z torebki stary, sfatygowany brulion i zapisała numer. Potem uśmiechnęła się wesoło, pomachała mi na pożegnanie i wsiadła do autobusu. Odprowadziłem ją wzrokiem i wróciłem do domu.

* * *

Wowka siedział z nogami na oparciu wersalki i leniwie przeglądał „Poniedziałek zaczyna się w sobotę” Strugackich. Kiedy wszedłem do pokoju, podniósł głowę.

- I co, Romeo, zdobyłeś telefon Julii?

- Słuchaj, Merkurcjo, jeszcze raz powiesz do mnie Romeo, to cię uduszę!

Wowka odłożył książkę i oznajmił wyniośle:

- Merkurcjo nie został uduszony, tylko zadźgany. Poczytaj sobie klasyków!

Miarka się przebrała, już jest trupem!

Przed niechybną zemstą uratował go sygnał telefonu. Kto może dzwonić o piątej rano? Poszedłem do przedpokoju i podniosłem słuchawkę.

- Słucham.

- Halo, Andriej?! - zagrzmiało po drugiej stronie. - Mówi Aśka. Wybacz, że dzwonię tak wcześnie, ale nie wiesz przypadkiem, gdzie jest Wowka? Już trzeci dzień do domu nie wraca!

- Momencik. - Zakryłem słuchawkę i krzyknąłem: - Wowka, siostra do ciebie!

Wowka wbiegł do przedpokoju i chwycił za telefon.

- Halo!

Przezornie oddaliłem się do salonu (mamy wyjątkowo głośny aparat), ale niewiele to pomogło - doskonale słyszałem całą rozmowę.

- Wowka, to ty? Gdzie jesteś?! Mama od zmysłów odchodzi, a ty się szlajasz diabli wiedzą gdzie!

- Asia, ja...

- Nie mogłeś zadzwonić?! Już trzy dni się w domu nie pokazujesz i nawet nie pomyślałeś, żeby zadzwonić?!

- Asia, ja...

- Zdużniałeś do reszty czy co?! Jeżeli nie zobaczę cię w domu za pół godziny, to przyjadę do ciebie i osobiście urwę ci wszystkie wystające części ciała, poczynając od głowy!

Pół godziny? Oszalała? Przecież do nas jest godzina drogi jak nic! Żeby dojechać w pół godziny, musiałby złapać taksówkę.

- Asia, ja...

- Wiesz, co masz zrobić! Daję ci godzinę! - Rzuciła słuchawkę.

Wowka jak dziki wpadł do dużego pokoju. Tak wybałuszonych oczu to i rak by się nie powstydział.

- Andriej, będę leciał. Aśka jest wściekła jak osa. Mama pewnie też.

- Zdzwonimy się.

- Na razie.

I wybiegł na klatkę schodową.

W dzieciństwie mieszkaliśmy z Wowką naprzeciwko siebie: nasi rodzice kupili mieszkania na tym samym piętrze. Szybko się zaprzyjaźniliśmy i spędzaliśmy czas we czworo, ja, Wowka, Romek i Aśka. Z Aśki była niezła zadzióra, gorsza niż ja czy Wowka.

Później, kiedy miałem dwanaście lat, a Wowka jedenaście, ich ojciec, pilot wojskowy, zginął w katastrofie lotniczej. Pamiętam, jak ciocia Lida rozpaczała, a mama i tata poili ją walerianą u nas w kuchni.

Ponieważ wszystko przypominało jej o zmarłym mężu, po kilku miesiącach sprzedała mieszkanie i przeprowadziła się z dziećmi do innej dzielnicy. Mimo to nie przestaliśmy się z Wowką przyjaźnić. Dzwoniliśmy do siebie i nadal często się spotykaliśmy. Niepotrzebnie zresztą, jak pokazały wydarzenia ostatnich dni.

Przekręciłem za nim zamek i w ubraniu padłem na wersalkę, by się zdrzemnąć choć kilka godzin. Płonne nadzieje. Ledwie zamknąłem oczy, rozwrzeszczał się dzwonek u drzwi. Mama, tata i Romek wrócili.

CZEŚĆ DRUGA

RAZ WAMPIR, DWA WAMPIR...

Jęknąłem cicho, a po chwili zerwałem się na równe nogi. Boże, za co te męki?! Królestwo za poduszkę, kołdrę i łóżko! Rezygnuję z konia!

Przeklęty dzwonek nie milknął ani na chwilę - to pewnie Romek, on zawsze tak go katuje, jakby chciał spalić instalację elektryczną w całym domu. Przechodząc obok wiszącego w przedpokoju lustra, zerknąłem na swoje odbicie i mało co nie zemdlałem: oczy czerwone jak u królika, włosy stojące dęba, rozchełstana koszula dopełniająca widoku nędzy i rozpacz. Freddy Krueger może wziąć urlop. Chociaż, co tam Krueger. Mógłbym zagrać Frankensteina bez dodatkowej charakteryzacji!

Zdaje się, że braciszek postanowił stopić bezpieczniki. Wytnę mu numer - zakradnę się po cichu do drzwi, delikatnie przekręcę klucz w zamku, a potem szybko je otworzę... Do diabła! Nie udało się. Romek trzymał w obu rękach siatki i z niedowierzaniem mrugał oczami.

- Co robiłeś, spałeś?

Podobne pytanie o piątej rano mógł zadać tylko mój brat. Takiego idioty ze świecą szukać.

Nie wdając się w zbędne dyskusje, wziąłem od niego pakunki i poczłapałem do kuchni. Później pomogłem zanieść pozostałe rzeczy. Mama ma zwyczaj zabierać ze sobą na działkę tyle bagaży, jakby wyprowadzała się na zawsze.

Gdy tylko weszła do domu, od razu pobiegła do kuchni. Otworzyła lodówkę, po czym spojrzała na mnie i zapytała surowym tonem:

- Andriej, dlaczego niczego nie zjadłeś przez te trzy dni?

Dobre pytanie. Żeby tylko znać odpowiedź...

- Jadłem!

- Jasne - bąknął mój najdroższy braciszek, zerkając do lodówki. - W takim razie dlaczego wszystko wygląda na nietknięte?

Uduszę go!

- Nic podobnego! Naprawdę jadłem!

- Co jadłeś? - Ton mamy był tak lodowaty, że konieczność trzymania urządzeń chłodzących w domu stanęła pod wielkim znakiem zapytania.

- Wszystko!

Romek otworzył usta i już miał zamiar coś chlapnąć, więc nadepnałem mu porządnie na stopę, a on zawył z bólu. Mama wreszcie oderwała wzrok od skiśniętego barszczu.

- Romek, co się stało?!

- Andriej, ty sss... - zapobiegliwie pogroziłem braciszкови pięścią, a on szybko spasował - ...się lepiej wytłumacz, dlaczego nie odbierałeś telefonów.

Nie, teraz to go na pewno zamorduję!

- Przecież nikt nie dzwonił!

- Jak to? - Do kuchni wszedł ziewający ojciec. - Mama wydzwaniała do ciebie co pół godziny na komórkę i na stacjonarny.

- Nie mam żadnych nieodebranych połączeń...

- Przynieś telefon - zażądała mama.

Wzruszyłem ramionami i poszedłem do pokoju. Komórka leżała na parapecie. Dałem nura do szafy i zacząłem w niej grzebać, udając, że szukam aparatu po kieszeniach kurtki, a tak naprawdę kasowałem nieodebrane połączenia z ostatnich trzech dni. Nazbierało się ich ni mniej, ni więcej, tylko sto pięćdziesiąt siedem. Hmm...

Wróciłem do kuchni i pokazałem rodzicom telefon. Mama zdębiała. Spojrzałem jej prosto w oczy i oznajmiłem:

- Na pewno była awaria sieci. Może jakaś burza magnetyczna.

- Możliwe...

* * *

Portrety. Chociaż są tylko trzy, wydaje się, jakby ich wzrok podążał za nami wszędzie. Młoda dziewczyna nie odrywa ode mnie oczu. Jednym razem spojrzenie jest pełne zdziwienia, drugim - odrobinę ironiczne, a jeszcze innym - spokojne.

Zupełnie takie samo jak na TYM obrazie.

Kim jest ten wampir? Trzeba, to było od razu wyjaśnić z chłopakami. A teraz jeszcze i oni, nowi... I dlaczego tylko im dał skosztować swojej krwi?

Chociaż... Za tydzień przemiana dokona się ostatecznie: wyrosną kły, pojawi się moc.

Za tydzień znów odwiedzimy tego... człowieka. Kimkolwiek jest.

* * *

Zanim minęła ósma, rodzice wyszli do pracy, a Romek natychmiast dorwał się do komputera, żeby ubijać gobliny, trolle i tym podobne poczwary. Biedulek, trzy dni bez Internetu. Ciekawe, jak udało mu się przeżyć w tak nieludzkich warunkach.

Wróciłem do pokoju, rozebrałem się i wskoczyłem do łóżka. Miałem szczerą nadzieję, że tym razem pośpię przynajmniej do czwartej. Nie byłoby z tym żadnego problemu, gdybym miał normalnego brata. Rzecz jednak w tym, że Romek nie jest normalny, o czym się przekonuję każdego dnia.

Braciszek zabijał gobliny do pierwszej po południu. Kiedy mu to obrzydło, postanowił pobawić się z psami. Pileczką.

Jeżeli ktoś będzie próbował wam wmówić, że ciao-ciao są z natury flegmatyczne, nie wiercie. Być może w Azji (bo chyba stamtąd pochodzą) tak, ale te w naszym mieszkaniu - z pewnością nie.

Zaczęło się od tego, że ktoś, nie będąc wytykał palcami, trafił mnie w czoło pogryzioną zabawką. Później poczułem, jak wbiega na mnie piętnaście kilo żywego psa. Nie wiedziałem, co się wokół mnie dzieje. Podskoczyłem na łóżku i zacząłem się rozglądać. Mruczuś jak opętany drapał łapami po kołdrze, chcąc wykopać pileczkę, która znikła nie wiadomo gdzie. Romek chichotał w zaciśniętą dłoń, a wokół niego skakał Kiciuś, radośnie poszczekując.

- Kretyn! - wrzasnąłem, rzucając w Romka poduszką.

Liczyłem, że trafię go prosto w zakuty łeb, ale nie wziąłem pod uwagę udziału poplecznika chaosu w postaci Kiciusia. Poduszka już miała wylądować na twarzy brata, gdy ciao-ciao podskoczył jak na sprężynach, chwycił ją zębami za róg i zaczął nią potrząsać, wściekle warcząc. Romek zamarł i wlepił we mnie gały.

Mruczuś też znieruchomiał, po czym ruszył w stronę Kiciusia, oczywiście znów mnie tratując. Teraz jestem już pewien: jeżeli w ciągu tego miesiąca nie nabawię się schizofrenii, to wrzodów żołądka i zapalenia wyrostka robaczkowego z pewnością.

Mruczuś wbił zęby w drugi koniec poduszki i oba psy pociągnęły ją do siebie. Rozległ się głośny trzask i... Cały pokój wypełniły puszyste płatki pierza.

Zgłupiałem. I na czym ja teraz będę spać?!

Romek zlustrował pokój, a potem spojrzał na mnie i roześmiał się na całe gardło.

- Czego rżysz?!

- Andriej, tylko spójrz na siebie!

Wygramoliłem się z łóżka i poszedłem do sypialni rodziców, ostrożnie omijając kundle, które nie przestawały potrząsać resztkami poszewki. (Kto je tam wie, a nuż

któryś złapie mnie za nogę? Niby mam dwie, ale obie są dla mnie cenne jak rodzinne pamiątki).

Naprzeciwko łóżka rodziców znajduje się ogromna toaletka. Stałem przed nią i spojrzałem na odbicie w lustrze.

Tępy oczywiście nie jestem, ale zanim w mojej głowie zaświtała pierwsza myśl, minęło całe pięć minut, nie mniej. A brzmiała ona mniej więcej tak: „Dokąd pojechał cyrk i dlaczego mnie nie zabrali?!”.

Przed lustrem stało COŚ DZIWNEGO. W samych spodenkach. Tylko trzydniowy zarost zdradzał moją płęć. Twarz przypominała o wiecznej tragedii rosyjskiego narodu, którego martyrologię można streścić w słowach: „Pić należy mniej albo chociaż zagryzać!”. Choć właściwie po trzech dniach trudno mówić o objawach kaca.

W skołtunionych włosach CZEGOŚ (czyli w moich) utkwiała kępka pierza, a jedno piórko przykleiło się do koniuszka nosa.

Zrobiłem zeza, odkleiliśmy intruza i ruszyłem do pokoju, starając się jak najmniej ruszać głową. (Jeszcze, nie daj Boże, pierze porozsypuję!). Gdy już byłem u siebie, zdjąłem piórka z głowy i wręczyłem je bratu, po czym wyrwałem psom z pysków żałosne resztki poduszki i oznajmiłem słodkim głosem:

- A teraz weźmiesz igłę i nić, i zaszyjesz.
- Dlaczego ja? Przecież przez ciebie się porwała!
- Zabiję...
- Kogo? Gdzie? - Romek strugał wariata.

Boże, obdarz mnie cierpliwością. Byle nie siłą, bo ukatrupię!

- Ciebie. Nie zabiję, tylko przybiję. Do sufitu. Za język, żebyś tyle nie gadał.
- Poskarżę się mamie! - burknął. Wyglądało na to, że nic sobie nie robił z czczych pogróżek. Czas zastosować inną taktykę, bo ta już nie działała.

- A kolację też przygotujesz?

Gotowania Romek po prostu nie cierpi.

- Na dzieeecku się wszyyyscy...
- Czyli przygotujesz.
- Już idę po igłę! - krzyknął i wybiegł z pokoju.

* * *

Na szczęście ciao-ciao nie zdążyły roznieść całego pierza po mieszkaniu, chociaż niemało przylgnęło do ich sierści.

Skończyło się na tym, że najpierw oskubałem psy, potem pomogłem Romkowi odkurzyć, a na koniec pokazałem mu, jak należy zszyć poduszkę. Męczył się z nią jakieś pół godziny, aż wreszcie pokazał mi arcydzieło swoich rąk.

Szczerze mówiąc, poduszką to coś mógłby nazwać tylko ślepy aborygen z Afryki, który w życiu nie widział na oczy pościeli. Teraz TO przypominało bardziej wyrzuconego na brzeg potomka meduzy i ośmiornicy.

Miejmy nadzieję, że uda mi się znaleźć odpowiednią poszewkę. Tymczasem ubrałem się i złożyłem wersalkę, upchnąwszy poduszkę w najgłębszy zakamarek skrzyni. Do wieczora coś wymyślę.

Potem posprzątaaliśmy trochę w mieszkaniu. Wytarliśmy kurz, wyczesaliśmy psy i takie tam. Kiedy skończyliśmy, zapytałem:

- Co zrobimy na kolację?

Romek wybałuszył oczy.

- Przecież powiedziałeś, że przygotujesz!

- Tak, ale ty mi w tym pomożesz.

- To nie fair! Nie będę ci pomagał!

- A w oko chcesz?

- A ty w ucho?

- Co powiedziałeś?!

Co za podłość! Dlaczego on jest ode mnie młodszy tylko o trzy lata? Gdyby było między nami z pięć lat różnicy, mógłbym go jeszcze wychować, a tak...

- To co słyszałeś!

- Zaraz wypruję ci flaki!

Grożenie miało się z celem, o czym zresztą Romek doskonale wiedział. Zmierzył mnie wzrokiem i stwierdził:

- Po pierwsze, jestem od ciebie o głowę wyższy. Po drugie - zrobił wstrętą minę - poskakaarzę się maaamie! - po czym zmienił ton i spokojnie oznajmił: - Ona ci pokaże, jak to jest krzywdzić małe dzieci.

- Naprawdę? Pokaże?

Romek uznał, że się przestraszyłem.

- Tak, pokaże!

- Och, jak to dobrze! Bo te dzieci są już tak rozpuszczone, że żyć się z nimi nie da. Może więc mama pokaże mi, jak je należycie karać, żeby zaczęły się po ludzku zachowywać!

Braciszek natychmiast spokorniał.

- Jesteś wredny... Co mam robić?

Kazałem mu wymyślić, co przygotowujemy na kolację, a sam poszedłem do łazienki, żeby się wreszcie opłukać po tych trzech dniach.

* * *

Odkręciłem kran nad wanną i spojrzałem w lustro. Co my tu dzisiaj mamy? Wygląda na to, że tym razem nic strasznego. Co za ulga...

Zębów chyba nie będę myć. O trzeciej godzinie? Nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu! Golić się też nie wypada, z wyżej wymienionego powodu. W końcu jak już mam trzydniowy zarost, nie zaszkodzi poczekać do jutra, a potem zgolę w cholere.

Obmyłem twarz i wytarłem ją wiszącym na suszarce frotowym ręcznikiem. Następnie ze spokojnym sumieniem wróciłem do kuchni. Też nie lubię gotować, ale lepiej coś wymyślić, niż potem wysłuchiwać przez cały wieczór monologów mamy w stylu: „Cały dzień byłam w pracy, a wy siedzieliście w domu i nic nie zrobiliście?!”.

* * *

Romek studiował zawartość lodówki. Kiedy usłyszał moje kroki, zaczął się powoli odwracać.

- Andriej, tak sobie myślę. Zamiast się męczyć, może byśmy po prostu... - W tym momencie spojrzał na mnie swoimi „światłymi” oczyma i zmarszczył brwi. - Wodzu, dlaczego nie dokończyłeś przywdziewania barw wojennych? Tak się powinno mówić?

- Że jak? - Nie miałem zielonego pojęcia, o co mu chodzi.

- Zetrzyj z twarzy tusz albo domaluj z drugiej strony, wodzu Siuksów Wielki Ośle!

Pobiegłem do łazienki, by raz jeszcze przejrzeć się w lustrze. Najwyraźniej niewielki zasób słów Romka w języku niemieckim, który do niedawna ograniczał się do zwrotów „russische Schwein” i „Hitler kaputt!”, uległ znacznemu wzbogaceniu.

Sam nie wiem, w kogo się wrodziłem. Ojciec, jak się rano nie ogoli, do wieczora zarasta po same oczy i wygląda jak Czeczen, a u mnie zarost pojawia się tylko nad

górną wargą i na podbródku. Na policzkach nie mam ani jednego włoska. (Wowka czasem się nabija, że mi kozia bródka rośnie). Tak czy siak, na lewej części twarzy widniała teraz rozmazana plama, taka sama jak na lewej dłoni.

Cholera! Przecież tam był numer Ani, a ja nie zdążyłem go przepisać!

W dodatku kolejne pół godziny straciłem na szorowaniu gęby. Pumeksem. Strasznie bolało, ale... mój braciszek co chwilę wkładał łeb do łazienki i doradzał mi, żebym użył szczoteczki do nóg. Za każdym razem wysyłałem go do stu diabłów.

Żeby jeszcze plama była mała, to bym jakoś przeżył - nieraz podczas lekcji rysowałem sobie długopisem po rękach.

W końcu udało mi się zetrzeć ten diabelski tusz. Policzek palił żywym ogniem, a jak bolał... Tak bardzo, że nie mogłem go nawet dotknąć. Okropieństwo!

- To co chciałeś zrobić na kolację? - zapytałem Romka.

- Może schabowe usmażymy?

Dlaczego nie?

Zanim przyszli rodzice, wszystko było wymyte, wyczyszczone i przygotowane. Udało mi się nawet dobrać bardziej lub mniej pasującą poszewkę na poduszkę. Co prawda pierze wypełniało ją tylko w jakichś dziesięciu procentach, a pośrodku tworzył się okropny garb, ale czort z tym. Poza tym mój policzek wyglądał o wiele lepiej.

O dziesiątej wieczorem rodzice poszli spać i tylko Romek siedział przed telewizorem. Ileż można, ja się pytam?! Całymi dniami albo tkwi przy komputerze, albo się gapi w to pudło. Nawet wołami go stamtąd nie odciągniecie. Jak tak dalej pójdzie, wkrótce wszyscy spikerzy zaczną go rozpoznawać.

Wyłączyłem dźwięk w komórce (moi koledzy z roku mają okropny zwyczaj dzwonić o pierwszej w nocy z pytaniem, o której zaczynają się zajęcia albo czy nie chciałbym do nich wpaść na imprezę), rozebrałem się, wziąłem prysznic i wskoczyłem do łóżka. Na szczęście rodzice nie zwrócili uwagi na dziwny wygląd poduszki.

Dokładnie o dwudziestej czwartej zero zero telefon zaczął wibrować na stole. Wskoczyłem z łóżka. Dosyć tego! Od jutra wyłączam komórkę na noc. A najlepiej będzie, jak ją wyłączę raz na zawsze.

- Halo? - wyszeptałem do słuchawki. Tylko tego brakowało, żebym obudził Romka i rodziców.

-Cześć, Andriej.

-Wowka?

Czego on może chcieć?

- Andriej, mógłbym u ciebie przenocować?

Zatkało mnie. Chce u mnie przenocować? Ale mnie zaszczyt kopnął!

- Wowka, gdzie jesteś? Przecież masz do mnie strasznie daleko.

- Jestem na podwórku pod twoim blokiem. Że co? Sacredieu? Muszę to zapamiętać.

- Zaraz zejść.

Założyłem dzinsy i koszulę, wsunąłem telefon do kieszeni i ostrożnie wyśliznąłem się do przedpokoju. Jeden laczek jest, a drugi...

Nagle otworzyły się drzwi do salonu, gdzie ostatnio śpi Romek.

- Andriej, a ty dokąd?

O rany, obudziłem go!

- Romek, idź spać!

- Oglądam film. Gdzie cię niesie o tej porze?

Jak mu nie powiem, takiego rabanu narobi, że się rodzice obudzą.

- Wowka dzwonił. Czeka przed blokiem. Pogadam z nim i wrócę.

- Aaa. - Romek pokiwał głową ze zrozumieniem. - Tylko się pospiesz. Mało to teraz po nocy...

- Jasne - przerwałem mu i uśmiechnąłem się, wyciągając z szafki klucze z brelokiem w postaci pluszowego misia wielkości połowy dłoni. - Zamknij drzwi. Otworzę sam.

- Dobra.

Usłyszałem, jak Romek przekręca zamek.

Pomyślałem, że zejść schodami, bo jeszcze sąsiadom przyjdzie do głowy wyłączyć prąd w ramach oszczędności i do rana będę w windzie koczować.

* * *

Dan siedział na drewnianej ławce nieopodal piaskownicy i palił papierosa, beznamiętnie puszczając kółka z dymu. Przebrał się: miał na sobie śnieżnobiałą, wyprasowaną koszulę i podarte dzinsy. Bardziej kosmicznego połączenia nie mógł wymyślić. Usiadłem obok niego.

- Cześć.

- Myszko norniczko, ach, myszko norniczko, wpuścisz mnie do norki na noc?

- Jakbyś nie zauważył - oznajmiłem - jestem osobnikiem płci męskiej.

- Serio? Nigdy bym nie pomyślał. - Wowka zrobił wielkie oczy. - W takim razie będę cię nazywał starym siwym szczurem. No to co, wpuścisz mnie czy nie?

A rano rodzice wyrzucą mnie razem z nim z domu.

- Co się stało? Pokłóciłeś się z mamą?

- Nie - westchnął Wowka. - Z wujkiem Wickiem.

- Uuu, ciężka sprawa.

- Nooo...

Wujek Wicek pojawił się w życiu Wowki i Aśki jakieś pięć lat temu. Najpierw odprowadzał ciocię Lidę po pracy do domu, potem zaczął zaglądać w wolne dni, a potem... Potem razem z nimi zamieszkał.

Nie miał dzieci, więc zaczął uzurpować sobie prawo do wychowywania cudzych. Chociaż nie, to nie do końca tak. Aśki nigdy nie strofował, za to Wowki, który miał manierę co dwa-trzy dni zmieniać image z obdartego hippisa na eleganta w garniturze, czepiał się od samego początku. Ledwie zdążył z nimi zamieszkać, od razu bez ogródek oznajmił, że robi, tu cytat, „człowieka z tego nicponia”. Tak więc Wowka obrywał bez przerwy.

- Znaczy co? - zapytałem. - Od rana włóczysz się po mieście?

- Coś ty. Kiedy wróciłem rano do domu, Wicek był w pracy. Mama tak mi głowę zmyła, że lepiej nie mówić, ale siedziałem cicho. W końcu miała rację. Mogłem chociaż telefon zabrać, jak do ciebie jechałem. Gdy wyszła do pracy, posiedziałem z siostrą, pomogłem jej trochę w domu. O szóstej mama wróciła, ale już nic nie burczała. Powiedziała mi rano, co o mnie myśli i więcej do tematu nie wracała. Za to o siódmej przylaźł Wicek i zaczął się na mnie drzeć jak opętany. „Ty taki i owaki, matkę do zawału chcesz doprowadzić!”. Wiem, że ma rację, ale z drugiej strony kim on jest, żeby tak do mnie mówić?! Na koniec posłałem go daleko i na długo, trzasnąłem drzwiami i wyszedłem. No to co, mogę u ciebie przenocować? Westchnąłem. I co z nim teraz zrobić?

- Daj numer do Aśki na komórkę.

- Po co?

- Potrzebuję!

Naburmuszony Wowka zaczął dyktować. Wbiłem numer cyfra po cyfrze i nacisnąłem klawisz łączenia. (O, jednak go miałem w aparacie!). Aśka odebrała po pierwszym sygnale, jakby czekała na telefon.

- Tak?

- Cześć, tu Andriej.

- Wiem, wyświetla mi się twój numer. Czego chcesz?

- Wowka tu jest. Dam ci go, a ty spróbuj go przekonać, że nic mu z twojej strony nie grozi i że może spokojnie wrócić do domu, zgoda?

Aśka tak wrzasnęła do słuchawki, że głośnik omal nie wyskoczył z obudowy aparatu:

- Nic mu nie zrobię?! Oczywiście że nie! Tylko go uduszę gołymi rękami! Ta łajza trzy dni szlajała się nie wiadomo gdzie, a teraz znów go gdzieś poniosło! Mama bez przerwy walerianę pije! Ja go chyba...

- Daj spokój, zdenerwował się trochę. Nic takiego się nie stało.

- Nie zamierzam z nim rozmawiać - nieco spokojniejszym tonem oznajmiła Aśka.

- Lepiej mu powiedz, żeby wracał do domu, to może jakoś dożyje jutra.

- Okej. - Przerwałem połączenie.

Gdy przekazałem Wowce wiadomość, zaczął się burzyć. Krzyczał, że nigdzie nie pojedzie, że lepiej będzie, jak przenocuje na ławce. Kiedy jednak powtórzyłem mu groźby siostry, natychmiast się namyślił i oznajmił, że mimo wszystko zawsze był zwolennikiem spania w domu. Zerwał się z ławki i szybkim krokiem ruszył w stronę bramy prowadzącej na ulicę. Ledwie go dogoniłem.

- A ty co? - Spojrzał na mnie pytająco.

- Odprowadzę cię.

- Nie ma potrzeby! Nie jestem dzieckiem, sam trafię na przystanek.

- Obiecałem Aśce dopilnować, że wrócisz do domu, więc odprowadzę cię na ten przystanek, a dalej poradzisz sobie sam. - Puściłem do niego oko.

Wowka nagle posmutniał (co zwiastowało fazę pod tytułem: „Nie wierzysz mi? Sądzisz, że ucieknę?”), dlatego od razu dodałem: - A przy okazji odetchnę świeżym powietrzem.

Chrząknął znacząco i stwierdził:

- Jak tak, to tak. Chodźmy.

Byliśmy już prawie na przystanku, gdy zza kubłów na śmieci wyszło pięciu dziarskich karków. Bijący od nich smród niedwuznacznie sugerował, że znajdowali się pod wpływem. Przemożnym, powiedziałbym nawet. Chociaż nie, to nie do końca prawda. Na pijanych wyglądali tylko dwaj obdarci kolesie, stojący bliżej. Wszystko wskazywało, że za chwilę dopadnie ich „chodnikowa przypadłość”, bo strasznie się zataczali.

Trójka zabezpieczająca tyły wyglądała trzeźwo. W każdym razie trzymała pion. Zapadło długie milczenie. W końcu nie wytrzymałem.

- Możemy przejść?

Pijanych alkohol rozpędził na boki, a trzeźwi podeszli bliżej.

Wtedy do mnie dotarło, że się myliłem. Tylko dwaj z tej trójki (a nawet całej piątki) zasługiwali na miano karków. Trzeciego, wyjątkowo chuderlawego, przewróciłby mocniejszy podmuch wiatru.

Cała piątka stała jakby w półokręgu (w geometrii nazywają to chyba odcinkiem koła) zwróconym w naszą stronę. Obserwowali nas w ponurym milczeniu, nie reagując na moje pytanie. Poirytowany ruszyłem naprzód.

To chyba nie był najlepszy pomysł.

Chudy gość stojący naprzeciw (kafary znajdowały się po jego lewej i prawej, tak jak i kloszardzi), syknął niczym żmija, ukazując długie ostre kły. Gwałtownie odskoczyłem - nie wiem, czy bardziej ze strachu, czy raczej ze zdziwienia (nie było czasu, żeby się zorientować we własnych emocjach).

Rany boskie! Ci z ogrodu botanicznego przynajmniej mówili po ludzku, a ten syczy jak przebita dętka. Mam nadzieję, że to nie jest zaraźliwe. Jeszcze się okaże, że w pierwszym stadium wyrastają ostre zęby, a w drugim dochodzi schizofrenia typu: „och, jaki milutki wąż, może się zaprzyjaźnimy?”. Albo jeszcze lepiej - totalne szaleństwo. Chociaż sam już nie wiem, co gorsze.

* * *

Gdyby tylko Rollan mógł coś zmienić!

Wszystko stało się tak szybko. Zbyt szybko. Krótka rozmowa z Helgą...

Radziła przystać na propozycję Drakuli, pójść, jak powiedział jeden z posłańców, na spotkanie. Kawiarnia prawie pusta. Muzyka cicho gra. Delikatny półmrok. Czerwone wino.

- Wypijmy za nasz związek! - Kieliszek uniesiony na wysokość oczu.

- Wypijmy - zgodził się.

Po chwili usłyszał za plecami szelest. Nie zdążył się odwrócić. Zimne zęby na szyi.

Później nie było już nic. Jedynie jej głos. Rozkaz, który trzeba wypełnić. I syk wydobywający się z ust zamiast słów...

* * *

Półokrąg zaczął się zacieśniać. Oj, przestaje mi się to wszystko podobać...

Nagle wszyscy jak na komendę zadrżeli. Oba obdartusy padły twarzami na chodnik. Zdumione kafary zaczęły się rozglądać, a po chwili leżały w tej samej pozycji co kloszardzi.

Chuderlak prawdopodobnie czegoś się domyślił. Zamknął jadaczkę i chciał spojrzeć do tyłu, kiedy w samo serce trafił go kindżał z czerwonawą, prawie niewidoczną w ciemnościach rękojeścią. Cała scena trwała krócej niż trzy uderzenia mojego serca.

* * *

Drakula Drugi wynurzył się z ciemności niczym zjawą o północy. Przykucnął, wyszarpnął kindżał z piersi martwego wampira i z obrzydzeniem wytarł ostrze o jego kurtkę, po czym schował broń do buta. To samo zrobił ze sztyletami wyciągniętymi z ciał kafarów, tyle że przytroczył je do pasa tak, by były niewidoczne. Sztylet tkwiący w zwłokach włóczęgi wsunął do rękawa, a ostatni wziął do ręki. Dopiero wtedy pan Wołoski (co by nie mówić, nazwisko ma znane) zaszczycił nas spojrzeniem.

- No i? - mruknął ponurym tonem, postukując płaską stroną ostrza po dłoni.

- Dziękuję? - zapytałem niepewnie.

- Po jaką cholere?! Po jaką cholere szlajacie się nocą po mieście?!

- A co w tym złego? - Wowka zatrzepotał niewinnie rzesami. - Zdaje się, że jesteśmy pełnoletni. U was na Wołoszczyźnie pełnoletność osiąga się po pięćsetce?

- Po pięćsetce nie osiąga się pełnoletności, tylko upojenie alkoholowe - wymamrotałem pod nosem.

Oczywiście nikt nie zwrócił na mnie uwagi, za to Wowce bezczelność nie uszła płazem. Drakula zerwał się z miejsca (pod jego podkutym butem zachręściły czyjeś kości, ale nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia), chwycił Wowę za kołnierz i wycedził:

- Posłuchaj mnie uważnie, pełnoletni. Jeszcze jeden taki komentarz i pożałujesz, że się urodziłeś! Zrozumiałeś?!

Potem lekko go odepchnął. Zupełnie zdezorientowany Wowka stracił równowagę i klapnął tyłkiem na ziemię. Wszystko stało się tak szybko, że nawet nie zdążyłem zareagować.

- Zrozumiałem - bąknął Wowka, wstając i pocierając poszkodowaną część ciała. - Nie ma w tym nic skomplikowanego. Auuu, moja kość ogonowa...

- Cieszę się. - Drakula podszedł do martwego wampira, trącił go butem i zapytał: - Powiedział wam coś?

- Nie. - Obaj z Wowką spojrzeliśmy po sobie. - Tylko syczał...

- Syczał?!

- No...

Wład Palownik przykucnął i ostrożnie, z lekkim obrzydzeniem, rozpiął kołnierz koszuli trupa, odsłaniając cienki łańcuszek z okrągłym złotym medalionem.

Pogładził go palcami, chwycił i gwałtownym ruchem zerwał z szyi ofiary. Przez chwilę patrzył w zamyśleniu na wygrawerowane litery (niestety, stałem zbyt daleko, by móc je zobaczyć) i nagle uświadomiłem sobie, że mam omamy. Słuchowe. Choć Drakula nie poruszał ustami, słyszałem jego głos - wyjątkowo jak na gościa łagodny, tak na marginesie.

- Dokąd zaprowadził cię los i kto wypił twoją krew, Rollanie z rodu Klaris? Kiedy się ostatnio widzieliśmy, miałaś dopiero dwieście lat.

Nagle coś go tknęło, potrząsnął głową i wszystko ucichło. Hej, czyżby to była telepatia? Jakbym czytał w jego myślach. Drakula spiorunował nas wzrokiem.

- Co się tak gapicie?! Lepiej tu podejdźcie.

Spojrzeliśmy z Wowką po sobie, po czym spełniliśmy tę, nazwijmy to umownie, uprzejmą prośbę.

- Jak wyglądał gospodarz domu, w którym was trzymali?

- No... - zacząłem. - Był młody, chyba niewiele starszy od nas.

- I co dalej? - niecierpliwie poganiał mnie Czarny Płaszcz, przesuwając palcami prawej dłoni po policzku martwego wampira.

Tym razem odezwał się Wowka:

- Miał wysokie czoło, szare oczy i lekko garbaty nos.

Kiedy mówił, spojrzałem w dół i omal nie zemdlałem. Twarz Rollana z rodu Klaris dosłownie rozplywała się pod palcami Drakuli, zmieniając wygląd. Nos przyjął zupełnie inny kształt, pełne usta zrobiły się cieńsze, podobne do ust Drakuli Pierwszego.

Drakula Drugi patrzył wszędzie, tylko nie na dzieło swoich rąk, jakby poruszał palcami niezależnie od własnej woli. Na koniec szybkim pociągnięciem wykonał ostatni sztych - długą szramę przecinającą całą twarz.

Ja cię sunę. Jak dwie krople wody!

- To on, prawda, Andriej?

- No - tylko tyle zdołałem wydukać, zszokowany całym zajściem. Jak on to zrobił?!

- Rękoma - burknął Drakula, nadal nie patrząc na denata. - To potrafi każdy, jak wy to mówicie, wampir. Po prostu bierze się umarlaka i zmienia mu twarz. Przecież czasem trzeba jakoś wyjaśnić swoje zniknięcie z miasta.

Pomyślałem, że dopóki rozmawia z nami po ludzku, warto by wyciągnąć z niego więcej informacji.

- A ile razy można zmieniać jedną osobę?

- Dwa, w tę i z powrotem. Tu chodzi o bezpośrednią ingerencję w strukturę kości. Jeżeli spróbujesz coś zmienić po raz trzeci, czaszka po prostu się rozsypie - Drakula chrząknął znacząco - a widok mózgu to niezbyt miłe doświadczenie.

Spojrzał na nasze przerażone oblicza i uśmiechnął się po raz pierwszy od czasu, gdy go poznaliśmy. Dopiero wtedy skierował wzrok na wampira. Gdy to zrobił, z jego twarzy natychmiast znikły wszelkie ślady wesołości. Zbladł jak ściana, choć i wcześniej nie był zbyt rumiany.

W jego oczach dostrzegliśmy coś dziwnego, jakby zdziwienie zmieszane z nienawiścią, a może nawet strachem.

- Jesteście pewni...

- Że to on? - dokończył Wowka. - Jasna sprawa. Na dwieście procent!

- W tej sytuacji sto to maksimum - pouczyłem kolegę.

- Powiedziałem tak dla większej dokładności. Sto w tę, sto we w tę.

Kiedy Drakula wstał, jego twarz nie zdradzała już żadnych emocji. W tej chwili nawet kamień mógłby wyrazić ich więcej.

- W ciągu kilku najbliższych dni najlepiej w ogóle nie pokazujcie się na ulicy - rzucił na odchodnym.

I rozpląnął się w mroku nocy, jak gdyby nigdy go tu nie było. Jedyne, co świadczyło o tym, że jednak był, to zbroczone krwią ciała pięciu osób.

Wymieniliśmy z Wowką znaczące spojrzenia. Nie wiem, jak jemu, ale mnie drżały ręce. Nie co dzień widzi się tylu umarłaków (nawet jeśli jeszcze przed chwilą radośnie przebierali nóżkami). Szczerze mówiąc, takie sceny do tej pory oglądałem wyłącznie w filmach.

- Hmm, tak - powiedział z namysłem Wowka. - Zdaje się, że przyjaźń z tobą przysparza mi samych kłopotów. Jak tylko wychodzimy razem na ulicę, od razu dzieje się coś niedobrego. To wszystko twoja wina, Andriej!

Popatrzyłem na niego jak na głupka.

- Oszalałeś czy co? A co ja mam z tym wspólnego? Wowka pomacał się po kieszeniach, wyciągnął papierosy i zapalił jednego nerwowo (jemu też drżały ręce).

- Przecież trzeba na kogoś zwalić winę, nie? - Roześmiał się, ale zabrzmiało to jakoś nienaturalnie. - No już dobrze, Andriej. Nie bierz sobie tego do serca, tylko żartowałem. Odprowadzisz mnie na przystanek?

Byłem tak zdenerwowany, że nie potrafiłem sklecić składnego zdania. Zdołałem tylko wymamrotać:

- Lepiej ty mnie odprowadź do domu.

Wowka zaciągnął się papierosem i wyszczerzył uzębienie w szerokim uśmiechu.

- Będziemy się tak nawzajem do jutra odprowadzać. Więc jak?

- Chodźmy.

* * *

Jedyne co mnie ucieszyło, to fakt, że Wowka zdążył na spóźniony autobus. Wróciłem do domu bez kolejnych perypetii, choć przyznam szczerze, że dostawałem gęziej skórki za każdym razem, gdy przechodziłem obok jakiegoś krzaka. Mniejsza o to.

Kiedy już zakradłem się do mieszkania i po cichu zamknąłem drzwi, zajrzałem do salonu. Wiedziałem! Romek rozłożył wersalkę, ale podczas oglądania filmu zasnął na fotelu z głową opartą o podłokietnik. Wszystkie stacje już dawno skończyły nadawanie, więc telewizor tylko brzęczał do wtóru z miarowym pochrapywaniem.

Sam braciszka nie przeniosę na łóżko, trzeba go będzie obudzić. Złapałem go za ramię i delikatnie nim potrząsałem.

- Romek, wstawaj.

- Cooo? - wymruczał zaspanym głosem. - Mamo, jeszcze pięć minut...

- Romek, do łóżka!

- Już, już, jeszcze tylko pięć minut. Już idę do szkoły...

Przewróciłem oczami. I co teraz z nim zrobić?

Po chwili wpadłem na pomysł, by zatkać mu nos. Otworzył usta, ale się nie obudził. Hmm, metody sadystyczne nie działają, trzeba spróbować inaczej. Chwyciłem go pod pachy i zaciągnąłem na wersalkę. Nawet się nie poruszył.

Brawo! Ależ ja jestem zdolny.

Istnieje jeszcze jeden wariant - Romek to osioł. Choć obydwa są prawdziwe.

Poczłapałem do pokoju, rozebrałem się i wskoczyłem do łóżka. Przez pierwsze pół godziny nie potrafiłem zasnąć, a niedługo potem zadzwoniła komórka. Odebrałem.

- Tak?

- Andriej, jestem w domu - wyszeptał Wowka. - Na razie.

- Na razie.

Przycisnięcie czerwonej słuchawki podziałało na mnie w taki sposób, jakbym pociągnął za spust rewolweru. Z telefonem w ręce padłem na poduszkę.

* * *

Niespodziewanie nastał świt. To znaczy w tym sensie, że go przespałem. Obudziłem się dopiero o wpół do pierwszej po południu i co dziwne, bez pomocy Romka.

Chodzi o to, że mój ukochany braciszek ma oryginalne sposoby budzenia. Kiedy ja albo ciao-ciao smacznie sobie śpimy, zakrada się do nas po cichu (z rodzicami sobie na to nie pozwala) i wrzeszczy na całe gardło:

- Wstawaaaj!!!

W ten sposób naprawdę można się czegoś nabawić, i to w krótkim czasie! Daję słowo, kilka razy słyszałem, jak Mruczuś jąkał się po takiej pobudce. Brzmiało koszmarnie.

W każdym razie dzisiaj podniosłem powieki bez ingerencji osób trzecich, czy nawet drugich. Bez pośpiechu wrzuciłem na siebie jakieś łachy, a kwadrans później wyszedłem z łazienki umyty, ogolony i tak dalej. O mały włos nie zderzyłem się w drzwiach z mamą.

- Dlaczego nie jesteś w pracy?

Zmierzyła mnie gniewnym wzrokiem.

- Mowna by pomyflef, we nie ffeff włafnej matki wiwief. Juf od fforaj wle fię fuję! Wifiaj wwywalifmy lekawa! (Tłumacząc: można by pomyśleć, że nie chcesz własnej matki widzieć. Już od wczoraj źle się czuję! Dzisiaj wzywaliśmy lekarza!).

O rany! Zaraz mi uszy poobrywa!

- Eee, jakie lekarstwa wykupić?

- Dobwe, dobwe - wychrypiała mama nieco łagodniejszym tonem. - Najpierw wjewf fniawanie.

Tym sposobem zaraz po śniadaniu, podczas gdy Romek tępił goblina, musiałem lecieć do apteki. Jak można wpaść na pomysł, żeby zachorować latem?!

Przechodząc obok kubłów na śmieci, zza których wczoraj wyłoniły się złe wampiry (no co, przecież są złe pszczoły, które dają zły miód, więc dlaczego nie złe wampiry?), mimowolnie zwolniłem kroku. Na szczęście tym razem nikt nie zagroził mi drogi. Tylko jakaś staruszka siedziała na ławce nieopodal wejścia do klatki i bez pośpiechu robiła na drutach, wystawiając twarz do słońca.

Denatów też nigdzie nie było. Ciekawe... Może trupy wampirów same znikają? Postanowiłem zaryzykować i podszedłem do ławki.

- Dzień dobry.

- Dobry, dobry - odpowiedziała starowinka, szeptem licząc oczka.

- Niech mi pani powie, długo tu pani siedzi?

- Niech no pomyślę... - Uniosła oczy ku niebu. - Od samego rana. Wiesz, dziecko, źle sypiam, wstaję o piątej i tak siedzę w oknie, dopóki się nie rozwidni. A jak już jest jasno, wychodzę na dwór. - Spojrzała na mnie podejrzliwie. - A co?

- Wie pani, zgubiłem tu wczoraj portfel. Może go pani widziała?

- Nie, nie. - Pokręciła głową. - Niczego nie widziałam. A ile w nim było?

Udawałem, że próbuję sobie przypomnieć.

- Jakieś pięćdziesiąt rubli.

- Oj, biedulek. Jak to się stało?

- No... Wczoraj odprowadzałem kolegę po zmroku i chuligani na nas napadli.

- Nie, dziecko, niczego nie widziałam. A głośno było? Bo nawet nic nie słyszałam.

Wyszłam rano, a tu wszystko normalnie, jak zawsze.

Chwała Bogu! Zrobiłem smutną minę, starając się wyglądać na zatroskanego.

- Widać tak miało być...

Ruszyłem w stronę apteki i kiedy już stanąłem pod jej drzwiami, a dość daleko od babki, spojrzałem do tyłu. Starowinka odłożyła robótkę na ławkę i żywo krzątała się

po podwórzu, zaglądnąc pod każdy krzak. Nagle przystanęła. W jej pomarszczonej dłoni błysnął gruby brązowy portfel z lakierowanej skóry krokodyla.

Chociaż jej się dzisiaj poszczęściło.

Kiedy wyszedłem z apteki, machając siatką pełną lekarstw, babuleńka ruszyła w moją stronę.

- Dziecko, dziecko, znalazłam!

- To nie mój, proszę pani.

- Jak to nie twój? - Zasmucona otworzyła portfel i zajrzała do środka. Był w nim gruby zwitek banknotów tysiącrublowych.

- Nie mój i już!

Westchnęła ciężko.

- I co ja mam teraz zrobić?

- Niech pani zanieś na komisariat albo sobie zostawi.

- Dobrze - pokręciła głową - pójdę i odniosę.

Uśmiechnąłem się na pożegnanie i poszedłem do domu.

* * *

Nafaszerowałem mamę lekarstwami, a potem wygoniłem Romka sprzed komputera. Chciałem posurfować trochę po Internecie i poszukać czegoś na temat Drakuli. Nie było mi to dane - ledwie zalogowałem się do sieci, gdy do pokoju wbiegł braciszek.

- Andriej, pomóż mi.

- Daj mi spokój, jestem zajęty.

- Andriej, nie bądź taki!

- Romek, nie widzisz, że jestem zajęty?

- No co ty? Nie możesz się oderwać od komputera, żeby pomóc własnemu bratu?

- Właśnie, nie mogę. Odczep się!

Wpisałem do przeglądarki adres Google. Będę musiał ustawić tę stronę jako startową, bo inaczej ciągle Yahoo! mi wyskakuje.

- Andriej, no weź pomóż!

- Słuchaj. - Odwróciłem się od monitora. - Przyczepiłeś się do mnie jak... jak nie wiem co! Daj mi wreszcie spokój!

Dźwięki awantury przyciągnęły mamę.

- Co się tu dzieje?

- Andriej nie chce mi pomóc - wypaplał Romek.

- Andriej?

- Nie pomogę mu, bo ten idio... bo pewnie znowu znalazł jakiś tani film bez lektora i po raz kolejny, jak ostatni kretyn, będę mu tłumaczył. Jakbym nie miał nic innego do roboty! Jestem zajęty!

Mama pokręciła głową.

- Tak trudno ci to zrobić? W takim razie po co się kształcisz na tłumacza?

I bądź tu dobry, chodź do apteki, kupuj lekarstwa. Poczula się trochę lepiej i już można na mnie psy wieszać.

- No właśnie! - wypalił Romek. - Po co? Poza tym wcale nie chcę, żebyś tłumaczył film, tylko prostą piosenkę.

Jeszcze lepiej!

- Niczego nie będę... - zacząłem, ale mama natychmiast mi przerwała.

- Pomożesz bratu, wszystko mu przetłumaczysz, a później będziesz sobie robił, co zechcesz. Zrozumiano?

Zgromiła mnie wzrokiem, którego pozazdrościłaby jej sama Meduza, więc pokornie zwiesiłem łeb.

- Zrozumiano.

Mama trzasnęła drzwiami, a Romek zaczął skakać po pokoju jak rozradowany baran (o właśnie, bardzo trafne określenie!). Zamknąłem przeglądarkę.

- Czego tak skaczesz? Przynieś ten tekst. A tak w ogóle po co ci on?

- Uczyłem się dwa lata grać na gitarze, tak czy nie? To teraz chcę zaśpiewać piosenkę.

Świetnie, będzie dusił kanarki!

- No to śpiewaj, a co mnie do tego?

- A jeżeli tam tylko muzyka jest fajna, a słowa to same głupoty? - błysnął rozsądkiem Romek.

- Przynieś ten tekst. - Westchnąłem, po czym spojrzałem ponuro w ekran monitora i zacząłem grać w sopera.

Kłopot w tym, że Romek jest, delikatnie mówiąc, kiepski z języków. Przez całe dziesięć lat jego edukacji odrabiałem za niego wszystkie zadania domowe. Chociaż jedno trzeba mu oddać: w klasie maturalnej podciągnął się trochę i zdał maturę na czwórkę.

Kiedy po kilku minutach usłyszałem skrzypienie drzwi, odwróciłem się od komputera i ku mojemu bezbrzeżnemu zdumieniu zobaczyłem, jak Romek wkłada do kontaktu wtyczkę magnetofonu.

- A to po co? Gdzie masz tekst?

- Na taśmie - ucziwie odpowiedział braciszek. O Boże! A ja miałem szczerą nadzieję, że się nade mną ulituje i chociaż spisze słowa. Aha, jasne...

- Włącz - westchnąłem.

Empty spaces - what are we living for? Abandoned places - I guess we know the score... - ryknął magnetofon głosem Freddiego Merkury'ego.

Przecież ten mały gad doskonale wie, że nie cierpię Queen! Żeby chociaż Deep Purple puścił!

Wysłuchałem do końca „*Show must go on*”, przewinałem kasetę, wręczyłem Romusiowi kartkę i długopis, a następnie oznajmiłem:

- Teraz będę tłumaczył wers po wersie, a jeśli jesteś ciekaw, o czym on pieje, zapisuj.

- Ale...

- Inaczej nici z tłumaczenia! - zagroziłem.

- Dyktuj - burknął Romek.

- „Opustoszałe miejsca - po co żyjemy? Wyludnione miejsca - chyba wiemy, jak wiele ich...”

- Przecież to nie do rymu!

- A czy ja ci obiecywałem literackie tłumaczenie? Lepiej podziękuj, że nie tłumaczę dosłownie!

- Tak? A niby jak?

- „Puste kosmosy - żyjemy dlaczego my...”. Tak ci się bardziej podoba?

- Nie, nie, nie! - z miejsca zapewnił Romek. - Już lepiej dyktuj jak za pierwszym razem.

Kiedy doszliśmy do „show musi trwać”, braciszek ostentacyjnie odłożył długopis i oznajmił:

- Nie podoba mi się ta piosenka. Lepiej włączę inną.

Tym sposobem przyszło mi wysłuchać ABBY, Bony M, a potem znowu Queen. Po dwóch godzinach, kiedy już zdążyła mnie rozboleć głowa, Romek oświadczył:

- Wiesz co, nie podoba mi się ta cała zagraniczna twórczość. Lepiej nauczę się czegoś naszego. - I poszedł.

Dzięki ci, Boże!

* * *

Po godzinie spędzonej na poszukiwaniu informacji o Drakuli i jego Wołoszczyźnie, znalazłem kilka plików. Ściągnąłem je, a potem zabrałem się za czytanie. W pierwszej kolejności otworzyłem artykuł opisujący rodzinne strony zębatego.

O ile dobrze zrozumiałem, Wołoszczyzna była kiedyś niewielkim państwem, które powstało prawdopodobnie w 1330 roku. Wielkością przypominała dzisiejsze Księstwo Monako lub coś w tym rodzaju (konkretnej informacji na ten temat nigdzie nie znalazłem, ale z wypowiedzi różnych autorów wynikało, że tak właśnie mogło być). Chociaż, biorąc pod uwagę fakt, że pod koniec XIV wieku armia Wołoszczyzny liczyła około pięćdziesięciu tysięcy ludzi... niewykluczone, że terytorium tego średniowiecznego państwa było jednak większe.

Na jego czele stał monarcha zwany wielkim wojewodą lub jak twierdzili niektórzy historycy, hospodarem. Szczerze mówiąc, zaszokował mnie sposób wyboru tego władcy - po śmierci monarchy bojarzy wybierali następcę tronu spośród dwóch panujących rodów.

Skoro już jesteśmy przy nazwiskach, na których można sobie połamać język, to chciałbym zauważyć, że każde drugie imię na tejże Wołoszczyźnie było trudne do wymówienia. Na przykład imiona takich „pyrkełabów” pełniących funkcję wiejskich starostów, czy „wistierów”, czyli skarbników.

O czym warto jeszcze wspomnieć? Hospodar nie tylko stał na czele państwa, ale i sądownictwa, które działało na zasadzie: tego skażę, temu podaruję.

Co się zaś tyczy samej Wołoszczyzny, za czasów panowania Drakuli, jak i później, prosperowała ona całkiem przyzwoicie. Uprawiano tam winogrona, pszenicę i proso. U jednego z autorów znalazłem nawet wzmiankę o ziemniakach, ale moim zdaniem to jawne przekłamanie. Ziemniaki w połowie czy pod koniec piętnastego wieku? A może to ja coś pokręciłem.

Poza tym na terenie państwa w wioskach o równie dziwnych nazwach, jak Oknele czy Slatina, wydobywano sól, żelazo, miedź oraz złoto.

O handlu nawet nie wspominam. Targowali się tam na całego, dysponowali zarówno miejscową, jak i obcą walutą.

Tak to właśnie wyglądało.

Następnie zająłem się życiorysem Włada III Palownika, czyli Drakuli. Już po paru minutach włos zjeżył mi się na głowie. Przez dłuższą chwilę nie mogłem oderwać wzroku od tekstu, a potem skoczyłem na równe nogi i potruchtałem do telefonu.

Odebrała Asia.

- Tak?

- Cześć, co słyhać?

- Cześć, Andriej. W porządku, a u ciebie?

- Wszystko dobrze. A jak Wowka?

- Też w porządku. Poprosić go?

- Aha.

- Już.

Do telefonu podszedł Wowa.

- Halo?

- Cześć, Wowka.

- Cześć. Co się stało?

Westchnąłem.

- Dzwonię, bo mam dla ciebie ważną nowinę. Jeśli stoisz, to lepiej usiądź.

- A jeżeli siedzę?

- To się połóż. - Zachichotałem, czując, jak spływa ze mnie napięcie.

Usłyszałem jakiś szmer, a później głos Aśki:

- A ty co?! Nie masz co robić, tylko się na środku drogi rozkładasz?!

- Andriej tak poradził...

- Obaj jesteście pomyleni!

Po kolejnej serii trzasków ze słuchawki dobiegł wreszcie głos Wowki:

- I kto zrozumie te kobiety? Mówię prawdę, a ona mnie od głupców zwymyślała.

Bez przerwy mi się od niej obrywa. Słuchaj, Andriej - Wowa nagle się podekscytował - chyba wpadłem na trop nowej teorii. Wszyscy młodszy bracia i siostry są dobrzy i mili, a wszyscy starsi źli i wredni. Dokładnie jak... nieważne kto.

Zatkało mnie.

- Bzdura!

Wowka westchnął.

- Aśka też nie chce mi przyznać racji, ale coś mi się zdaje, a nawet jestem pewien, że gdybyś powiedział to Romkowi, zgodziłby się ze mną w stu procentach!

Trzeba będzie spróbować. Uśmiechnąłem się.

- No dobra, a czemu nie dokończyłeś porównania?

- Bo ta hetera stoi nade mną jak kat nad dobrą duszą. Jak tylko padło słowo „wredni”, w tyłek mnie zdzieliła. Au! Coś się tak uczepiła, zarazo jedna?!

- Sam jesteś zaraza! - znów usłyszałem głos Aśki. Potem nastąpiła cisza, a po chwili odezwał się Wowka:

- Uff, w końcu poszła. To co właściwie chciałeś mi powiedzieć?

- Wowka, przypomnij mi, jak masz na nazwisko?

- Nie rozumiem... Zapomniałeś, jak się nazywam? Jak mogłeś?!

- Widać mam sklerozę. To jak?

- Władimir Aleksandrowicz Dan. Jeszcze jakieś pytania odnośnie moich personaliów? - zapytał Wowka oficjalnym tonem.

- Nie. Teraz posłuchaj, co mam ci do powiedzenia - podjąłem temat, puszczając mimo uszu burczenie na temat tego, dokąd zmierza ten świat, skoro ludzie nie pamiętają nawet nazwisk przyjaciół i tak dalej. - Ściągnąłem z Internetu biografię Włada Drakuli i znalazłem pewną ciekawostkę. Drakula miał zatarg z królem Węgier, Janem Hunyadym.

- A kto to, jakiś Chińczyk? - przerwał mi Wowka.

- Kto?

- No ten z dziwnym nazwiskiem.

- Sam jesteś Chińczyk! - palnąłem. - On był Węgrem! Słuchaj dalej i nie zadawaj głupich pytań. Autor tego artykułu pisze, że nienawiść pomiędzy Władem Drakulą, a konkretnie rzecz biorąc jego rodem i królem Węgier, Janem Hunyadym z rodu Korwinów...

- Nie rozumiem - kolejny raz przerwał mi Wowka. - Corwinem z „Kronik Amberu”? - Jakie znowu „Kroniki Amberu”? Tu chodzi o króla, a nie kroniki. Słuchasz czy nie?! - pytanie oczywiście było retoryczne, więc Wowka nie odpowiedział. - W rzeczywistości ta nienawiść nie była prawdziwa. Rzekomo dla Hunyadego Drakula nie stanowił godnego przeciwnika, bo coś tam nie grało z przedłużeniem jego linii dynastycznej. Natomiast godnym przeciwnikiem dla tych Drakulów był spokrewniony z nimi ród Danów - czyli potomków jednego z gospodarów Muntenii, czy jak tam zwali tę część Wołoszczyzny.

- Co?!

- To co słyszałeś.

- O matko moja jedyna... - wydukał Wowka.
- A co, naszły cię jakieś wątpliwości? Może myślałeś, że masz dwie? - mruknąłem.
- A ty jak zwykle musisz wtrącić swoje trzy grosze! Lepiej powiedz, czy to znaczy, że... że jestem, no, księciem?
- Na to wychodzi - odparłem śmiertelnie poważnie. - Księciem nie księciem, ale przynajmniej według tego artykułu, księżęcej krwi na pewno.
- Nieźle! - zachwycił się Wowa. - Co jeszcze ciekawego znalazłeś?
- Długo by opowiadać. Wrzucę ci wszystko na MSN.
- Nie da rady. Mamy Internet w abonamencie, a Aśka właśnie ostatnie piętnaście minut wykorzystała. Lepiej będzie, jak do mnie przyjedziesz i weźmiesz wszystko ze sobą.
- Dzisiaj nie będę mógł, mama zachorowała. Może jutro?
- Dobra. Do jutra.
- Na razie.

* * *

Do wieczora mamie nieco się polepszyło i pozwoliła mi jechać nazajutrz rano do Wowki. W związku z tym skoro świt, o godzinie dziesiątej, bez pośpiechu skopiowałem wszystkie pliki dotyczące Drakuli na dyskietkę i wyszedłem z domu, pozostawiając Romka na posterunku (niech się też trochę rodzicielką zajmie, tabletki poda).

Kiedy przechodziłem obok miejsca, gdzie wczoraj spotkałem staruszkę, tuż obok mnie zatrzymał się jeep cherokee, z którego wyskoczyło czterech gości w czarnych garniturach i ciemnych okularach. *Men in black*, kurka wodna.

Trochę mi się ta sytuacja nie podobała. Jeden z nieznajomych zdjął okulary i spojrzał mi przenikliwie w oczy, marszcząc brwi.

- Hej, chłopcze, nie widziałeś tu przypadkiem portfela?
- Nie - odparłem uczciwie. Przecież tak naprawdę niczego nie znalazłem, a jeśli ktoś inny znalazł, to nie moja sprawa.
- Aha, nie widziałeś?
- Nie.

Cóż, może rzeczywiście skłamałem. Nie wiem dlaczego, ale jakoś nie miałem ochoty opowiadać o staruszce i znalezionym portfelu. A ja zawsze słucham intuicji.

- Na pewno?!

- Na pewno.

- No, uważaj - mruknął facio, po czym dał znak współtowarzyszom. Ci natychmiast rozproszyli się po całym podwórku w poszukiwaniu zguby.

Tymczasem mój rozmówca wyciągnął z kieszeni wizytówkę i wręczył mi ją ze słowami:

- Gdybyś jednak znalazł portfel ze skóry krokodyla, zadzwoń pod ten numer. Dostaniesz wszystko, co w nim jest plus coś ekstra.

Jasne - w oko i w ucho.

Skinąłem głową, wziąłem wizytówkę i ruszyłem w dalszą drogę. Kiedy już byłem dość daleko, postanowiłem się jej przyjrzeć. Zwykła biała karteczka, na jednej ze stron ktoś nabazgrał ołówkiem numer telefonu. Nie sądziłem, żeby ten numer miał mi się do czegośkolwiek przydać, więc zmiąłem i wyrzuciłem kawałek papieru.

* * *

Czekałem na autobus, gdy nagle ktoś zawołał:

- Andriej!

Odwróciłem się i ku mojemu zaskoczeniu zobaczyłem kolegę z roku, Saszę Zwiecina. Stał obok jaskrawoczerwonego mercedesa i machał w moją stronę. Podeszedłem do niego.

- Cześć. Jak ci się podoba? - Sasza wskazał na mesia.

- Super. Twój?

- No! Prezent urodzinowy od starych. Co prawda urodziny mam dopiero w piątek, ale dali mi wcześniej.

- Wszystkiego najlepszego - powiedziałem z uśmiechem.

- Dzięki. Andrej, słuchaj, a może byś wpadł do mnie na imprezkę?

- Sam nie wiem..

- Stary, nie daj się prosić. Będzie jeszcze parę osób z naszego roku i kumple z innej uczelni. Wpadnij!

- Nie wiem, gdzie mieszkasz - odparłem, łudząc się, że ta wymówka wyratuje mnie z opresji.

Sasza machnął ręką.

- No dobra, w takim razie spotkajmy się pojutrze o pierwszej na tym przystanku, przyjadę po ciebie.

- Zgoda - westchnąłem, kapitulując.

W tej samej chwili na przystanek zajechał autobus, więc pożegnałem Saszę i wszedłem do środka.

Jakbym nie miał dość problemów, to teraz będę musiał rozejrzeć się za jakimś prezentem.

* * *

Wysiadłem w pobliżu Rynku Głównego. W innej sytuacji pojechałbym dalej, ale najpierw musiałem znaleźć coś dla Saszy. Jakies pół godziny chodziłem po mieście, zastanawiając się, co kupić. W końcu wybrałem nieduży portfel i grę komputerową o dziwnym tytule „Ja smoka” w sensie „Tożsamość smoka” czy coś w tym rodzaju. Co prawda sprzedawcy próbowali mnie przekonać, że na płycie napisane jest „Oko smoka”, ale w ciągu dziesięciu lat szkoły i trzech studiów zdążyłem się nauczyć, że słowo oko po angielsku zawiera trzy litery, a nie jedną.

Zapakowałem to wszystko do torebki, którą kupiłem w sklepiku obok razem z kartką urodzinową i ze spokojnym sumieniem wsiadłem do autobusu jadącego na osiedle, gdzie mieszka Wowka.

Dość szybko znalazłem blok Wowki, chociaż nie byłem u niego już... No właśnie, jak długo? Niech no policzę. Dokładnie rzecz biorąc, ostatni raz odwiedziłem go w maju zeszłego roku, kiedy pomagałem mu w nauce angielskiego. Zwykle to on do mnie przychodzi. Ja rzadko tu bywam - nie lubię tej dzielnicy. Na moim osiedlu jest dużo zieleni, a tu - łyso jak na pustyni.

Wdrapałem się na trzecie piętro i wcisnąłem dzwonek. Po chwili usłyszałem kroki, a zaraz potem głos Wowki:

- Kto tam?

- Ja.

Otworzył drzwi.

- O matko, chłopie, co ci się stało?! - wrzasnąłem.

Wowka zawsze miał nie po kolei w głowie, a jakieś trzy lata temu odbiło mu na punkcie długich włosów. Z tego powodu musiał zrezygnować z fakultetu wojskowego, proponowanego studentom na uczelniach (na mojej również, a dokładniej na

sąsiadującej z moją uczelnią, która za odpowiednią opłatą pozwala nam uczestniczyć w tych zajęciach).

Teraz Wowka stał przede mną krótko ostrzyżony. Nie do gołej glacy, ale jego fryzura przypominała odrośniętego języka.

- Obciąłem się - oznajmił ponurym tonem.

- Zauważyłem. Z jakiej okazji?

- Ech, długo by gadać. No, wchodzi, wchodzi. - Przepuścił mnie do środka. - Wujek Wicek czepił się jak nie wiem co! Wciąż tylko: „Obetnij włosy, wyglądasz jak łajza! Wiszą ci te strąki!”. - Słuchałem Wowki, zdejmując buty. - Tak ogólnie, chodził i burczał. A od jakiegoś czasu mama też zaczęła marudzić. Miałem już tego serdecznie dość, więc wstąpiłem dziś rano do fryzjera. Ale się ucieszyli! A kiedy im pokazałem przekłute ucho, o mało nie zaczęli płaszać! - Aż mnie zatkało, gdy zobaczyłem małe metalowe kółeczko tkwiące w lewym uchu Wowy. - Normalnie plemienny taniec mumba-jumba poprzedzający polowanie na smoka. Wy tłumaczyłem im, że to na znak protestu i że nie wyciągnę tego kolczyka, dopóki nie odrosną mi włosy. A jak się nie przestaną czepiać, przekłuję jeszcze nos, język i brew!

Swoją drogą ciekawe, czy będzie sobie robił nową dziurkę tylko wtedy, gdy go ochrzanią za stare, czy z innych powodów również? Musiałem chrząknąć, kiedy wyobraziłem sobie Wowkę całego w kolczykach. Nieźle by wyglądał.

- A to kółeczko jest ze srebra?

- Z jakiego znów srebra? Zwykła podróbka, niby metal hipoalergiczny. Chciałem wziąć srebro, ale jak w salonie chwyciłem taki kolczyk, natychmiast zapiekła mnie skóra. Całe szczęście, że nie zaczęła płątami odchodzić. Musiałem się tym bądziem zadowolić.

Zostawiłem reklamówkę obok wieszaka na płaszcze i ruszyłem do pokoju, po drodze witając się z Aśką, która wyjrzała z kuchni. Nagłe usłyszałem skrzeczący głos:

- Wowa, kto przyszedł?!

- Święci pańscy - westchnął Wowka, wpadając do pokoju. - Kolega, babciu, kolega!

- Czyżby? Przyjaciele tak do drzwi nie dzwonią. Tylko króciutko, króciuteńko dzwonek naciskają! Delikatnie, rozumiesz? A tak to WROGOWIE się dobijają!

* * *

- Nie, babciu - z przekonaniem oznajmił Wowka. - Przyjaciele dzwonią i tak, i tak.

A poza tym ja nie mam wrogów. Już nie.

- Jaaa - zająknęła się staruszka - jak to już?!

- Żartowałem - mruknął. - Naprawdę żartowałem!

Wyszedł z pokoju i szepnął mi do ucha:

- Babcia przyjechała.

No i wszystko jasne.

Mama cioci Lidy mieszkała w innym mieście, dlatego odwiedzała wnuki nie częściej niż raz do roku, przy okazji doprowadzając Wowkę do białej gorączki (co prawda nie jest to zbyt trudne, a i on sam nie pozostaje innym dłużny). Pech chciał, że trafiło akurat na ten dzień.

- To jak, idziemy do komputera? Wszystko ci pokażę.

- Chodźmy.

* * *

Kiedy Wowka włączył komputer, Nina Siemionowna alias babcia przeniosła się do salonu, włączyła telewizor i usiadła na wersalce. Niebawem cały dom wypełniły odgłosy pocałunków i okrzyki w rodzaju: „Raulu Hulio, czy mnie kochasz?!”.

Wowka zrobił minę cierpiętnika i wzniósł oczy ku niebu.

- Znowu serial...

Powiedział to półgłosem, ale najwyraźniej Nina Siemionowna wciąż miała doskonały słuch.

- Wowa, jak ci nie wstyd?! Rodzona babka przyjeżdża do ciebie raz na sto lat, a ty jej telewizora żałujesz?!

- O losie! Babcia, oglądaj sobie, ile wlezie, tylko niech nie słyszę tych meksykańskich seriali! Na psychice mi się odbije!

- To nie jest meksykański serial - odkrzyknęła babcia urażonym głosem - tylko brazylijski!

- A to jakaś różnica?!

Nina Siemionowna trzasnęła drzwiami.

* * *

Przez dobre trzy minuty komputer nie potrafił otworzyć pliku. Kiedy już prawie dałem za wygraną, przekonany, że będę musiał przebijać się przez całe miasto do domu, szukać zawieruszonego gdzieś przez Romusia pendrive'a, a potem wracać do Wowki, kupa złomu zahuczala i na ekranie zamrugał komunikat: „Dysk w napędzie A jest niesformatowany. Czy chcesz sformatować? Y/N”. Błyskawicznie wcisnąłem N. Co teraz?!

Wowka, który przez cały czas obserwował moje zmagania, zapytał:

- Może ci pomóc?

- Nic nie działa. Trzeba zawołać Aśkę, w końcu studiuje informatykę.

Uśmiechnął się zdradziecko.

- A jednak spróbuję.

Wyciągnął dyskietkę, włożył ją ponownie, a gdy stacja zaterkotała, z całej siły walnął komputer pięścią w obudowę. Po kilku bzyknięciach, stuknięciach i piśnięciach na ekranie pojawiło się okno dyskietki z ikoną dokumentu.

Nie bez kozery mówi się, że na elektronikę najlepiej działa młotek.

Nie chcąc ryzykować kolejnej awarii, pospiesznie zapisałem artykuł o Drakuli na dysku, po czym wyjąłem dyskietkę.

Mniej więcej w tej samej chwili z salonu dobiegło nawoływanie:

- Wnuuuczuuuś!

Wowka znowu przewrócił oczami.

- Andriej, nie masz przypadkiem jakiegoś sznura?

- A kogo chcesz powiesić? Babcię?

- To by nic nie dało - westchnął. - Nawiedzałyby mnie jako zjawy i bez przerwy o coś prosiła. Lepiej sam się powieszę, tak będzie bezpieczniej.

Wowka wstał i ruszył do pokoju, który okupowała Nina Siemionowna. Po chwili usłyszałem jego głos:

- Czego ci trzeba, poczciwa staruszko?

Później do moich uszu dotarł niewyraźny bełkot, a potem wrócił Wowka, poważny jak sama śmierć.

- Poprosiła, żebym jej przyniósł wody. Nie mogła, kurka, Aśki zawołać? Przecież ma ją pod ręką! No dobra, co z tym Drakulą?

Przewiłem sto stron dokumentu i zapytałem:

- Chcesz wiedzieć wszystko, czy tylko najważniejsze rzeczy?

Wowka ocenił wzrokiem ilość tekstu.

- Streszczaj.

- Dobra, więc tak: urodził się, miał jedną albo trzy żony - co do tego historycy nie są zgodni - a potem umarł. Tyle!

- Andriej, nie wygłupiaj się! To ma być wszystko?

Wzruszyłem ramionami.

- Chciałeś krótko, to masz krótko.

- A odrobinę więcej szczegółów? - W milczeniu pokręciłem głową. - Nie? - Przytaknąłem. - Nie chce ci się? - Znów przytaknąłem. - Kij ci w oko!

Wowa umilkł, a ja z zaciekawieniem obserwowałem, co będzie dalej. I rzeczywiście, niedługo musiałem czekać na rozwój sytuacji:

- Kij ci w oko jeszcze raz! - A po minucie: - Kij ci w oko po raz trzeci!

- Długo będziesz mi te kije wsadzał? - zapytałem i otrzymałem całkiem logiczną odpowiedź:

- Dopóki się nie skończą!

Bardzo zabawne...

- No dobrze, panie Danie z rodu Wielbłądów, niech pan słucha.

Zacząłem opowiadać o życiu Drakuli.

* * *

Drakula, czyli Wład Palownik, urodził się między 1428 a 1431 rokiem (różne źródła podają inne daty).

- Stop, stop, stop! - przerwał mi Wowka. - Jak to w trzydziestym pierwszym? Przecież on wspominał coś o trzydziestym piątym.

Wzruszyłem ramionami.

- To znaczy, że albo historycy się mylą, albo Drakula... skłamał?

Rozmowa dwóch pomyleńców.

- Tak sądzisz? - zapytał z namysłem Wowka.

- Nie mam bladego pojęcia. Może natknęliśmy się na innego Drakulę, a nie tę postać historyczną?

- Może - mruknął, przeczesując palcami krótkie włosy. - Powiedz jeszcze, że to wersja piracka, Wład Drakula XP *Professional Edition*.

Wybuchnąłem śmiechem.

- A ten ze szramą to *Edition Home*?

Tylko nie próbujcie mi wmawiać, że w angielskim przymiotnik zawsze stoi przed rzeczownikiem. Jakby nie było, to JA dostałem stypendium naukowe.

- Dobra, wystarczy. Słuchaj dalej.

Ojciec Włada Palownika wstąpił do Zakonu Smoka, dzięki czemu otrzymał przydomko „Drakul”, które odziedziczył po nim jego syn. Do przydomka syna dodano dodatkowo końcówkę „a”, co miało oznaczać przynależność rodową. Co prawda niektórzy uczeni utrzymują, że smoki nie mają tu nic do rzeczy, a samo słowo „Drakula” jest parafrazą drugiego przydomka Włada - „Dregula”, oznaczającego „drogi” czy „kochany”.

- A jednak! - wypalił Wowka.

Przezwisko Palownik - „wbijający na pal” - Wład otrzymał później, co zawdzięczał swym licznym zasługom.

W 1436 roku Wład II Drakul zasiadł na wołoskim tronie. Potem, w 1437, po śmierci cesarza Węgier Zygmunta Luksemburskiego, turecki sułtan, którego imienia nigdzie nie znalazłem, rozpoczął inwazję na Bałkany. Na pierwszy ogień poszła Wołoszczyzna. Wład II Drakul (lub inaczej Wład Diabeł) musiał przyjąć zwierzchnictwo sułtana, ponieważ sam nie był w stanie przeciwstawić się armii imperium osmańskiego, a na żadną pomoc nie mógł liczyć. Pewnie mu poskąpili. W 1438 roku najechał wraz z sułtanem na Transylwanię. Wołoszczyzna stała się dla Turcji prowincją posiadającą status lenny. Jeśli dobrze zrozumiałem, była dla Turcji tym, czym Ruś dla Złotej Ordy.

W latach 1442-1443 Wład Diabeł, pozostawiwszy na Wołoszczyźnie starszego syna, Mirczę, na rozkaz sułtana udał się do Turcji. Jego młodszych synów, Włada i Radu, przetrzymywano na dworze sułtana jako zakładników, co miało zagwarantować lojalność ich ojca wobec imperium osmańskiego. Nie powstrzymało to jednak Włada Diabła, który w 1445 roku wziął udział w bitwach przeciwko Turkom, pomagając odebrać Osmanom należące do Wołoszczyzny naddunajskie twierdze. Jeszcze później naraził się na gniew Jana Hunyadego, będącego faktycznym, choć nieoficjalnym królem Węgier. W sporze o tron Mołdawii poparł niewłaściwego pretendenta, przeciwnika protegowanego Jana Hunyadego. Poza tym oznajmił, że zamierza prowadzić politykę niezależną od polityki Węgier. Jan nie mógł mu tego darować i w 1448 roku zorganizował zbrojną wyprawę na Wołoszczyznę, pojmał Włada i skrócił go o głowę. Na tronie zasiadł Mircza, starszy syn Włada II. Niestety, jego stosunki z poddanymi nie układały się najlepiej i mieszkańcy Târgoviște najpierw go oślepiłi, a

potem pochowali żywcem. Wtedy też uwolniono Włada Palownika, który zastąpił Mirczę na wołoskim tronie.

Kiedy Wład Palownik jesienią 1448 roku został mianowany hospodarem, Jan Hunyady walczył na Kosowym Polu.

- Wiecznie to Kosowo! Jeszcze chwila, a zatkam sobie uszy - skomentował Wowa.

Mimo że Hunyadego zaprzętały inne sprawy, wysłał na Wołoszczyznę wojska, by się rozprawić z Drakulą. Ten jednak zdołał zbiec. Jan na pewien czas ogłosił się władcą Wołoszczyzny, ale gdy później zrozumiał, że nie jest mu to na rękę, posadził na tronie wołoskim niejakiego Władysława II Dana. Tymczasem po pierwszej, niezbyt udanej próbie utrzymania się na tronie, Wład Palownik przebywał w Mołdawii rządzonej przez jego wuja, Bogdana II, który został później zamordowany. Po jego śmierci Drakulą udał się na dwór Jana Hunyadego.

- I nie zginął? - zapytał z przejęciem Wowka.

- Nie...

Przyłączył się do organizowanych przez Jana wypraw wojennych. W 1456 roku Hunyady niespodziewanie poparł Drakulę w uwięzionej sukcesem walce o tron wołoski. Jego przeciwnik, Władysław II Dan, zginął. Podobno zabił go sam Drakula. W ten sposób Palownik znalazł się na tronie Wołoszczyzny po raz drugi.

Po zwycięskiej bitwie pod Belgradem, która na pewien czas powstrzymała turecką ekspansję na zachód, w obozie Jana Hunyadego wybuchła epidemia dżumy. Król zachorował i zmarł. Okazało się, że obowiązek prowadzenia wojny przeciwko Turkom spadł na Włada Palownika, który nie dysponował tak potężnymi siłami i środkami, jakimi mógł rozporządzać władca Węgier. Mimo to w niedługim czasie Wład zdołał zaprowadzić porządek w kraju, a nawet przyczynić się do jego rozkwitu. Przestępczość zwalczał wbijaniem złoczyńców na pal, czemu między innymi zawdzięcza przydomek Palownik. Zreformował również wojsko zgodnie z ówczesnymi trendami. Stworzył jądro armii bezpośrednio podporządkowane gospodarowi. Z drugiej strony haracz, jaki Wołoszczyzna musiała płacić imperium osmańskiemu, zwiększono z trzystu do dziesięciu tysięcy piastrów. Początkowo Wład nie uchylał się od obowiązku płacenia.

W trzecim roku jego rządów wszystko uległo zmianie. Nie tylko przestał płacić, ale też skutecznie odpierał ataki urządzone przez bejów na przygraniczne terytoria Wołoszczyzny. Następnie wysyłał do sułtana listy. Informował w nich, że jego uniżony sługa, czyli on sam, po raz kolejny został zmuszony do ukarania tego czy innego beja, który ośmielił się napaść na zaprzyjaźniony kraj, działając wbrew woli sułtana.

- Nieźle! - przerwał mi Wowka. - Wychodzi na to, że był niezłym hipokrytą.
- Miałeś w szkole fizykę?
- Miałem, a co?
- Regulę korkociągu pamiętasz?
- Eee... Chodzi o te pola magnetyczne?
- O tym uczyli na lekcjach. Teraz reguła brzmi: „Chcesz żyć, musisz umieć kręcić”.

Myszę, że za czasów Drakuli było dokładnie tak samo. Słuchaj dalej.

Pewnego, z pewnością niezbyt pięknego dnia sułtan w końcu upomniał się o dług. Aby zyskać na czasie, Wład Palownik przekazał mu, że nie może opuszczać kraju. Turcy zgodzili się przysłać po haracz swojego przedstawiciela. Drakula zwlekał jeszcze przez pewien czas aż pod koniec 1461 roku sułtan zaprosił go na rozmowy na temat „uregulowania spraw granicznych”. Spotkanie miało się odbyć w szczerym polu. Drakula przybył na nie w asyście całej gwardii, liczącej około trzech tysięcy ludzi, w efekcie czego turecki oddział z niejakimi Junus-Beem i Hamza-Paszą na czele zniknął bez śladu,

- Mądry chłopak - skomentował Wowka. Tymczasem ja ciągnąłem dalej.

Drakula rozpoczął regularną wojnę i zdobywał twierdzę za twierdzą. W ten sposób odbił połowę terytorium wołoskiego zagarniętego przez Turków, a z pozostałych terenów ludność napływowa zaczęła uciekać sama. Tak zakończył się okres kolonizacji południowej Wołoszczyzny.

Jednakże Turcja nie mogła pozostać bierna wobec poczynań Drakuli. Sułtan wysłał wielkiego wezyra Mahmuda-Paszę na Wołoszczyznę, by ten zaprowadził porządek na południu i przykładnie ukarał hospodara. Wiosną 1461 roku Mahmud-Pasza na czele trzydziestotysięcznej armii ruszył wypełnić rozkazy. Kiedy przybył na miejsce, części wojska nakazał strzec osady i odbudować warownie. Z resztą armii przeprowił się przez Dunaj i zaatakował wroga. W tym samym czasie uderzył także Wład Palownik. Odebrał Turkom trofeum, uwolnił jeńców i położył trupem około dziesięć tysięcy żołnierzy Mahmuda, zmuszając pozostałych do ucieczki. Udało mu się tego dokonać przy pomocy gwardii liczącej siedem tysięcy głów.

- Przed chwilą mówiłeś, że w skład osobistej gwardii wchodziło tylko trzy tysiące żołnierzy - zauważył Wowka.

- Szczerze mówiąc, nie znam dokładnych danych. W całej tej historii Wołoszczyzny i Rumunii liczby to najbardziej wątpliwy element. Tu z trzech tysięcy

po chwili robi się siedem, a z dziesięciu - pięćdziesiąt. Wszystko zależy od autora. Ty masz się skupić na głównym wątku!

- No dobra...

Latem 1462 roku armia turecka pod wodzą sułtana uderzyła na Wołoszczyznę. Towarzyszył jej nowy pretendent do tronu wołoskiego, proturecki brat Włada, Radu zwany Pięknym.

- Zaczekaj! - przerwał mi Wowka. - I Drakula z nim walczył? Z własnym bratem?!

- Widzisz - odparłem - historycy milczą na temat ich wzajemnych relacji. Może się nienawidzili, kto wie? Studiując biografię Drakuli, natknąłem się na jeden jedyny fragment świadczący o istnieniu więzi braterskich, lecz nie dotyczył on Radu, a Mirczy. Kiedy Drakula wstąpił na tron za pierwszym czy drugim razem, rozkazał odkopać zwłoki brata, by się przekonać, czy rzeczywiście pochowano go żywcem. Następnie wszystkich, którzy mieli cokolwiek wspólnego ze śmiercią Mirczy, zmusił do pracy przy budowie zamku. Tych, którzy przeżyli tę mordęgę, a było ich niewiele, puścił wolno. Jednak i ten fakt w zależności od punktu widzenia można zinterpretować jako wybieg polityczny - możliwe, że zrobił tak ku przestrodze by nikt nie ważył się podnieść ręki na hospodara.

Według różnych źródeł wojsko sułtana liczyło od sześćdziesięciu do dwustu pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy.

17 czerwca 1462 roku miała miejsce najsłynniejsza bitwa. Nocą Drakula wtargnął do obozu przeciwników, zlokalizowanego na drodze do stolicy Wołoszczyzny, Târgoviște, wyrzynając praktycznie każdego, kto się napatoczył. Mimo to sułtan przeżył. Oddział Włada nie poniósł większych strat, a on sam odniósł niewielką ranę głowy. Sułtan z niedobitkami armii uciekł do ówczesnej stolicy Rumunii, Bukaresztu. Po drodze Turcy napotkali przerażającą dekorację w postaci jeńców tureckich nabitych na pale i ustawionych w niekończący się szpaler wzdłuż drogi. Sułtana wprost poraziło okrucieństwo przeciwnika. Najbardziej zdumiał go fakt, że takich okrucieństw dopuszcza się władca rzekomo chrześcijańskiego, a już na pewno spokojnego państwa, jakim była Wołoszczyzna, władca, który tak samo jak Węgrzy wypowiedział świętą wojnę niewiernym imperium osmańskiego.

Nakazawszy odwrót, sułtan pozostawił za Dunajem Radu Pięknego wraz z oddziałem lekkiej jazdy. Radu zaczął skutecznie wypierać Włada na północ, szerząc proturecką propagandę w całym kraju, a przede wszystkim w szeregach armii samego Drakuli, która miała zrzeszać większość zdolnych do walki mężczyzn Wołoszczyzny.

Wład ponosił klęskę za klęską. Podczas odwrotu jego wojska zostały napadnięte przez Węgrów i rozgromione. Do starcia doszło w wąskim wąwozie, gdzie odparcie ataku było niemożliwe. Wład został schwytany i osadzony w ciemnicy. Spędził w niewoli trzynaście lub czternaście lat.

- Ale dlaczego napadli go Węgrzy? Przecież byli jego sojusznikami, o ile nadążam.

- To już jest wyższa polityka. Z nimi nigdy nie wiadomo - raz są wrogami, a raz przyjaciółmi.

10 stycznia 1475 roku ci, którzy go więzili, doszli do wniosku, że skoro Drakula tak dobrze radził sobie niegdyś z Turkami, to mógłby się przydać w obliczu planowanej wojny. Kiedy Palownik odzyskał wolność, natychmiast zabrał się za wojaczkę i walczył do wiosny 1476 roku. Wtedy pojawiły się pierwsze propozycje powrotu Włada na tron Wołoszczyzny.

26 listopada 1476 roku Palownik pokonał Basaraba III Starego, ówczesnego wielkiego wojewodę wołoskiego i ponownie został ogłoszony hospodarem. Przez nieco ponad miesiąc odnosił sukcesy w walce z Turkami, wypierając ich coraz dalej na południe. Jednakże pod koniec 1476 roku lub na początku 1477 Palownik zginął na polu walki. Nie wiadomo dokładnie, jak do tego doszło. Krążą na ten temat sprzeczne pogłoski. Wiadomo tylko, że odrąbano mu głowę, ale kto to zrobił - swoi czy Turcy - tego historycy nie wyjaśniają.

Wszystko, co opowiadałem Wowce, w większej części stanowiło streszczenie materiałów zamieszczonych w Internecie przez niejakiego M. Michaja. Oczywiście mówiłem własnymi słowami - na bardziej wyrafinowany styl nie było mnie stać.

- Hmm... - zamyślił się Wowka. - Ciekawe miał gościu życie. Ale wspominałeś też coś o trzech małżeństwach.

- Raz na pewno był żonaty, z siostrą Macieja, króla Węgier. Ożenił się w 1457 roku czy coś koło tego. Potem, jak głoszą legendy, kiedy napadnięto na jeden z jego zamków, Drakula uciekł, porzucając żonę. Podobno ze strachu skoczyła z okna. Z kolei inna legenda mówi, że kiedy dostał się do niewoli, przyjął wiarę katolicką i dopiero wtedy wziął sobie za żonę córkę króla Węgier. Która z tych legend bardziej przypadła ci do gustu, tę wybieraj.

- Zaczekaj - przerwał mi Wowka. - Jak to: przyjął wiarę katolicką. To on nie był katolikiem?

Pokręciłem głową.

- Na Wołoszczyźnie wyznawano prawosławie. Z tego też powodu jej władcą nie mógł zostać człowiek innego wyznania. Może o tym wszystkim świadczyć choćby fakt, że po pogrzebie Władysława II, tego, który został obalony, gdy Wład po raz drugi zasiadł na tronie, Palownik rozkazał wznieść cerkiew dla uczczenia jego pamięci.

- Zwariować można...

- Mógłbyś z tym trochę poczekać? - Wowka spojrział na mnie jak na idiotę. Najwyraźniej nie załapał żartu. - Tak się składa, że nie mam przy sobie kaftana bezpieczeństwa.

- Dobra, przekonałeś mnie. A wracając do tematu - mówiłeś, że Drakulę nazywali Palownikiem, bo nabijał ludzi na pal. Naprawdę był z niego aż taki skurczybyk?

- Jeszcze jaki! W przekazach aż się roi od przykładów okrucieństwa.

- To znaczy?

- No... - Zacząłem przeszukiwać pliki. - Na przykład kiedy tureccy wysłannicy odmówili zdjęcia krymek, rozkazał przybić im je do głów gwoździami. Albo gdy jeden z wielmożów, spacerując z Drakulą wokół miejsca straceń, odwrócił się, nie mogąc znieść smrodu, kazał go nasadzić na pal, twierdząc, że na górze nic nie będzie czuł. A gdy pewna kochanka Drakuli postanowiła uszczęśliwić go kłamstwem, że spodziewa się dziecka, posłał do niej akuszerkę. Gdy prawda wyszła na jaw, powiedział, że chce osobiście obejrzeć potomka i rozpruł nieszczęsnej kobiecie brzuch. Dużo jest takich opowieści.

- Nieźle.

- Chociaż z drugiej strony wobec jego prawa wszyscy byli równi. Wbijał na pal tak biednych, jak i bogatych. W czasach jego panowania na Wołoszczyźnie nie istniała przestępczość. Na ulicy Târgoviște mogłeś zostawić złotą monetę, a po tygodniu ją stamtąd zabrać. Jedna z legend głosi, że w centrum miasta stała studnia, a obok niej czara ze złotą. Pił z niej każdy, kto miał na to ochotę. I nikt jej nie ukradł.

- Dobre - powiedział powoli Wowka. - Słuchaj, wczoraj mówiłeś też coś o rodzie Danów, z którymi Drakula miał ponoć jakieś zatargi, a teraz nawet o tym nie wspomniałeś.

- Serio? - zdziwiłem się. - Znaczący, jeśli czytać między wierszami, autorzy piszą, że ród Danów sprawował rządy na Wołoszczyźnie, zanim pojawił się Wład. To po pierwsze. Po drugie ten Władysław, który zajął miejsce na tronie po ucieczce Palownika, nazywał się Władysław II Dan.

- Nie gadaj! Super, teraz dopiero jestem z siebie dumny.

- Żebyś przypadkiem nie pękł - mruknąłem.

Do pokoju zajrzała Aśka.

- Chłopaki, zostawcie na chwilę to, czym się zajmujecie i chodźcie na obiad.

- Aśka, co tobie? - zaprotestowałem. - Jaki obiad? Muszę już lecieć, w domu na mnie czekają.

- Boisz się, że cię otruję? - z wyrzutem zapytała dziewczyna. - A może Wowka naopowiadał ci o moich ostatnich eksperymentach kulinarnych? Nie zwracaj na niego uwagi, łyże jak pies. Od mojego jedzenia jeszcze nikt nie umarł. A że Wowka przez kilka dni miał rozstrój żołądka? Jak się tak będzie wymądrzał, znowu mu czegoś na sraczkę podsypię.

Skamieniałem z przerażoną miną. Aśka z marnym skutkiem próbowała powstrzymać wybuch śmiechu.

- No już dobrze, żartowałam. Niczego mu nie dosypywałam. Idziemy? Chociaż herbaty się napijesz!

- Zgoda - westchnąłem. Siostra Wowki uśmiechnęła się i wyszła z pokoju.

Kiedy kliknąłem myszką, żeby zamknąć dokument z biografią Włada, Wowa ni z tego, ni z owego zapytał:

- Słuchaj, a jak myślisz, który z naszych znajomych jest prawdziwym Drakulą?

- Nie mam pojęcia. - Wzruszyłem ramionami.

- Przecież gdzieś musiał się zachować jego portret.

- Tak - westchnąłem, na nowo otwierając edytor tekstu. - Tylko że jest mały problem - jedyny znany wizerunek Włada to rycina, a na niej trudno doszukać się jakichkolwiek podobieństw. Pamiętasz rycinę Iwana Groźnego z podręcznika historii? Porównaj te jego wyłupiaste oczy i ogromne usta do portretu namalowanego przez tego, zdaje się, Wasniecowa, gdzie car stoi w pełnej krasie z berłem w ręku. Jeden z drugim ma niewiele wspólnego. A poza tym to portret pośmiertny, stworzony na podstawie relacji ludzi żyjących w jego czasach.

Kiedy wreszcie znalazłem właściwą ilustrację, pokazałem ją Wowce.

- Widzisz?

Obraz przedstawiał mniej więcej czterdziestoletniego mężczyznę z ogromnymi uszami, wyłupiastymi, podkrążonymi oczami, wąskimi ustami i fryzurą, której mógłby mu pozazdrościć niejeden wokalista kapeli metalowej.

- Hmm... - mruknął Wowka w zamyśleniu. - Rzeczywiście nie widać podobieństw. Wydaje mi się jednak, że jeśli któryś z nich dwóch jest zamienionym w wampira Drakulą, to z pewnością Czarny Płaszcz.

- Skąd takie przypuszczenia? - zapytałem zaskoczony.

Wowka postukał paznokciem w monitor.

- Nie ma szramy.

- To żaden argument. Malarze często upiększali portrety wielmożów, więc szramę mogli po prostu pominąć. A przecież podczas tego nocnego napadu w 1461 roku Drakulę raniono w głowę.

- Wydaje ci się, że po lekkim zranieniu głowy zostaje szrama na całą gębę?

- Jeżeli przeżył, dlaczego by nie?

- Ej, idziecie? - przerwał nam krzyk Aśki.

Wyłączyłem komputer i poszedłem za Wowką do salonu.

* * *

W odróżnieniu od Wowki, Aśka nakryła do stołu jak należy. Nawet cytryna i kiełbasa były pokrojone na równe plasterki. Nina Siemionowna odmówiła herbaty, twierdząc, że jest za stara, by nam towarzyszyć, więc siedzieliśmy w salonie we troje.

Cichutko grał telewizor, rozmawialiśmy na neutralne tematy, gdy Aśka nagle zapytała:

- Andriej, co wy tam z Wowką omawialiście?

Zakrztusiłem się. Nie wiedziałem, jak zareagować. Oczywiście nic nie stało na przeszkodzie, by odpowiedzieć zgodnie z prawdą, że rozmawialiśmy o życiu Włada Palownika. Ale jaką później wymyślić odpowiedź na kolejne, w pełni zrozumiałe i logiczne pytanie, a mianowicie: po co?

Na szczęście z niezręcznej sytuacji wyratował mnie Wowka:

- Asia, a co z tą twoją medycyną, nie namyśliłaś się jeszcze? Nie chcesz wrócić na studia medyczne?

- Nie! - wrzasnęła dziewczyna. - Sto razy ci mówiłam, że jeżeli jeszcze raz mnie o to zapytasz, obedrę cię ze skóry!

- Dobra, morda w kubeł!

Asia już w podstawówce marzyła, by studiować informatykę i zostać programistką, ale ciocia Lida oznajmiła, że po pierwsze nie jest to zajęcie dla kobiety,

a po drugie w naszym mieście nie potrzeba programistki, więc pracy i tak nie znajdzie. (Ej, nie rzucajcie we mnie kapciami, ja tylko powtarzam cudze słowa!). Ciocia wolała mieć w rodzinie lekarza. Któregoś dnia Aśka się poddała i złożyła papiery na medycynę. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie jeden drobny szczegół: od dziecka bała się krwi i trupów. Ciocia Lida przekonywała ją, że jeżeli zostanie psychiatrą lub terapeutką, nie będzie oglądać ani jednego, ani drugiego. I miała rację. Do czasu. Pewnego pięknego razu grupę Aśki (a może nawet cały rok, nie wdawałem się w szczegóły) zaprowadzono do laboratorium anatomicznego, gdzie przyszli lekarze mieli zaprezentować wiedzę z anatomii na prawdziwych trupach. Każdemu z nich wręczono jakąś część ciała i kazano ściągnąć skórę, a potem ostrożnie porozdzielać mięśnie.

Asia do zadania przygotowywała się długo i rzetelnie: przejrzała podręczniki, wykłady, kupiła tabletki na uspokojenie. I poszła na zajęcia.

Nieszczęśliwym zrządzeniem losu trafiła się jej ludzka głowa. Popatrzyła na nią, a potem wzięła do ręki skalpel. Po zażyciu całego opakowania środków uspokajających zdołała zdjąć z niej skórę. Spojrzała na odsłonięte mięśnie twarzy, później na skalpel. Jeszcze raz na mięśnie. I na skalpel. Na mięśnie. Na skalpel... A potem zapadła w głębokie omdlenie.

Następnego dnia poproszono ją o zabranie dokumentów. Obawiano się, że gdyby nagle, nie daj Boże, zechciała zostać patologiem, musiałaby wykonywać pracę z zamkniętymi oczami. Wtedy, rzecz jasna, by nie mdlała, za to wszyscy wokół pomdleliby na pewno. Tak właśnie przedstawiła całą sprawę cioci Lidzie.

Nam jednak zdradziła w sekrecie, że w rzeczywistości nikt jej z uczelni nie wyrzucił. Sama zabrała dokumenty. Znalazła wymówkę, by stamtąd odejść i podjąć takie studia, o jakich zawsze marzyła.

W ten sposób Aśka straciła rok, a jesienią zdała na studia informatyczne i teraz pomyślnie zaliczyła kolejną sesję.

Ponieważ zaś siostra Wowki nie lubi wspominać tamtego okresu, rozmowa zesłała na inne tematy. Dopilem herbatę i grzecznie się pożegnałem.

* * *

Wowka odprowadził mnie do przedpokoju. Stałem jak wryty na widok moich butów - w jednym spał malutki kociak z głową wysuniętą przez otwór na stopę. Dosłownie dwoma palcami ostrożnie wyciągnąłem go z buta. Zmieścił mi się w dłoni.

- Co to za cudo? - zapytałem.

Rzeczywiście, inaczej nie można go było nazwać - maleńkie, śnieżnobiałe cudo z ogonkiem wielkości kciuka i zadziorną czarną plamką na prawym oku, która wyglądała jak piracka przepaska.

Kotek mruknął sennie i podkulił ogonek, kiedy go kładłem na dłoniach Wowy, ale się nie obudził.

- Aśka go wczoraj przyniosła. Poszła po chleb, a wróciła z nim. Mówiła, że był przywiązany do straganu. Przecież go nie wyrzucimy.

- Wowa! - krzyknęła z kuchni dziewczyna. - Sto razy ci powtarzałam, że nie znoszę, jak się do mnie mówi „Aśka”!

- Niech ci będzie. Lepiej podziękuj, że cię nie nazywam AjSiKju, moja droga programistko!

- Dziękuję! - rzuciła sarkastycznie Aśka, zabierając bratu zwierzątko.

- Ależ proszę.

Ze śmiechem chwyciłem reklamówkę, pożegnałem się jeszcze raz i wyszedłem.

Kiedy schodziłem po schodach, nagle wybiegł za mną Wowka.

- Andriej, zaczekaj, zapomniałem cię o coś zapytać! A czy on miał jakieś dzieci? Ten Palownik?

- O rany - westchnąłem. - Do czego ci potrzebne takie informacje?

- Bo jestem ciekaw!

- Zapisałem ci wszystko na dysku. Poczytaj sobie.

- Musiałbym przeszukiwać wszystko od początku - oznajmił Wowka w przebłysku rozsądku. - A ty mi możesz od razu powiedzieć.

- O rany! - Wiem, że się powtarzam, ale co zrobić? Widać dużo nagrzeszyłem. - Niedawno słyszałem o jakiejś współczesnej rumuńskiej aktorce, która jest ponoć prapra... i czort wie, ile jeszcze razy pra-wnuczką Palownika. Stąd wniosek, że jakieś dzieci musiał spłodzić. O ile mnie pamięć nie myli, miał trzech synów: Włada, Mirczę i Włada.

Wowkę na chwilę zatkało.

- A jak on ich rozróżniał? - zapytał w końcu. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko odbić piłeczkę:

- Według numerów porządkowych!

- A Mircza to na cześć starszego brata?

Słowo honoru, miałem ochotę go udusić.

- Wowka, a skąd ja mam to wiedzieć? Sam go zapytaj, jak się zobaczycie!

- Aha, jasne, na pewno mi odpowie.

I tym miłym akcentem zakończyliśmy rozmowę.

* * *

Miałem nadzieję, że kiedy wrócę do domu, wreszcie będę mógł odpocząć. (Nie chcę nawet słyszeć słowa, że przez cały dzień nic nie robiłem - czułem się zmęczony jak pies!). Jak jednak powszechnie wiadomo, nadzieja matką głupich. Po kolacji (Romek chyba udusił podeszwę z cebulą, bo przeżuć tego *boeuf Strogonowa* się nie dało, ale nie zmierzałem mu tego mówić - biedne dziecko jeszcze się obrazi albo sprowokuje awanturę) brat polecił do swojego pokoju po gitarę.

O nie! Tylko nie mówcie, że będzie śpiewał! Nie przeżyję tego miauczenia!

Romek szarpnął za struny. Ja to zawsze mam pecha...

Dobrze, już dobrze, może trochę przesadzam. Braciszek śpiewa całkiem nieźle. Nawet ma głos przyjemny, wysoki. Zdaje się, że jego żeński wariant to sopran, a męski - tenor albo alt (zabijcie, ale nie mam bladego pojęcia). Jest tylko jeden mały szkopuł - większość rockowych piosenek nie została napisana dla wokalistów z takim głosem. Wygląda to tak, że Romek śpiewa wysoko, muzyka gra kilka oktaw niżej, a oryginalne wykonanie w ogóle leci na łeb, na... spada o jakieś dziesięć oktaw w dół.

Rodzice posłuchali jednej piosenki i uciekli z salonu. Też chciałem się zmyć, ale brat zdążył mnie złapać i posadzić, stosując argument siły.

Ludzie, litości! Niech mnie ktoś zastrzeli!

Na szczęście po godzinie zakończył koncert, więc ze spokojnym sercem, czystym sumieniem i bolącą głową położyłem się spać, zażywszy uprzednio tabletkę analginu. (Oj, tylko bez kazań na temat jego skutków ubocznych i właściwości trujących! Sam to wiem, ale głowa boli, a aspiryna nie działa).

Mam jeszcze jedną dobrą nowinę (pierwsza to ta, że Romek przestał śpiewać) - mamie zrobiło się lepiej i postanowiła, że jutro pójdzie do pracy. W związku z tym zasypiałem bardzo, bardzo rad. (To nie ma nic wspólnego z pierwiastkiem chemicznym! Raczej ze słowem radosny. No!).

* * *

W czwartek obudziłem się wcześniej - o jedenastej. Pospałbym dłużej, gdyby jakiś idiota nie zadzwonił do drzwi. W duchu przyjąłem twarde postanowienie, że nie będę sprawdzał, kto to. Podzwoni, podzwoni i w końcu sobie pójdzie.

Aha, jasne, pomarzyć fajna rzecz. Romkowi dzwonek najwyraźniej przeszkadzał bardziej niż mnie, więc najukochańszy braciszek wpadł na pomysł, by jednak wpuścić nieproszonego gościa. Wywnioskowałem to z faktu, że po chwili zajrzał do mojego pokoju.

- Andriej, Wowka przyjechał. Ma do ciebie jakąś pilną sprawę.

- Nie przyjmuję - jęknąłem. - Audiencja zakończona. Skargi i wnioski proszę składać na piśmie w trzech egzemplarzach, najlepiej podpisane przez prezydentów Rosji i Ameryki. O, i jeszcze przez patriarchę najlepiej.

- I może przez Ojca Świętego? - burknął Romek.

- Nie - odparłem, siadając na łóżku. - Papież jest już stary i zniedołężniały, nie będziemy mu głupotami głowy zawracać.

Okej, pytanie numer jeden - gdzie moje spodnie? Pytanie numer dwa - gdzie moje skarpetki i dlaczego nie w kącie? Spodnie znalazłem za łóżkiem. Ze skarpetkami nie poszło tak łatwo - w ogóle ich nie znalazłem, tak samo zresztą jak koszuli.

Brat ze zdumieniem obserwował, jak miotam się po pokoju w poszukiwaniu garderoby, a potem zapytał:

- Andriej, co się stało z włosami Wowki?

- Ostrzygł - mruknąłem, zaglądając pod stół. Oczywiście skarpetek jak nie było, tak nie ma.

- Domyśliłem się, że ostrzygł, a nie zgolił - zauważył złośliwie Romek.

- Nie o to chodzi. On... Poniosła go fantazja. Chce zostać mnichem.

- Że co?!

- No - skinąłem, decydując się na ostatni desperacki krok - przeszukanie szafy. - Postanowił zostawić ten świat pełen zgiełku.

- Idź do diabła!

- Nie, ty idź! Sam go zapytaj, czy to prawda.

Brat pobiegł do salonu, a ja zacząłem przewracać sterty ciuchów, usiłując znaleźć choć jedną niewymiętą rzecz. Po chwili usłyszałem natchniony głos Wowki, zupełnie jakbym siedział w kościele na kazaniu. Krótko mówiąc, mój kolega uduchowionym głosem nawijał Romkowi makaron na uszy.

Kiedy wszedłem do salonu już mniej więcej ubrany, Dan to unosił oczy ku górze, to opuszczał bogobojnie i prawil, prawil, prawil... Przeważnie o tym, jak dobrze mu będzie w klasztorze.

Romek słuchał z rozdziawioną gębą.

Co by nie mówić, miło jest mieć kumpla, który rozumie człowieka w pół słowa. Kto inny zacząłby dociekać, o co chodzi, pytać, czy nie czas odwiedzić psychiatrę i tak dalej. A Wowka po prostu podchwycił temat.

Teraz opowiadał, że najpierw ma zamiar spędzić trochę czasu w jakimś klasztorze (korciło mnie, żeby dodać: żeńskim), a potem udać się na pustynię i żywić miodem oraz szarańczą (żyją tam dużymi stadami różne świerszcze, daleki krewny naszego Dana też zre wszystko, co mu wpadnie w ręce). Dzięki tym wszystkim zabiegom pewnego pięknego dnia dostąpi łaski zbawienia.

W końcu mnie zauważył i urwał monolog w pół zdania.

- Nareszcie! - parsknął. - Aż mnie język rozboleł od tej głupiej paplaniny. Przecież nie jestem Tomaszem z Akwinu, żeby o religii tyle gadać. Jeszcze kilka minut i musiałbym powtórzyć wszystko od nowa!

Romek wybałuszył gały.

- Przecież mówiłeś, że...

Wowka ze współczuciem pokręcił głową.

- Taki duży, a w bajki wierzy.

Brat nadął policzki, ale wtedy Wowa podniósł leżącą na wersalce płytę.

- Przyniosłem ci nową zabawkę, idź, zobacz.

Romek pochwycił grę i od razu pobiegł do komputera. Ciekawe, jak ją zainstaluje, skoro na dysku nie zostało więcej niż pięć procent wolnego miejsca, a podobnych „zabawek” mamy około dwudziestu. Zwykle Romek odpala grę, dochodzi do połowy, a kiedy potwory zaczynają mu spuszczać tęgie lanie (oczywiście w przenośni), zabiera się za następną. Starych nie usuwa, gdyż jak mi wyjaśnił, ma nadzieję kiedyś jeszcze w nie zagrać. Niestety, nigdy mu się to nie udaje. No, ale żarty na bok.

- Co cię do mnie sprowadza? - zapytałem.

Wowka chrząknął.

- Do gazet czasem zaglądasz czy nie?

- Czy nie, oczywiście. A czego niby mam w nich szukać? Jak mnie coś zainteresuje, włączam telewizor.

- Mówię o naszych gazetach.

- Nieważne, do żadnych nie zaglądałem.

- I wszystko jasne.

Wowka położył na stoliku kawowym złożoną gazetę.

- Poczytaj sobie.

Rozwinąłem ją ostrożnie (ogarnęło mnie dziwne przeczucie, że ten środek masowego przekazu za chwilę mnie pogryzie. Hmm, chyba za często obrywałem ostatnio po głowie), ale nic strasznego się nie wydarzyło.

Przejrzałem większość stron i niczego nie znalazłem. Tylko na krótką chwilę mój wzrok przykuło ogłoszenie umieszczone w rogu: „Znaleziono rottweilera płci męskiej ze skórzaną obrozą nabijaną ćwiekami. Nie oczekuję nagrody. Tylko go zabierzcie!”.

Kiedy wreszcie skończyłem lekturę, spojrzałem na kolegę.

- No i?

Wowa westchnął ciężko.

- Młody człowieku, czy naprawdę nigdy nie oglądałeś zdjęć w gazecie albo jeszcze lepiej, nie próbowałeś jej przeczytać? Są w niej takie małe kleksy, nazywane literami.

- Baaardzo śmieszne! O mało nie padłem ze śmiechu!

Postanowiłem mimo wszystko pójść za radą przyjaciela i przejrzeć gazetę nieco dokładniej. I znów to samo, nic nadzwyczajnego. Gazeta jak gazeta. A dokładnie „Wieczorne Miasto”.

Na pierwszej stronie żaden nagłówek nie zwrócił mojej uwagi. Wszystko jak należy: „Prezydent miasta postanowił...”, „Rada miasta rozważyła...”, „Sąd rozpatrzył...” - same bzdury. I oto nagle w rogu dostrzegłem krótką notatkę, a obok osobliwą fotografię. Zdjęcie przedstawiało dziwnie znajomego (gdzieś go już widziałem) chłopaka z otwartymi ustami (pewnie w chwili, gdy robiono zdjęcie, coś krzyczał) na tle jednej z głównych ulic miasta.

Początkowo nie potrafiłem zrozumieć, co takiego zaniepokoiło mnie w tym zdjęciu, ale potem zrozumiałem - chłopak miał nienaturalnie długie zęby, a co więcej, był to jeden z karków Drakuli, pilnujących wejścia do domu.

Zerknąłem na zamieszczony obok artykuł, zatytułowany „Wampiry pośród nas”:

W ostatnim czasie odnotowano w mieście przypadki tajemniczych zaginięć. W dużej mierze są to zniknięcia osób z marginesu społecznego: kloszardów, żebraków - ale mimo to powinniśmy się czuć zaniepokojeni.

Mogłoby się wydawać, że to nie powód do zmartwień. Znikają? A

niech znikają! Miasto tylko na tym zyska, przynajmniej będzie czystiej.

Sprawa wydaje się jednak o wiele bardziej skomplikowana, gdyż niczym w książkach pisarzy fantastów, w ciemnych zaułkach miasta zaczęto znajdować ciała osób, które bynajmniej nie zmarły wskutek wykrwawienia. Co się zatem dzieje? Czyżby pojawił się kolejny Chikatilo? Policja na razie nie wydała oświadczenia.

Naturalnie można by uznać, że informacja ta nie nadaje się na pierwsze strony gazet, ale raczej do kolumny „Kronika policyjna”. Rzecz jednak w tym, że kilka dni temu autor niniejszego artykułu na jednej z ulic miasta przeżył dość niecodzienną sytuację.

Spacerując wieczorem, a dokładniej nocą, niżej podpisany natknął się na przedziwnego młodego człowieka (patrz zdjęcie zamieszczone obok). Osobnik ten nie zachował się jak typowy bohater powieści przygodowych, żądający życia lub portfela, jak z pewnością (lecz niezupełnie zgodnie z prawdą) mógłby pomyśleć czytelnik. Nie. Zamiast tego pokazał ostre, zdecydowanie ostre kły i próbował je uderzyć (!) autorowi w szyję.

Jedyną bronią, jaką dysponował autor, był aparat fotograficzny. Ostre światło lampy błyskowej spowodowało, że młody człowiek zareagował dość nienaturalnie - zaczął się tarzać po ziemi i trzeć oczy.

Autor nie jest przekonany, czy rzeczywiście spotkał wampira, lecz ma nadzieję, że ta krótka wzmianka sprowokuje czytelników do przemyśleń.

Pod artykułem widniał podpis - Chodynцев.

- Oszaleć można - tylko tyle zdołałem z siebie wydusić. - Myślisz, że to prawda?

- Nie mam pojęcia. - Wowka pokręcił głową. - Jedno wiem na pewno - to ten sam koleś, któremu wtedy poprawiłem fizjonomię. Pamiętasz, jak seplenił?

Rzeczywiście, teraz sobie przypomniałem.

- Myślisz, że mu tak szybko zęby odrosły? - zapytałem zdumiony.

Wowka zerknął z ukosa w stronę pokoju z komputerem, skąd dochodziły odgłosy wystrzałów i podekscytowane pokrzykiwania Romka, po czym wyszeptał:

- A nam siniaki nie poznikały?

Westchnąłem.

- Co robimy?

- Może pojedziemy do tego wydawnictwa, znajdziemy dziennikarza i zapytamy, gdzie zrobił zdjęcie? Tło jest rozmyte i nic na nim nie widać.

- Ale po co?

- Żeby wiedzieć, którędy nie należy chodzić. I żeby zapytać tego wypierdka, jak mawiała moja prababcia, czy wampir chciał od niego czegoś jeszcze.

- Nie masz co robić?

- Mam. Naprawdę cię to nie interesuje?

Spojrzałem na niego i mruknąłem ironicznie:

- Myślisz, że nas, ot tak, wpuszczą do jego biura?

Wowka uniósł brew.

- Andriej, ocknij się: przecież to wydawnictwo „Wieczornego Miasta”. Wujek Wicek jest tam dziennikarzem. Rodzonego ojczyma nie mogę odwiedzić?

Westchnąłem ciężko.

- Czyli idziemy.

* * *

Zajrzałem do pokoju brata.

- Romek, wychodzę, zamknij za mną drzwi.

Brat, zaaferowany zabijaniem poczwara przy użyciu granatnika, tylko machnął ręką. Musiałem zamknąć sam.

Gdy tylko wyszedłem z klatki, przypomniałem sobie, że nie zjadłem śniadania. Trudno, zjem coś na mieście.

Na przystanku nie było prawie nikogo. Tylko jakiś małolat z zaangażowaniem wydmuchiwał dym z papierosa, a dwie dziewczyny, stojące przodem do siebie i bokiem do ulicy, głośno o czymś rozprawiły.

Spojrzałem na nie, ale nie odezwałem się słowem. Nie należy przerywać komuś tylko po to, żeby go uciszać. Poza tym rozmowa nie miała ze mną nic wspólnego. Nagle stojąca twarzą do mnie dziewczyna zniżyła głos, a potem, patrząc mi nachalnie w oczy, powiedziała już zupełnie cicho (nie usłyszałbym, gdyby nie moje wampirze zmysły):

- Och, jaki faaaajny chłopak!

Druga natychmiast zareagowała. Niemalże piruetem odwróciła się na obcasach (Wowka aż uskoczył, wpadając prosto w kałużę po wieczornym deszczu) i zapytała głośno:

- Gdzie?!

Tę pierwszą oblał rumieniec. Zaczęła niepostrzeżenie (jak jej się wydawało) poszturchiwać koleżankę łokciem. Tamta najpierw zmierzyła wzrokiem mnie, a potem Wowkę, który akurat podskakiwał na jednej nodze, próbując strzepnąć z nogawki wodę, po czym spojrzała na przyjaciółkę i powiedziała:

- Co znowu? Co mnie tak trącasz? Czy ja coś powiedziałam?

Nieszczęśniczka zaczerwieniła się jeszcze bardziej i kiedy na przystanek podjechał pierwszy autobus, zaciągnęła koleżankę do środka, nie zwracając uwagi na jej protesty:

- Przecież to nie nasz!

W autobusie, do którego wsiedliśmy, nad głową kierowcy wisiała tabliczka o zaskakującej treści: „W przypadku awarii ilość zabitych powinna się zgadzać z ilością miejsc siedzących”. Chrząknąłem pod nosem i nie zaprzątałem nią sobie więcej głowy. Wowka okazał się bardziej wnikliwy. Zachichotał, a potem powiedział na cały głos:

- Ciekawe, a jeśli liczba trupów się nie zgodzi, kierowca będzie biegał z toporkiem wokół miejsca wypadku i walił po łbie przypadkowych przechodniów?

Pasażerowie zaczęli się nerwowo odwracać i liczyć wolne miejsca.

Mnie zaciekało co innego: czy wszyscy prawnicy są tak wnikliwi, czy to tylko cecha charakterystyczna mojego kumpla?

W każdym razie kiedy Wowka wyczerpał temat zabitych i autobusów, wreszcie się zamknął. Przez jego głędzenie kierowca dostał tiku nerwowego (dostrzegłem to w lusterku wstecznym).

Na jednym z przystanków do autobusu wsiadła dziewczyna, zajęła miejsce przed nami i podała nam pieniądze.

- Przekażcie kierowcy, proszę.

- Gdzie pani wysiada? - krzyknął kierowca, nie odwracając głowy.

- Na ostatnim przystanku - odrzekła zdziwionym głosem.

Wowka, który kątem oka obserwował sytuację, mruknął cicho:

- Przyjeżdża...

Dziewczyna mimo to go usłyszała.

- Tak? A skąd wiesz?

Jej głos brzmiał dziwnie znajomo. Do licha, dlaczego ona się nie odwraca?!

- Bo u nas płacisz przy wysiadaniu - wyjaśniłem uprzejmie.

- No! - zawtórował mi Wowka. - Wsiadasz, nie płacisz, wysiadasz, dyszka na stół.

A jak nie, to kierowca do końca życia będzie cię woził po trasie i nie pozwoli wysiąść!

- Jak to? - zapytała dziewczyna przestraszonym głosem, spoglądając wreszcie do tyłu. W jednej chwili nasze oczy się spotkały.

Ania...

Nagle zaschło mi w gardle.

- Cześć - zdołałem wydukać, co należy poczytywać mi za sukces.

- O, cześć - odpowiedziała z uśmiechem.

W powietrzu zawisła niezręczna cisza. Wowka z łatwością rozładował napięcie:

- Och! - westchnął, udając, że wyciera łzę. - Cóż za wzruszający moment: spotkanie dwojga... zakochanych!

Rzuciłem mu gniewne spojrzenie, ale to go nie powstrzymało. Objął mnie po przyjacielsku i oznajmił poważnym tonem (na cały głos! Zabiję go za to!):

- Andriej, jakby co, pamiętaj, że miejsce drużby na twoim weselu już zaklepane!

Wyrwałem się z jego uścisku i wycedziłem przez zęby:

- Uważaj, żebym ja ci zaraz czegoś nie oklepał!

Ania roześmiała się, słysząc nasze przekomarzanki (a kto ich nie słyszał?!), a Wowka powiedział obrażonym tonem:

- Proszę, ja do niego z sercem na dłoni, a on?! Zero wdzięczności! Tylko mi ubliża!

- *Le bouc!* - wycedziłem.

- Od „lebuków” wyzywa! Zobaczysz, jeszcze się policzymy za tego kozła!

Cóż, pora zmienić repertuar. Słowo kozioł po francusku Wowka już zna. Nic dziwnego, nawet mu pokazywałem, jak je zapisywać. Na szczęście wie również, jak wypowiadać ostatnią literę. Gdyby powiedział inaczej, to by dopiero niecenzuralnie wyszło! O rany, co sobie Ania o mnie pomyślała?! No i całe szczęście, że nie wybrałem sobie na drugi czy trzeci fakultet chińskiego. Słyszałem, że po chińsku wszystko dla naszych uszu brzmi, delikatnie mówiąc, nieprzyzwoicie.

Tak czy inaczej doszedłem do wniosku, że Wowki nie dam rady przegadać, więc zwróciłem się do Ani:

- Co robisz w mieście? Mówiłaś, że w poniedziałek wyjeżdżasz.

Dziewczyna uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Tak, ale mamy teraz trzytygodniowe praktyki na studiach. Myślałam, że będę mogła swoją odbyć w domu, tylko że zapomniałam złożyć podanie. Będę musiała praktykować tutaj.

- A teraz jedziesz na praktykę?

- Niezupełnie... Mam kilka spraw do załatwienia, ale na samą praktykę jeszcze nie jadę.

Szczerze mówiąc, niczego nie rozumiałem. Żeby jednak nie wyjść na zupełnego osła, udałem, że wiem, o co chodzi.

- Wy już macie spokój na uczelni? - zaciekała się Ania.

- Aha - skinął Wowka, robiąc umiarkowanie mądrą minę. - Do jesieni.

- A co studiujecie?

- Ja prawo, a Andriej języki obce - odpowiedział szybko.

- Aaa...

Później rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Co prawda Wowka od czasu do czasu usiłował wtrącać te swoje banialuki o miłości, ale w porę udawało mi się zatykać mu usta.

Wreszcie dojechaliśmy do naszego przystanku. Pożegnaliśmy Anię, zapłaciliśmy za przejazd i wyszliśmy z autobusu.

Szczęściem jeszcze w środku przypomniałem sobie, że zmasałem jej numer telefonu i poprosiłem, by podała mi go raz jeszcze. Tym razem wbiłem go do pamięci komórki.

* * *

Dwupiętrowy budynek wydawnictwa dosłownie bił po oczach bielą. Wowka złapał za klamkę drzwi wejściowych, pociągnął i... w tym samym momencie rozległo się ożywione „Halo, szefie, to ja dzwonię!”. Zaklął cicho i zaczął oklepywać kieszenie w poszukiwaniu komórki. W końcu telefon ujrzał światło bożego dnia.

Z dezaprobatą spojrzałem zezem na telefon drogiego kolegi, lecz nie powiedziałem ani słowa. Słuchawka przedstawiała opłakany widok: obudowa połamana, wyświetlacz porysowany, a klawisze obdrapane. O ile mi wiadomo, ciocia Lida i Aśka nieraz prosiły Wowkę, by zmienił aparat, ale on uparł się jak baran: wciąż nie i nie. Twierdzi, że lubi ten model.

Dobre dwadzieścia sekund wpatrywał się w wyświetlacz, usiłując zobaczyć, kto dzwoni. W końcu dał za wygraną i odebrał.

- Tak? Tak, to ja. A kogo się spodziewałaś usłyszeć w moim telefonie? Wiem, że to ty, poznałem! Gdzie, gdzie! Na mieście! A co to za różnica, co ja tu robię? Przypominam, że mam dwadzieścia lat. Ojjoj, ale ona się denerwuje! Ale mieszać

mnie z błotem przed pałacem cię nie denerwowało, a jak tylko pojedę do miasta, to od razu! I co jeszcze?! A ty nie lepsza! - ryknął do słuchawki. Pomarudził pod nosem i schował telefon do kieszeni dżinsów.

- Kto dzwonił? - zapytałem.

- Aśka - westchnął Wowka. - A któż by inny...

- Znowu się pokłóciliście? Przecież wczoraj wszystko było w porządku. Co się stało?

Spojrzał na mnie spode łba.

- To, że moja siostra jest głupia.

- A dokładniej?

Odsunął się od drzwi, przepuszczając łysego mężczyznę, który wchodził do budynku wydawnictwa.

- Mama wczoraj przyniosła do domu dwie wejściówki na koncert. W pracy im rozdawali. Nie miała ochoty iść, więc oddała je mnie i Aśce. Na początku też mi nie zależało, ale Aśka mnie przekonała. Skończyło się na tym, że pojechaliśmy do Pałacu Sportu. W domu nie spojrzałem na bilety, ale kiedy zobaczyłem na miejscu afisze, o mało nie padłem trupem. Poszliśmy na występ Piechy!

- Przecież Piecha całkiem dobrze śpiewa - odparłem ze zdziwieniem. - Co prawda Pavarotti z niego żaden, ale na tle innych...

- Tylko że to nie był występ Stasa! - wrzasnął Wowka. - Na scenę wyszła jego babcia. Może i niezła z niej śpiewaczka, ale czy ty wiesz, ile ona ma lat?! Mogłaby posypywać chodniki piaskiem w zimie! Jak wyszła na scenę, to tak zawyła, że mi uszy zwiędły.

- To dlatego pokłóciłeś się z Aśką - ze zrozumieniem pokiwałem głową.

Wowka znów się odsunął, tym razem przepuszczając dziewczynę w przezroczyściej bluzce i spódnicy tak krótkiej, jakby ją uszyto z krawata.

- Nie tylko dlatego. - Powiódł wzrokiem za dziewczoją. - Wyobraź sobie, że siedzimy na koncercie, Aśce się spodobało, więc słucha i podśpiewuje. Brzmiało to tak, jakby ktoś skrobał szybę. Siedzę grzecznie w fotelu, nikogo nie zaczepiam, tylko sobie cicho mówię tak: „Wyypuuuście mnie stąd, już więcej nie będędeę!”. Wszyscy obok popadali ze śmiechu. A ona jak to usłyszała, o mało mnie nie zabiła. Do teraz jest obrażona.

Jasne. Szczególnie po takim monologu.

Spojrzałem na Wowkę. Miał minę zbitego psa, ale oczy jakoś dziwnie mu iskrzyły.

- Hmm... - mruknąłem. - Ciężki przypadek. Obawiam się, że to nieuleczalne.
- Przecież to właśnie mówię. Idziemy?

* * *

Szczerze mówiąc, byłem przekonany, że nas nie wpuszczą. Tak jest zawsze - jeśli zależy ci, żeby się gdzieś dostać, a wejścia ktoś pilnuje, od progu padają pytania: „A wy dokąd? Po co? Dlaczego?”. Można by pomyśleć, że strażnik powtarza je tylko po to, żeby ich nie zapomnieć.

O dziwo, tym razem nic takiego nie miało miejsca. Wowka pewnym krokiem podszedł do stróża, łysiejącego sześćdziesięciolatka siedzącego w szklanej budce, która wyglądem pasowała do stylu prezentowanego przez budynek.

- Witaj, wuju Piotrze!

- Wowa, co za spotkanie! - zapał radośnie dziadek, wkładając na głowę białą czapkę mundurową. - Przyszedłeś w końcu, a ja już myślałem, że o mnie zapomniałeś. Co cię do nas sprowadza? Masz praktykę? Idziesz do działu prawnego?

- Nie, ja do wujka Wicka. - Wowka skrzywił się, wypowiadając ostatnie słowo, ale stróż niczego nie zauważył.

- Też dobrze. No to idź, co tak stoisz. A kto z tobą przyszedł?

- Kolega - odparł z uśmiechem Wowka.

- No to idźcie - westchnął dziadek, delikatnie gładząc wąsy.

* * *

Byliśmy już prawie na drugim piętrze, gdy nagle coś mi się przypomniało.

- Wowa, wiesz, gdzie szukać tego dziennikarza? Tego, jak mu tam, Chodyncewa?

Wowka przystanął.

- Nie mam pojęcia.

- To co robimy? Zapytamy twojego ojczyma?

Wzdrygnął się na dźwięk tych słów.

- Za żadne skarby! Lepiej się dowiem na dole!

Zbiegi po schodach i zniknął za rogiem. Przystanąłem na półpiętrze, oparłem plecami o ścianę i cierpliwie czekałem.

Nie trwało to długo. Wowka wracał z rękoma w kieszeniach, gwizdząc pod nosem jakąś melodię.

- Wujek Piotrek twierdzi, że ten dziennikarz urzęduje w pokoju dwadzieścia cztery na drugim piętrze - wyjaśnił.

- To co tak stoimy? Chodźmy.

* * *

Zaczęliśmy podejrzewać, że nazwisko pana Chodyncewa nie było kwestią przypadku - jego właściciel najwyraźniej uczynił z chodzenia rodzaj cnoty. W pokoju dwadzieścia cztery go nie zastaliśmy. Sympatyczna dziewczyna, która zaciekle stuknęła w klawiaturę komputera (pewnie gra w sapera, cicho powiedział Wowka, na co ja stwierdziłem, że raczej w pinballa), poinformowała nas, że Dymitr Wasiliewicz wyszedł do trzydziestki dwójki. Na miejscu powiedzieli nam, że co prawda Chodyncew tu był, ale pięć minut temu pobiegł do siedemnastki. Z kolei w siedemnastce odesłali nas do pokoju dwadzieścia siedem.

Pomimo najszczerzych chęci, pana Chodyncewa znaleźć się nie udało.

Przystanęliśmy naprzeciw uchylonych drzwi jednego z gabinetów.

- I co teraz? - zapytałem.

Wowka z namysłem podrapał się po głowie i nagle pojaśniały mu oczy.

- Mam pomysł!

- Geniusz - mruknąłem sceptycznie. - Zapal papierosa, pan Fiks ma plan!

- Żebyś wiedział! - parsknął, mierzając mnie wzrokiem. - Biegamy od pokoju do pokoju i nic z tego nie wychodzi. Tu trzeba sposobu. Zrobimy tak - zakleimy taśmą drzwi wyjściowe, a na ostatnim piętrze powiesimy czerwone flagi - wiesz, kiedyś się tak polowało na wilki, w książkach historycznych o tym pisali - żeby Chodyncew nie rozwinął skrzydeł i nie odleciał, bo on do tego zdolny. A potem we dwóch, ja schodami z lewej, a ty z prawej, zagonimy tego pismaka do dyżurki na parterze! I co ty na to?

Ja na to, że nic głupszego nie mógł już wymyślić. Wowka fuknął obrażony:

- I taki właśnie z ciebie człowiek! Za grosz wyobraźni! Jak ty sobie w ogóle na tej lingwistyce radzisz, pojąć nie mogę.

- Oj - skrzywiłem się. - Jeszcze by kto pomyślał, że ty tę wyobraźnię masz.

- Mowa! Przecież biedny prawnik musi na ten swój kawałek chleba z masłem jakoś zarobić.

- Aha, zapomniałeś dodać: i z czarnym kawiozem!

Wowka otworzył usta, żeby palnąć kolejną głupotę (skąd pewność, że głupotę? Ano stąd, że jemu nigdy nic mądrego do łba nie przychodzi), kiedy nagle jakiś mężczyzna krzyknął z pokoju, pod którym staliśmy:

- Wowa?! To ty?

Wowka aż zadrżał, a potem powoli odwrócił się w stronę drzwi:

- No, ja.

Głos (w przeciwieństwie do Wowki nie rozpoznałem, do kogo należał) mruknął ze zdumieniem:

- To dlaczego tak stoisz? Wejdz, Władimirze...

- ...Iljiczu - dodałem cicho.

Wowka rzucił mi złowrogie spojrzenie, a potem wycedził:

- A z tobą, panie Lwie Dawidowiczu, porozmawiam później. - I wszedł do pokoju.

Początkowo zza drzwi dochodziły dźwięki rozmowy, ale z czasem cichły coraz bardziej i nie udało mi się zidentyfikować ani drugiego rozmówcy, ani tematu dyskusji. Zresztą nie zwracałem na nią specjalnej uwagi, tym bardziej, że w pokoju obok ktoś wypowiedział słowo wampir. Patrząc w sufit (oj, a cóż to za pęknięcie?) i udając, że, ot tak, przechadzam się po korytarzu, ruszyłem w tamtą stronę.

- ...o wampirach - mruknął matowy męski głos.

Szkoda że nie usłyszałem całego zdania.

- To nie są żadne bzdury - zaprotestował ktoś gorączkowo. - To się zdarzyło naprawdę!

- Właśnie że bzdury! Jak w ogóle można taką informację w gazecie wydrukować?!

- Jak ci się nie podoba, nie czytaj! - w głosie mężczyzny zabrzmiała nuta gorzkości.

- A skąd miałem wiedzieć, że takie głupoty powypisujesz? Wampiry! W naszym mieście! W dodatku wszystkie wprost nie mogą się oprzeć chęci pożarcia pana Chodyncewa!

- A żebyś wiedział! I zobaczysz, jeszcze to udowodnię! Zaangażowałem w tę sprawę wszystkich praktykantów. W końcu znajdą tego chłopaka, a wtedy na pierwszej stronie ukaże się mój wywiad z wampirem!

- Znalazł się zakichany Christian Slater - fuknął rozmówca.

Nagle usłyszałem szurnięcie krzesła, a potem kroki. Ledwie zdążyłem uskoczyć przed otwierającymi się z impetem drzwiami. Po chwili długi (choć raczej niewysoki), chuderlawy mężczyzna wyleciał z pokoju jak strzała i pobiegł w kierunku schodów, pomrukując coś pod nosem i wymachując rękoma niczym wiatrak.

Szybko dodałem dwa do dwóch - nie usłyszałem „won z mojego gabinetu, szcurze!”, a pokój nie miał numeru dwadzieścia cztery - i wyszło mi cztery (mam nadzieję). Natychmiast rzuciłem się w pogoń za nieznanym. Zaraz, zaraz... O co Wowka chciał go zapytać? Gdzie spotkał kmiotków Drakuli i czego od niego chcieli?

- Przepraszam, pan Chodyncew?

Mężczyzna zatrzymał się w pół kroku i odwrócił głowę. Pan Chodyncew, na oko lat trzydzieści pięć, miał pociągłą końską twarz, wąską szczękę i pozbawione wyrazu rybie oczy. Koszmar z ulicy Wiązów.

Gdy tylko nasze spojrzenia się spotkały, szybko zrobiłem tę głupią minę fana zachwyconego na widok idola. Musiałem udawać całkiem nieźle, gdyż Chodyncew obdarował mnie całkowicie lekceważącym spojrzeniem.

- Tak, to ja. Słucham?

- Napisał pan świetny artykuł. Chciałem zapytać, czy mógłbym...

- Wybacz, młody człowieku - przerwał mi obcesowo dziennikarz. - Nie udzielam wywiadów.

- Ale mnie nie chodzi o wywiad.

- Autografów też nie rozdaję! - ryknął, po czym wystrzelił w kierunku schodów.

Przez chwilę stałem jak wryty, trzepocząc rzęsami i próbując się otrząsnąć się po tym, jak chamsko zostałem potraktowany. Kiedy nieco ochłonąłem, postanowiłem, że pobiegnę za facetem i jeśli nie obję mu gęby (mimo wszystko to chuligaństwo), to przynajmniej powiem mu, co o nim myślę. Gdy już miałem to zrobić, poczułem, jak ktoś chwyta mnie za ramię.

- Andriej, a ty dokąd?

Odprowadziłem dziennikarza tęsknym spojrzeniem (tak dobrze żarło i zdechło!).

- Nieważne. Z kim rozmawiałeś?

- Chyba nietrudno się domyślić. Z ojczymem. Chrząknąłem ze zrozumieniem, oddalając się spod gabinetu wuja Wicka.

- I jak tam spotkanie z agentami straży cara, Władimirze Iljiczu?

- Kiepsko, Lwie Dawidowiczu, kiepsko!

- Nie lepiej byłoby - Trocki? Nawet pochodzenie miał żydowskie...

Wowka zachichotał radośnie.

- I tobie to przeszkadza? Kiedy moi przodkowie skakali po drzewach, twoi przynajmniej modlili się w świątyniach.

- Zawsze twierdziłem, że masz coś wspólnego z pchłami - westchnąłem smutno. Spór niepostrzeżenie zamienił się w nic nieznaczącą paplaninę albo coś jeszcze gorszego.

- Jeśli chcesz wiedzieć, pchły nie skaczą po drzewach, biologu od siedmiu boleści.

- Ale skaczą po małpach, a te z kolei...

- Hmm... - zamyślił się Wowka. - Tak kota ogonem odwrócić... Teraz już wiem na pewno, że jesteś Żydem!

- I kto to mówi? - zarechotałem.

Szanowny kolega Dan przyjął pełną godności pozę.

- Ja przynajmniej jestem Rosjaninem z krwi i kości.

Dopiero teraz roześmiałem się na całe gardło.

- Z twoim nazwiskiem? Taki z ciebie Rosjanin, jak ze mnie Żyd.

- A czy ja twierdziłem coś innego?

Postanowiłem zmienić temat.

- I co takiego ciekawego powiedział ci ojczym?

Wowa skrzywił się.

- A co on może mieć do powiedzenia? „Władimirze, po co tutaj przyszedłeś? Władimirze to, Władimirze tamto”, a na koniec „Władimirze, czy ty chcesz mi wstydu narobić? Jak ty wyglądasz?! Blabląbla!”. Jak niby wyglądam, normalnie chyba? Andriej, powiedz, źle wyglądam?

Chrząknąłem, spozierając na Wowkę sceptycznie. Jasne, normalnie.

Ubrał się „w sam raz” jak na wizytę w wydawnictwie - miał na sobie porwane dżinsy, jasnoczerwoną koszulkę piłkarską z sierpem i młotem, nad którymi widniał napis: „koś i wbijaj”, a do tego dwie plecione bransoletki, jedną na prawym nadgarstku, drugą na lewym przedramieniu. Całości dopełniał posrebrzany pierścień z listkiem konopi.

Ciekawe, w jaki sposób przekonał Romka, że się wybiera do zakonu. Może braciszek pomyślał, że „ojciec uduchowiony” ma zamiar po raz ostatni zaszaleć przed złożeniem ślubów trzeźwości?

Wowka wiedział, co oznaczał mój uśmiech. Milczał przez chwilę, a potem ciężko westchnął.

- No dobra, to idziemy szukać tego Chodyncewa? zapytał ściszym głosem.

- Właściwie go znalazłem...

- Poważnie?! I co?

- Co „i co”? Wyskoczył z tamtego pokoju. Zagadnąłem go o artykuł, a on mnie posłał... daleko i na długo.

- To czego nic nie mówisz? - oburzył się Wowka. - Chodźmy go dogonić!

- Czy ty ogłuchłeś? On nie chce z nami rozmawiać!

Wowka nie zwrócił uwagi na moje wyjaśnienia.

Zanim jednak dotarliśmy do schodów, po dziennikarzu zaginął wszelki ślad. Może spotkanie z wampirem spowodowało, że prędkość, z jaką się przemieszcza, uległa potrojeniu? Cokolwiek by mówić, wszystko jest możliwe.

Wowka rozejrzał się dookoła.

- Niezbyt uprzejmy typek, a do tego jeszcze szybki. Słuchaj, a może to wszystko niepotrzebne? No bo o czym ten zębaty mógl z nim rozmawiać? Przecież tylko ja i ty jesteśmy tacy uprzejmi, żeby się ze śniadankiem witać, a kafary Drakuli pewnie od razu chwytają za widelce.

Przez chwilę zachodziłem w głowę, po jaką cholere tu przyszliśmy, skoro niczego nie udało nam się załatwić. Później próbowałem wypytać mojego wspaniałego kolegę, dokąd mamy iść i w jakim celu. Zapominając o tak troskliwie wpajanych mi przez rodziców zasadach dobrego wychowania, otworzyłem usta i już miałem potraktować Wowkę miłym słowem, kiedy w jego smutnych oczach ujrzałem wszystkie nieszczęścia żydowskiego naro... pardon, pasierba po rozmowie z ojczymem. Zdołałem jedynie wytknąć mu delikatnie:

- Przecież próbowałem ci to powiedzieć, kiedy byliśmy u mnie.

Wowka spojrział na mnie niewinnymi oczkami.

- Naprawdę?

Dlaczego nikt nigdy mnie nie słucha?!

CZEŚĆ TRZECIA

WILKOŁAKI PO KĄTACH SIĘ NIE CHOWAJĄ

Kiedy wychodziłem z wydawnictwa, zderzyłem się w drzwiach z jakimś gościem w dżinsowych spodniach i kurtce.

- Przepraszam.

- Trochę ostrożniej! - ryknął mężczyzna.

- Postaram się - mruknąłem, a potem zagadnąłem Wowkę: - Dokąd chcesz teraz iść? Do domu?

- No - przytaknął. - Postaram się uspokoić Aśkę.

- Uspokoić? To po co ją drażniłeś?

- Że co?! - Wowkę aż zatkało. - Ja ją drażniłem?! Ona zaczęła! Ja jestem aniołkiem!

Jasne, a ja królem Danii.

Widząc, że nie mam zamiaru ciągnąć tematu, Wowka po chwili dodał:

- Chociaż nie, najpierw pójde do księgarni i kupię coś z fantastyki.

- Wowka, a ty co, mało ci jeszcze fantastyki?!

- Daj spokój. Bajka to bajka, a w życiu to jakby naprawdę.

Podrapałem się po głowie.

- No dobra, namówiłeś mnie. Pójde z tobą, może też coś kupię.

Wowka zachichotał i zaczął mnie przedrzeźniać:

- Andriej, a ty co, mało ci jeszcze fantastyki?!

- Mało - westchnąłem. - W dodatku jutro czeka mnie popijawa u Saszy Zwiecina.

- U jakiego Zwiecina?

- U takiego jednego z roku, nie znasz.

Maszerowaliśmy chodnikiem, kiedy nagle coś mnie tknęło i spojrzałem za siebie. Mężczyzna, którego potrafiłem, wciąż stał przy drzwiach budynku wydawnictwa. Miał poważną minę i nie potrafił oderwać ode mnie wzroku.

* * *

Według Wowki księgarnia znajdowała się nieopodal („trzeba tylko przejść kawałek podwórzem, potem w lewo, w prawo, znów w lewo, później jeszcze raz przez podwórko i będziemy na miejscu”). W rzeczywistości nieopodal oznaczało półgodzinne błądzenie po zaułkach. Kilka razy odniosłem wrażenie, jakby ktoś nas śledził. Oglądałem się do tyłu, ale wokół było cicho i spokojnie. W każdym razie

żadnych szpiegów na horyzoncie nie dostrzegłem, więc winę za nerwowe zachowanie złożyłem na karb wydarzeń ostatnich dni.

Kiedy wreszcie Wowka oznajmił wesoło: „Skręcimy za tamtym rogiem i będziemy na miejscu”, odetchnąłem z ulgą. A przecież mówią - nie chwal dnia przed zachodem słońca...

* * *

Za załomem muru czaił się ogromny szarobury pies. Stał na szeroko rozstawionych łapach i szczyrzył zęby. Jego złote oczy lśniły wściekłością.

Zamarliśmy.

Gdy tylko kundel to dostrzegł, zbliżył się o krok i jeszcze wyżej uniósł wargi. Na asfalt pociekła strużka śliny.

Rozejrzałem się, ale jak na złość na ulicy nikogo nie było. Tymczasem pies podszedł jeszcze bliżej, nie przestając szczyrzyć kłów.

Wyczytałem gdzieś, że kiedy człowiekowi grozi atak ze strony zwierzęcia, nie wolno się śmiać i należy mówić cichym, łagodnym głosem. Doszedłem do wniosku, że warto spróbować:

- Dooobry piesek - powiedziałem powoli - dooobry. Piesek chce kosteczkę?

- No jasne - mruknął stojący obok nieruchomo Wowka. - Piszczelową. Twoją.

- Mógłbyś coś wymyślić, zamiast mleć ozorem? - odbiłem piłeczkę.

- Mógłbym - przytaknął, nie odrywając oczu od psa. - Na trzy. Raz, dwa... W nogi!

Całą trójką jednocześnie ruszyliśmy z miejsca. Pies rzucił się na nas, a ja i kolega Dan pobiegliśmy w dwie różne strony. Kundel przebiegł pomiędzy nami, zatrzymał się, machnął głową i zdębiał, spoglądając to na Wowkę, to znów na mnie, jakby nie mógł się zdecydować, który z nas jest smaczniejszy.

W końcu podjął decyzję.

Skoczył i powalił mnie na chodnik. Potem, zupełnie nie jak pies, próbował ugryźć mnie w szyję (przecież zazwyczaj psy gryzą gdzie popadnie, oczywiście pomijając te szkolone!).

W jednej chwili bezwiednie wyciągnąłem ręce, złapałem wściekłego reksia za kark i jakimś cudem zdołałem go od siebie odciągnąć.

Przycisnął mnie mocniej do ziemi, zdzierając mi skórę pazurami. Z każdą chwilą najeżona zębiskami paszcza przybliżała się coraz bardziej i bardziej, aż poczułem na twarzy oddech tego potwora.

Potem pies zapiszczał i zwałił się na mnie całym ciężarem. Zamarłem, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście. Bydlę już się nie ruszało, więc ostrożnie zepchnąłem je na chodnik.

Stał nade mną wystraszony Wowka.

- Andriej, nic ci nie jest?

- Nic - powiedziałem ochryplym głosem, chwytając go za rękę i z trudem wstając.

- Czym go tak...?

- Gałęzią po głowie - mruknął Wowka z miną winnego. - Wybacz, że nie zareagowałem od razu, ale zanim się zorientowałem, zanim dobiegłem...

- Wszystko w porządku - przerwałem mu. - Najważniejsze, że mi pomogłeś.

- Nie pogryzł cię?

Wyciągnąłem ręce i obejrzałem je dokładnie. Drżały mi palce, w kilku miejscach zdarta skóra prześwitywała przez dziury w brudnej koszuli, ale krwi na szczęście nie było.

- Jak to dobrze - westchnął Wowka z ulgą. - Nie będziesz musiał brać zastrzyków przeciw wściekli...

Nagle umilkł ze wzrokiem utkwionym w ziemię tuż obok mnie. Spojrzałem w to samo miejsce i znieruchomiałem, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Pies zaczął się przeistaczać. Sierść powoli chowała się w mieszkach, ogon jakby się rozplynał w powietrzu, kości zmieniały kształt, a ciało przyjmowało ludzką postać. Spod skóry wyłoniło się ubranie.

Po kilku minutach obok nas, cicho postępując, leżał mężczyzna z twarzą obróconą ku ziemi. Miał na sobie dżinsowy garnitur. Wowka spojrzał na mnie znacząco.

- Na pewno cię nie ugryzł?!

- Na pewno - odpowiedziałem. Zrobiło mi się słabo.

- A ja miałem cichą nadzieję, że na kolejne urodziny będę mógł ci podarować kaganiec i kolczatkę. - Gdy tylko Wowka dostrzegł złość w moich oczach, natychmiast się zmiętył: - To co, spadamy stąd?

- Zwariowałaś?! Lepiej spróbujmy się dowiedzieć, po jakiego czorta nas napadł!

- Nie, Andriej, to ty zwariowałeś! A jak nagle ozdrowieje i znowu zamieni się w psa - chociaż nie, to na pewno był wilk - i zacznie nas gonić po całym mieście? Uciekamy!

Mówił całkiem do rzeczy, tylko że...

- A jeśli uderzyłeś go zbyt mocno i zdechnie?

- Och, wybacz! - wzburzył się Wowa. - Powinienem był stać i patrzeć, jak przegryza ci gardło!

- Nie to miałem na myśli... - odburknąłem, spuszczać wzrok.

- To może powinienem pójść i usprawiedliwić się przed ochroniarzami Drakuli?!

- Pamiętasz dziewczynę, którą ukąsił ten... „bewwębny”? Zostawiliśmy ją wtedy.

- Wyrzuty sumienia cię dręczą, czy uważasz, że to karma? - fuknął Wowa, ale sięgnął po telefon. - Halo, pogotowie? Chciałem zgłosić zaśląbnięcie mężczyzny, to chyba udar słoneczny. Proszę przyjechać. - Podał adres, wyłączył telefon i rzucił mi ponure spojrzenie. - Zadowolony? A teraz chodźmy, zanim policja się dowie, że to my go tak urządziliśmy.

Ostrożnie ułożyłem mężczyznę na plecach.

To był ten sam typek, z którym zderzyłem się przy wejściu do budynku wydawnictwa. Uznajmy to za przypadek, dobrze? Nie warto o tym mówić Wowce, bo zaraz zacznie głądzić, że obraziłem klan wilkołaków, że teraz tylko nasza krew może zmyć zniewagę i tak dalej...

* * *

Kiedy już opuściliśmy to przekłete podwórze, odważyłem się zadać pytanie:

- Dokąd idziemy?

Wowka spojrział na mnie ze zdziwieniem.

- Jak to dokąd? Przecież mieliśmy iść do księgarni.

Popatrzyłem krytycznym wzrokiem na swoją koszulę.

- To chyba niezbyt dobry pomysł.

- Dlaczego?

Boże, za jakie grzechy?!

- Wowka, jakiego koloru jest moja koszula? Wielmożny Dan z wolna obszedł mnie dookoła, a potem zapytał niepewnie:

- Szarego?

Jeszcze się ze mnie naigrywa!

- A rano była biała i w jednym kawałku.

Wowa westchnął.

- Niech ci będzie. Jedźmy do mnie, poprosimy Aśkę, żeby zaszyła te dziury.

- Nabijasz się, tak? - zapytałem ponurym głosem.

- Ani mi to w głowie! Nie chcę tylko, żebyś mi tu zaczął opowiadać, jaki to jesteś biedny, nieszczęśliwy i jak rodzice będą ci wiercić za tę koszulę dziurę w brzuchu.

- A czy ja kiedykolwiek coś takiego powiedziałem?!

Wowka wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam, ale ja bym na pewno tak powiedział.

* * *

Mniej więcej godzinę później dotarliśmy na miejsce. Kolega Władimir przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi i zamiast wejść do środka, zatrzymał się w progu. Po dwóch minutach znudziło mi się oglądanie pleców Wowki, więc przesunąłem go lekko i zajrzałem do mieszkania.

To co zobaczyłem, niemalże zważyło mnie z nóg.

Ciocia Lida jest pedantką jakich mało. Uważa, że wszystko powinno leżeć na swoim miejscu, a jeśli na szafie osiadnie choćby najdrobniejszy pyłek kurzu, natychmiast uśmierca go za pomocą szmatki. Najchętniej wszystko poprzybijałaby do ścian i podłogi gwoździami, żeby zawsze leżało na właściwym miejscu. Dość powiedzieć, że Asia wdała się w matkę. Zawsze mnie zastanawiało, jak Wowka przeżył tyle lat w tak sterylnych warunkach. Ja bym się powiesił już na drugi dzień.

Chociaż pewnie przesadzam. Mój kolega ze wszystkich sił walczy z tym przebrzydłym porządkiem i jego pokój wyglądał całkiem normalnie - spodnie pod wersalką, skarpetki za kaloryferem, koszula na biurku między zeszytami... Ogólnie rzecz biorąc, wszystko tip-top.

Od rana w domu nie było nikogo poza Aśką, a to oznaczało, że mieszkanie powinno lśnić czystością i pachnieć świeżością. Jednakże teraz pośrodku korytarza wałały się wściekle zielone pantofle na wysokiej szpilce. Ten „skandaliczny bałagan” mógł się równać jedynie z wybuchem bomby atomowej.

- Po zielonej słonecznej polanie, skaczą ropuszki zielono-rumiane, aż potopily się wszystkie w cholere, dobrze, że mamy już z głowy ulewę - zanucił zamyślony Wowka. Potem rozejrzał się dookoła i krzyknął: - Aśka, jesteś tam?!

Odpowiedziała mu cisza.

- Bardzo zabawne - mruknął.

Nie zdejmując butów, pobiegł do pokoju. Po chwili usłyszałem jego głos:

- Co się stało? Czego nic nie mówisz?

Asia odburknęła coś cicho i nerwowo, ale słów nie dosłyszałem.

- Obraziłaś się? Przepraszam, nie miałem racji... Naprawdę! Mocno obtarłaś?

Dziewczyna odpowiedziała spokojniej i głośniejszym głosem:

- Niewłaściwe słowo.

Kiedy doszedłem do wniosku, że tym razem nie zamierza zabić brata (świadkowie są niewygodni), zdjąłem buty, zamknąłem za sobą drzwi i poszedłem za głosami.

Asia i Wowka siedzieli w salonie. Dziewczyna rozpuściła w wodzie nadmanganian potasu i moczyła nogi w wysokiej misce.

- Cześć.

- Cześć, Andriej. - Spojrzała na mnie i najpierw się uśmiechnęła, a potem zachichotała: - O matko, jak ty wyglądasz?!

Westchnąłem.

- Wiem. A tobie co się stało?

- Poszłam do centrum, chciałam się trochę rozerwać, pospacerować. Wróciłam pięć minut przed wami. Całkiem sobie nogi poobdzierałam tymi nowymi pantoflami. Dość powiedzieć, że włoskie!

- Współczuję.

- Dziękuję. - Aśka wykrzywiła usta. - Przynajmniej teraz wiem, że powiedzonko „hiszpańskie buty” dawno się zdezaktualizowało. Powinno się mówić „włoskie pantofle”.

Uśmiechnąłem się smutno. Asia wyjęła nogi z miski, wytarła je i zapytała:

- Andriej, a tak w ogóle co ci się stało?

Zerknąłem na upačkaną błotem i porwaną koszulę.

- Szedłem ulicą, potknąłem się i upadłem.

- Jasne - prychnęła z niedowierzaniem. - Jeszcze powiedz, że nogę złamałeś!

Chwyła miskę i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła już bez miski i nieznośnym sprzeciwu tonem przykazała:

- Zdejmuj koszulę.

- Ale... - замуrowało mnie. - Ale po co?!

Wszystko rozumiem, przecież po to tu przyjechałem, ale żeby się od razu rozbierać?! Chyba może zaszyć koszulę na mnie? Nawet nitkę włożę między zęby, żeby, jak to się mówi, pamięci nie zaszyć. Aha, jasne, jakby było co zaszywać. Wowka zachichotał szyderczo, a Asia uniosła brwi.

- Andriej, przestań się wygłupiać! Dawaj tę koszulę! Wypiorę i zaszyję!

Jeszcze chwilę próbowałem protestować.

- Jakoś mi niezręcznie, nie chciałbym robić kłopotu...

- E tam. - Aśka machnęła ręką. - Przecież przez całe miasto się tutaj tłukłeś! No dalej, ściągaj. Wrzucę do pralki i po sprawie.

Spojrzała na mnie z tak surową miną, że natychmiast zabrałem się za rozpinanie guzików. Kiedy wreszcie zdjąłem tę brudną szmatę, którą jeszcze rano nazywałem koszulą, Aśka kątem oka zerknęła na zadrapania na klatce piersiowej, po czym zabrała koszulę i wyszła. Po chwili wróciła z wodą kolońską i płatkami kosmetycznym.

- Rozumiem, że dezynfekcja też niepotrzebna?

Westchnąłem ciężko. Chyba już wiem, dlaczego Wowka jest taki złośliwy.

* * *

Po dziesięciu minutach na kilometr pachniało ode mnie perfumami (na szczęście męskimi, i to całkiem dobrej jakości). Obmywając zadrapania po raz kolejny, Asia spytała:

- Andriej, zjesz z nami obiad, prawda?

Od dziecka mnie uczono, że jeżeli przypadkiem wyląduję u kogoś w porze obiadowej, wypada przyjąć zaproszenie co najwyżej na herbatę. Otworzyłem więc usta, by odmówić, ale Wowka mnie uprzedził:

- On nawet nie jadł śniadania, a ty już o obiedzie!

- O rany boskie! - krzyknęła dziewczyna. - Zaraz wracam!

Spojrzałem na kolegę spod byka.

- Ktoś cię o coś prosił? Nie mogłeś siedzieć cicho?

Wowka nie zdążył nic powiedzieć. Aśka biegała między kuchnią i salonem, rozstawiając na stole talerze. Próbowałem się sprzeciwić:

- Ale ja nie chcę! Nie jestem głodny! Naprawdę!

Prędzej bym się ze ścianą dogadał...

Kiedy siostrzyczka szanownego kolegi skończyła nakrywać, oznajmiła:

- Tylko spróbujcie nie zjeść! Andriej, znasz mnie, prawda?

Aha, znam, a kto by nie znał! Aśka zawsze miała ciężką rękę. Pamiętam, jak w wieku siedmiu lat powiedziałem jej - sam nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy - że dziewczynki są głupie. Ależ mnie potem wszystko bolało.

Tylko nie myślcie o mnie źle! Wtedy jeszcze żyłem w słodkiej niewiedzy co do tego, że dziewczynek bić nie wolno, więc broniłem się, jak mogłem. Podsumowując: Asia wyszła ze starcia bez zadrapania, a my z Wowką, który stanął w mojej obronie, mieliśmy razem pięć czy sześć siniaków, jeden rozbity nos i jeden obluzowany ząb.

Ech, to były czasy...

* * *

Kiedy już co nieco przekąsiliśmy (i tak nie zjadłem zbyt dużo), Asia zabrała się za zszywanie wypranej koszuli (dobrze, że nie miałem porwanych i brudnych spodni), a Wowka najpierw rozejrzał się dookoła, a później zaczął czegoś szukać za wersalką.

- Azor! Azor! Asia, gdzie jest Azor?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Pewnie gdzieś biega - odpowiedziała, nawlekając nitkę.

Spojrzałem na nich pytająco.

- Macie psa?

Wowka roześmiał się.

- Aha, psa. Azor! Kici, kici, kici!

Azor? Kici, kici?!

Zza wersalki, płacząc się o własne łapki, wylazł czarno-biały łaciaty kotek, zapewne ten sam, który wczoraj spał w moim bucie. Cicho pomiaukując, zgiął ogon w haczyk i podreptał do Wowki. Ten wziął go na ręce i ostrożnie pogładził po puszystym karku.

- Dobry Azorek, dooobry.

Zatkało mnie.

- To jest Azor?!

- No! - z dumą potwierdził Wowka. - Oryginalnie go nazwałem, prawda?

Aśka, która właśnie przegryzała nitkę, parsknęła śmiechem.

- Przecież to jest psie imię! - zaprotestowałem.

- I co z tego? - mruknął Wowka. - Skoro twoje ciao-ciao nazywają się Kiciuś i Mruczuś, to dlaczego ja nie mogę nazywać swojego dachowca Azorem?

- Plagiator - parsknąłem.

Tymczasem Asia wstała i strzepnęła koszulę.

- Gotowe. Trzeba jeszcze tylko wyprasować.

- Nie trzeba, taką założę!

- Jak sobie chcesz. - Wzruszyła ramionami. - Jeszcze wilgotna, pralka całkiem nie wysuszyła.

- Nic nie szkodzi - odparłem, ubierając się. - Nawet nie wiesz, jaki ci jestem wdzięczny. Gdyby nie ty, rodzice by mnie chyba ukatrupili. Wielkie dzięki!

- I bardzo dobrze by zrobili! - bojowo oznajmił Wowka, drapiąc zwierzaka za uchem.

Kotek, który najprawdopodobniej nigdy wcześniej nie zaznał takiej porcji pieszczot, wyglądał na wcielenie szczęścia. Leżał na plecach i mruczał jak traktor.

- Zabiję - mruknąłem odrobinę zniechęcony.

- I będziesz siedział - zadziornie oznajmił drogi kolega.

- To będzie zabójstwo w afekcie.

- Nieprawda! - zaprzeczył Wowka ponurym głosem, nie przestając pieścić kota. - Działales z zamiarem popełnienia zbrodni, nawet mi groziłeś. Zarobisz sześć lat jak nic.

- Ależ ja mam dość tego prawnika... - westchnęła znudzona Asia. Wstała i zabrała bratu Azora.

- A ty co?! - Wowka spojrzał na nią zdumiony.

- Nic. A co, nie wolno mi go pogłaskać?

* * *

Nie cierpię wracać od Wowki. Prędzej człowiek zdechnie, niż się doczeka jakiegoś transportu. Stojąc na przystanku, czułem, jakby czas przeciągał się w nieskończoność i kiedy byłem już gotów splunąć na wszystko i pójść do domu pieszo przez całe miasto (do wieczora pewnie bym doszedł), wtedy, o dziwo, na horyzoncie pojawił się autobus.

Po drodze patrzyłem przez okno na billboardy reklamowe. Próbowałem przeczytać umieszczone na nich napisy, ale niezbyt mi to wychodziło. Zresztą,

szczerze mówiąc, nawet się nie wysilałem. Zwłaszcza że bus jechał z zawrotną prędkością.

Nie bez kozery mawiają, że Schumacher miał trzech synów - dwaj byli rajdowcami, a trzeci pracownikiem komunikacji miejskiej.

Kiedy przeczytałem napis na kolejnym plakacie: „Sklep «Transylwania». Meble z Rumunii”, złapałem się na tym, że zaczynam bezwiednie wymyślać hasła reklamowe: „Wielka promocja! W co drugiej szafie dodatkowa atrakcja - wampir za free!”.

Tak właśnie wygląda zgubny wpływ Wowki na moją osobę. A do tego jeszcze ci dwaj Drakulowie...

* * *

W domu wszystko było jak zwykle - jęczał kolejny ubijany komputerowy potwór, szmata do podłogi zatykała odpływ w umywalce, aż strużka wody wyciekała na korytarz, a Romek, wesoły niczym szczygieł, biegał od komputera do łazienki, dobijając potwora i wycierając podłogę. Na pomysł zakręcenia kranu, niestety, nie wpadł.

Najprawdopodobniej wściekłymi okrzykami w rodzaju „Co ty wyrabiasz?!” niczego bym nie wskórał, więc zdjąłem ostrożnie buty i przeskakując zalewający przedpokój ocean (na szczęście parkiet dawno nie był wymieniany, będzie kolejny powód, żeby zrobić remont), poszedłem do siebie.

Kiedy już Romek uporał się z kataklizmem, który sam urządził, postanowił zobaczyć, kto tak trzaska drzwiami od szafy.

Drzwiami trzaskałem oczywiście ja (któż inny mógłby to robić w moim pokoju?!). Od razu po powrocie zdjąłem kompromitującą mnie koszulę, upchnąłem ją na sam koniec jednej z półek i teraz zaglądałem w czeluść szafy, próbując znaleźć coś do ubrania (czasem odnoszę wrażenie, że w mojej szafie istnieje wielka czarna dziura, zdolna pochłonąć wszystkie czyste ubrania i pożreć złożone parami skarpetki).

Romuś zatrzepotał niewinnie rzęsami i zapytał słodkim głosem:

- Andriej, kiedy przyszedłeś? Nie zauważyłem cię.

Kusiło mnie, by powiedzieć bratu, że jestem w domu od ponad godziny, ale nie chciałem narazić na szwank jego zdrowia psychicznego i przyznałem uczciwie:

- Przed chwilą.

- Aaa... - Postanowił udawać głupiego. - Znaczy niczego nie zauważyłeś!

Uśmiechnąłem się.

- Mówisz o potopie w przedpokoju? - Romuś nadął policzki. - Nie, nie zauważyłem. Ale jeżeli chcesz, żeby rodzice też nie zauważyli, trzeba coś z tym zrobić.

* * *

Romek natychmiast przystąpił do pracy. Pół godziny później mieszkanie dosłownie lśniło. Zniknął nawet kurz! O tym, jak idealnie czyste były dywany i chodniczki, nie muszę chyba wspominać? Nawet się braciszek zgłosił na ochotnika, żeby przygotować kolację!

Oczywiście zabroniłem. Nie mogłem dopuścić, by w tak okrutny sposób znęcał się nad moim żołądkiem.

Poza tym to ja jestem kucharzem. Gdy tylko brat wysprzątał mieszkanie i dowiedział się, że został zwolniony od kulinarnych tortur, pobiegł z powrotem do ukochanego komputera.

Rodzice niczego nie zauważyli, kiedy wrócili wieczorem do domu. Tylko że pojawił się jeden nieduży, mały, tygi problem. Mikroskopijny. Mama z tatą postanowili wyjechać w piątek na działkę. Nie żebym miał coś przeciwko pobytom na łonie natury (zwłaszcza po tym, co się działo w zeszłą sobotę, kiedy zostałem w mieście), ale miałem jutro pójść do kolegi (czy niby-przyjaciela) na urodziny. O pierwszej! Oznaczało to tyle, że w żaden sposób nie zdążę do domu na osiemnastą, kiedy rodzice wrócą z pracy, spakują rzeczy i ruszą w drogę.

Nawet nie wspominam, w jaki sposób przekonywali mnie, że mam OBOWIĄZEK pojechać. Warto też przemilczeć fakt, JAK zareagowała mama na przypadkowo wtrącone zdanie, że w swoim życiu nic nikomu nie jestem winien. Obawiam się, że tyłu wyrzutów naraz na temat mojej bezduszności nigdy więcej nie zdołam wysłuchać.

Na szczęście do dziewiątej wieczorem wszystko wróciło do normy. Pogodziłem się z rodzicami i przekonałem ich, że nie jestem bezduszny, tylko odziedziczyłem po nich geny.

Z kolei oni zdjęli ze mnie rzuconą wcześniej klątwę („nawet do toalety będziesz z komórką chodzić!”) i zgodzili się pojechać z Romkiem we trójkę.

O rany, ale mi się chciało spać! Czuję, że nazajutrz czeka mnie ciężki dzień.

* * *

W wiszącym tuż pod sufitem kryształowym żyrandolu niezwykle jasnym światłem świeciło pięć żarówek. Można było zapalić jeszcze dziesięć pozostałych, ale nie wiedzieć czemu, nikt z obecnych tego nie zrobił.

- Jesteś pewien?! - z niedowierzaniem zapytał siwowłosa, około pięćdziesięcioletni mężczyzna. - Wampiry, które nie boją się dziennego światła?

- Tak, do diabła! - zirytował się chudy brunet w dżinsowym garniturze. - Widziałem ich kły! I to nie była żadna genetyczna wada, ludziom to się nie zdarza. To były wampiry!

- To znaczy, że nikt nie puścił dziennikarskiej kaczki... Za ich głowy wyznaczono nagrodę?

- Na to wygląda - przytaknęła kobieta, elegancka szatynka. - Ale co nam to daje?

- Jak to co? - wtrącił zdenerwowany brunet. - A to, że moglibyśmy ich wydać, a w zamian zażądać, żeby nam oddali Fimkę.

- W zamian?! - drwiąco zagrział milczący do tej pory młody chłopak. - Żeby mogło dojść do wymiany, trzeba ich mieć w ręku. A my nawet nie wiemy, kim są.

- Usłyszałem nazwisko Zwiecin, spróbujmy w książce...

- Ale ludzi o tym nazwisku może być w mieście cała masa! - fuknął chłopak. - Jednego znam nawet ja.

- A jak ma na imię? - zaciekawił się mężczyzna, który odkrył dziennych łowców. - Nie Sasza przypadkiem?

- Skąd wiesz?!

Siwowłosa mężczyzna w zamyśleniu potarł podbródek, po czym spojrzał na chłopaka.

- Jutro odwiedź tego kolegę i dowiesz się, czy wśród jego znajomych nie ma... Zresztą sam wiesz najlepiej.

- Proszę bardzo. - Chłopak wzruszył ramionami. - I tak Sasza ma jutro urodziny.

** * **

Obudziłem się około wpół do jedenastej. Pewnie pospałbym dłużej, ale jak się ma w domu takie szczęście w postaci młodszego brata... Chciałem powiedzieć, że dokładnie o tej porze dobry i kochany Romuś włączył na cały regulator „Arię”.

A tak mi się słodko spało! Kiedy tuż nad moją głową rozbrzmiały dźwięki gitary elektrycznej, a potem okropne wycie „Tam wysokooooo!”, podskoczyłem na tapczanie, próbując zrozumieć, gdzie właściwie jestem i co się dzieje. A gdy już to do mnie dotarło...

Zmyłem Romkowi głowę.

Wygarnąwszy kochanemu bratu, co o nim myślę, uznałem, że i tak najwyższa pora wstawać. Co jeszcze mam do zrobienia? Na pierwszą jestem umówiony z Saszą. Może się chociaż umyję i wypiję kawę.

O kawie mogłem zapomnieć. Kiedy Romuś zobaczył mnie na nogach („Andriej, naprawdę cię obudziłem? Przecież ja tak cichutko!”), radośnie oznajmił, że w domu nie ma nic do jedzenia, a w lodówce jest tylko mleko.

Westchnąłem głęboko, policzyłem w myślach do stu, a potem poszedłem zbadać zawartość lodówki. Okazało się, że Romusiowi (mać, mać, mać! powtórzyło echo) oczy chyba czymś zarosły. Wręczyłem mu wszystkie niezbędne składniki omletu, oznajmiłem, co zamierzam jeść i poszedłem się myć. Jasne, prościej byłoby zrobić jajecznicę, ale przecież powinienem rodzzonego brata nauczyć choćby podstaw sztuki kulinarnej, nie? Czy może ma zamiar do końca życia na mnie żerować?

Romek całą drogę od kuchni do łazienki skakał wokół mnie jak szalony pies, żałośnie patrzył mi w oczy i skomlał:

- Andriej, Andriej, a jak to się robi?! Gotuję całkiem dobrze, ale omleta to jeszcze nigdy...

Nie wytrzymałem i odwróciłem się w jego stronę.

- Mieszasz jajka z mlekiem, wlewasz na patelnię i gotowe!

- Ale jak? Ile tego mleka?

Ciekawe, ile można dostać za zabójstwo? Wowka twierdził, że sześć lat... Mimo wszystko trochę dużo.

- Cztery jajka, cztery duże łyżki mleka. Po dwie łyżki na jedno jajko!

Hmm, czyżbym coś pomieszał?

- Dziwna ta twoja matematyka... - oświadczył zamyślony Romek.

- Ale zawsze jakaś! Przejęczyłem się. No już, do kuchni marsz!

Omlet był oczywiście przypalony. Nawet nie wspominam, że braciszek go nie posolił - sam sobie jestem winien, w końcu odpowiedniej komendy nie wydałem.

Po śniadaniu czekała mnie kolejna niespodzianka. W czasie kiedy smacznie (i krótko) spałem, Romuś zdążył przewrócić do góry nogami całe mieszkanie. Wyglądało

tak, jakby nikt wczoraj nie sprzątał. W biblioteczce przewracane książki, na wersalce papierki po cukierkach, a na dywanie ślady po butach (patrzcie państwo, Romek postanowił zrobić dobry uczynek i wyprowadził kundle na spacer, tylko że na podwórku wlaź w kałużę, a zdejmować butów nikt go oczywiście nie nauczył!). Ogólnie rzecz biorąc, koszmar, tragedia i horror.

Zaraz, zaraz, po co ja panikuję? Przecież i tak za chwilę wychodzę, a Romek do szóstej będzie siedział w domu. Niech posprząta ten chlew! Tym bardziej że to on tak nabrudził.

Postanowiłem mu to wyłuszczyć. Braciszek z kamienną gębą zagroził:

- Poskarżę się mamie!

Przynajmniej tym razem obeszło się bez pochlipywania. Dobre i to.

Nie miałem zielonego pojęcia, z jakiego powodu braciszek miałby się komukolwiek na mnie skarżyć. Na szczęście Roman Wsiewołodowicz zstąpił na chwilę z piedestału i grzecznie wyjaśnił:

- Ja biedny, nieszczęsny na działce będę harował jak wół, a ty tu wódkę pić? To niesprawiedliwe! Pomóż mi posprzątać! A jak nie, powiem mamie, co o tym wszystkim myślę, a wtedy gwarantuję, że za tydzień ciebie też zabierze i będziesz tam tyrał jak murzyn na plantacji!

No nie, tego już za wiele! On chatę do góry nogami wywrócił, a ja mam sprzątać?! Chociaż, w obliczu takiego szantażu...

Co prawda Romusiowi, żeby mu się czkawką do końca życia odbijało, roboty znalazłem od groma. Najpierw kazałem mu wycierać kurze, potem myć parapety, przeganiać pająki, czyścić dywany... Nawet nie miał kiedy oddechu złapać. Zresztą nawet gdyby nie było aż tyle do zrobienia, już ja bym mu coś wymyślił.

Mniej więcej na dziesięć minut przed pierwszą uporaliśmy się z bałaganem i dom lśnił, aż miło, a ja mogłem wreszcie zacząć się szykować do wyjścia (muszę tylko zabrać prezent, ubrać się i skoczyć na rynek po jakiś bukiet). Tylko gdzie ja podziałem tę grę?

Czegoś tu nie rozumiem...

Zanim wpadłem na pomysł, by zapytać Romka, czy nie widział tego „Smoczego ja”, zdążyłem przekopać cały dom.

- A to nie było dla mnie? - Brat niewinnie zatrzepotał rżęsami.

Naprawdę go kiedyś zabiję.

Na szczęście Romek nie porozrywał opakowania ani nie zarysował pudełka, tylko otworzył je delikatnie z boku. Odrobinę taśmy klejącej i *voilà!* Prezent gotowy do użycia.

Okej, wiem, że nie daje się w prezencie używanych rzeczy, ale przecież kupiłem tę płytę specjalnie dla Saszy!

Z domu wybiegłem za pięć pierwsza.

Zdaję sobie sprawę, że to trochę dziwne kupować na urodziny portfel i jakąś grę chłopakowi, któremu starzy podarowali mesia, ale przecież nigdy ze Zwiecinem nie trzymałem sztamy, byliśmy tylko kolegami z roku. Nawet nie wiem, czym się interesuje. Co mu odbiło, żeby mnie zaprosić na imprezę?!

Spod mojego domu do przystanku spokojnym krokiem można dojść w piętnaście minut. Biegiem w dziesięć, biegnąc szybko - w siedem, a bardzo szybko - zaledwie w pięć. Ja byłem tam już po dwóch.

Szkoda tylko, że nie zdążyłem kupić kwiatów. Co prawda Sasza jeszcze nie przyjechał, ale biec na rynek i tak nie było sensu. Tęsknym wzrokiem rozejrzałem się dookoła i z nudów zacząłem liczyć w myślach.

Kiedy doliczyłem do stu osiemdziesięciu, obok mnie zatrzymał się czerwony mesio, z którego niczym diabeł z tabakierki wyskoczył Sasza. Zamachał rękoma (wiatrak, psiamać), a potem ryknął:

- Andriej, wsiadaj!

Ktoś mi wyjaśni, skąd to dziwne przeczucie, że ten dzień nie skończy się dobrze?

Z poważną miną wręczyłem koledze prezent. Ten natychmiast go rozpakował, obejrzał i położył na desce rozdzielczej.

- Dzięki, Andriej. Jedziemy?

Miejsce obok kierowcy było już zajęte, więc wgramoliłem się na tylną kanapę i delikatnie zamknąłem drzwi. (Najważniejsze to pamiętać, że się nie wsiadło do pospolitego fiata, tylko do zagranicznego cacka, swoją drogą wyprodukowanego chyba tylko po to, żeby człowiekowi uprzykrzyć życie. We fiacie przynajmniej wolno po ludzku trzasnąć drzwiami. Serio! Z tymi wszystkimi beemkami i mesiami to fiksacji można dostać. Słyszałem, że jak coś się zepsuje, za najdrobniejszą część trzeba zapłacić tyle, co za nowy samochód).

- Poznajcie się - powiedział podekscytowany Sasza, odpalając silnik. - To Andriej, jest ze mną na roku. A to Siemion, mój dobry kolega.

Koleś odwrócił się powoli i rzucił zachrypniętym głosem:

- Cześć.

- Cześć - odpowiedziałem.

Ten Siemion wydał mi się dziwny. Co prawda widziałem go po raz pierwszy w życiu, ale z jakichś powodów od razu poczułem, że go nie lubię.

Twarz niby przeciętna i ubranie zwyczajne, tylko jakoś...

A może to przez te osobliwe oczy, jasnoszare i jakby rozmyte? Na pewno takie same miał szpieg z Krainy Dreszczowców.

* * *

Urodziny to smutne święto. Przekonałem się o tym już po dziesięciu minutach od chwili, gdy weszliśmy do domu Saszy. Zacząłem żałować, że tu przyjechałem.

Niby nie było rodziców (Saszka gdzieś ich wyprawił), niby stół był nakryty, niby grała muzyka, ale poza tym... Sam nie wiem.

Towarzystwo składało się z pięciu chłopaków i dziewczyn, które znałem i siedmiu zupełnie obcych mi ludzi. Najpierw obgadywali wykładowców, potem sprzeczali się na temat filmów i piłki nożnej, słowem - nic ciekawego

Impreza powoli nabierała tempa, nikt nie wylewał za kołnierz. Wznoszono toasty, żartowano, składano życzenia jubilatowi. Od czasu do czasu goście (zarówno dziewczyny, jak i chłopaki) wychodzili na balkon zapalić. Gospodarz przez cały czas dotrzymywał im towarzystwa. Raz, kiedy wszyscy wyszli, zostałem w salonie sam na sam z tym, jak mu tam, Siemionem.

Beznamiętnie przerzucałem widelcem sałatkę, przyglądając się zawartości kieliszka. Na szczęście jedynym alkoholem, jaki pojawił się na stole, była wódka, do której miałem wstręt od pamiętnego wieczoru z Wowką. Na dodatek wchodziła wyjątkowo opornie - ciepła i w ogóle jakaś taka niesmaczna. Krótko mówiąc - paskudztwo.

Wieczór stopniowo przechodził w ciemną noc i niekoniecznie wszystko szło w dobrą stronę. Nagle z zamyślenia wyrwało mnie głucho pytanie Siemiona:

- Rozkoszujesz się światłem, wampirze?

Powoli uniosłem głowę. Kumpel Saszy nie odrywał ode mnie wzroku. W jego szarych oczach rozbłysła nienawiść. Przecież mu do zupy nie naplułem, zresztą żadnej nie podano...

Przywołałem na twarz wymuszony uśmiech.

- A ty, jak sądzę - powiedziałem, próbując nie przesadzić z tonem współczucia - nie zdążyłeś się jeszcze dopić?

- Że co?

- Wypiłeś mniej, niż chciałeś, ale więcej niż mogłeś - wyjaśniłem uprzejmie. - A może się naoglądałeś zbyt wielu horrorów? Jaki ze mnie, do diabła, wampir?

Siemion uśmiechnął się szeroko, odsłaniając ostre białe zęby - czy raczej długie kły.

- Typowy.

Nagle twarz przyjaciela Saszy zaczęła się rozplýwać. Szczęka wysunęła się do przodu, uszy i oczy powoli zmieniały położenie, spod skóry wyrosła sierść.

Cholera, co robić?!

Ostrożnie podniosłem do góry widelec. Jeśli się na mnie rzuci, jak ten na ulicy...

Naraz głośno trzasnęły drzwi balkonowe. Do pokoju wpadło nietrzeźwe towarzystwo na czele z jubilatem. Słyszając hałas, odwróciłem się instynktownie. Ojoj! Przecież za moimi plecami siedzi wilkołak! Szybko wróciłem do poprzedniej pozycji.

Siemion gapił się w talerz z sałatką i mieszał w niej widelcem.

- O czym tak myślisz? - Sasza klepnął mnie w plecy.

Przełknąłem ślinę i odpowiedziałem uczciwie:

- O życiu.

Jubilat roześmiał się.

- Też masz o czym!

* * *

Wszystko, co działo się później, pamiętam jak długi, poplątany sen. Wolałem nie wiedzieć, czego chciał ode mnie ten Siemion, więc przy każdej kolejnej okazji wychodziłem na balkon razem z palącymi.

Imprezę udało mi się opuścić dopiero koło siódmej rano, kiedy na dworze było już jasno. Próbowałem zwać wcześniej, ale bezskutecznie - za każdym razem z powrotem sadzano mnie za stołem. Ależ miałem tego wszystkiego dość!

Na szczęście mniej więcej o wpół do siódmej jedna z zaproszonych dziewcząt, której imienia nie pamiętam, oznajmiła, że musi wracać do domu („psiakość, rodzice czekają!”). Kolejne trzydzieści minut przekonywali ją, żeby jeszcze została, nalewali to na jedną nóżkę, to na drugą, potem znowu strzemiennego. zaproponowałem, że ją

odprowadzę na przystanek. Kiedy wsadziłem dziewczynę do autobusu, ruszyłem do domu, omijając boczne uliczki.

Gdy zostało mi do pokonania jakieś kilkadziesiąt metrów, nagle usłyszałem:

- Może jednak porozmawiamy?

Obejrzałem się. Na wąskiej drewnianej ławce, z nogą założoną na nogę, siedział Siemion wilkołak.

Przystanąłem, ale podchodzić nie miałem zamiaru.

- O czym?

- O sprawie. - Uśmiechnął się.

Zrobiłem poważną minę.

- A mamy jakąś wspólną sprawę?

- Mamy.

Cisza. Tylko umarlaków z kosami brakuje.

- A więc? - nie wytrzymałem.

Siemion powoli podniósł się z ławki. Przez chwilę milczał, a potem zaczął mówić:

- Musimy się spotkać i porozmawiać.

- A teraz nie rozmawiamy?

- Nie ze mną! - wybuchnął. - Ze starszyzną rodu!

Do cholery, jeszcze jakaś starszyzna... Pytanie nasunęło się samo:

- Starszyzna? To niby jest was więcej?

Siemion uśmiechnął się.

- Nie mniej niż was, wampirze.

Nas? To znaczy kogo? Mnie, Wowki i Czarnego Płaszczka? Trzech?

- Niby o czym miałbym rozmawiać ze starszyzną? O wczorajszym napadzie?

Oj, chyba coś palnąłem. Zaraz się dowiem, że ten Szary to jego kumpel. Szedł spokojnie ulicą” nikogo nie zaczepiał, a tu jeden z drugim - znaczy ja z Wowką...

- Można i o tym - niespodziewanie zgodził się wilkołak. - Ale tak naprawdę trzeba też poruszyć inny temat.

Po dziurki w nosie mam tej tajemniczości! Chociaż może ta ich starszyzna uznała, że Szary niepotrzebnie nas napadł? Przeprosić chcą? Nigdy nic nie wiadomo. Co prawda trochę to naiwne, ale jeśli rzeczywiście o to chodzi?

- Gdzie i kiedy mielibyśmy się spotkać?

Wilkołak zaczął ze szczegółami tłumaczyć, jak i czym dojechać, gdzie wysiąść, gdzie skręcić.. Chyba łatwiej byłoby po prostu podać adres.

W końcu umilkł. Przez chwilę patrzył na mnie pytająco (cierpliwie czekałem na dalszy ciąg monologu), a potem, nie doczekawszy się odpowiedzi” burknął:

- Jutro. O ósmej.

- Rano? - przeraziłem się.

To o której musiałbym wstać?! Chyba o piątej... Sadyści!

- Wieczorem! - ryknął wilkołak, po czym się odwrócił i poszedł w swoją stronę.

Odprowadziłem go wzrokiem. Ki czort? Czego te wilkołaki w ogóle ode mnie chcą? I po co ja się zgodziłem na to spotkanie?!

Trudno. Nikt nie mówił, że mam przyjść sam, skoro zaś Wowka wciągnął mnie w tę całą hecę, to zabiorę go jutro ze sobą do kojca pieseczków.

Tylko że jest mały problem - ciekawe, czy Wowa będzie mógł wyjść o tej porze z domu. A jeśli dostał szlaban?

Dobra. Jutro o pierwszej wykonam telefon do pana Władimira i wszystkiego się dowiem.

* * *

- *Myślisz, że przyjdzie?*

- *Nie mam pojęcia. - Siemion wzruszył ramionami. - Tak czy siak, wiem, gdzie mieszka. W razie czego zostaje nam noc z soboty na niedzielę.*

* * *

Powiedzcie mi proszę, jak to możliwe, że kiedy człowiek chce trochę dłużej pospać, z samego rana ktoś zrywa go z łóżka? Za to kiedy nie można zmrużyć oka, w domu jest zawsze cicho, spokojnie, młodszy braciszek na działce a rodzice, którzy na ogół wydzwanają po sto razy dziennie, nie próbują zadzwonić ani razu.

Chyba właśnie to nazywają ironią losu.

Wierciłem się w łóżku przez całą noc i odganiałem natrętne komary, próbując zasnąć. W myślach przypominałem sobie cały niezbyt bogaty repertuar angielskich przekleństw, obdarowując nimi kochanego braciszka, który zapomniał kupić środek owadobójczy. A przecież mu mówiłem, i to nieraz! Dla siebie na działkę pewnie nie zapomniał zabrać. Żeby mi chociaż trochę zostawił!

Teraz pewnie smacznie śpi, a ja? W pokoju duszno. Co gorsza, gdy tylko otworzę okno, od razu atakuje mnie chmara komarów, aż powietrze brzęczy. Połowę można pozabijać, a lufcik zamknąć, tylko że zaraz robi się gorąco jak w saunie. Koszmar!

Naprawdę muszę namówić rodziców na klimatyzację.

Dopiero nad ranem zrobiło się nieco lepiej. Komary opily się moją A Rh+ i poszły spać. A ja razem z nimi.

* * *

Co mi się śniło? Same głupoty. Dokładnie nie pamiętam, ale z pewnością był to wyjątkowo pogmatwany sen! Za kimś biegłem... A może nie? To raczej ktoś biegł za mną. Chyba że obaj za kimś biegliśmy? Ogólnie same bzdury! Czułem, jakby to wszystko mi się śniło, a jednocześnie jakby działo się naprawdę.

Z tego dziwnego stanu pół snu, pół jawy wybudził mnie o dziesiątej rano telefon.

Podniosłem ciężką głowę (z powodu zaspania, a nie pijaństwa!), omiotłem mętnym wzrokiem pokój, a potem poczłapałem po przeraźliwie brzęczącej komórce, którą zostawiłem w kieszeni koszuli.

Oczywiście dzwoniła mama. Przebieg rozmowy wyglądał jak zwykle: przez pierwszych dziesięć minut wysłuchiwałem bezsensownej paplaniny w stylu: „na działce jest tak fajnie, a ty siedzisz w domu” (przy czym wspomniane zdanie było powtarzane co najmniej pięćdziesiąt razy w różnych wariacjach), później mama zapytała, jak się bawiłem na urodzinach (moje odpowiedzi raczej jej nie interesowały - wciąż trąkotała jak nakręcona z taką szybkością, że kałasznikow przy niej wysiada), a na końcu - najważniejsze:

- Andriej, a może jednak byś przyjechał? Autobusem.

Aha, już lecę! Choć prawdę mówiąc, czasami na działce miło jest posiedzieć.

Słońce, świeże powietrze - dla tych rzeczy warto nawet wyrwać parę chwastów (najważniejsze, żeby ich nie pomylić z pomidorami). Ale telepać się półtorej godziny autobusem nabitym ludźmi jak beczka śledziami, a potem jeszcze maszerować pieszo pół godziny zakurzoną polną drogą w czterdziestostopniowym upale? Do tego, jak znam mamę, z dodatkowym bagażem! („Andriej, kup kiełbasę i chleb! Nie zapomnij jeszcze o kilku pięciolitrowych baniakach z wodą. I weź jakieś narzędzia, bo tata znów zapomniał piły!”).

O nie, już lepiej zostanę w mieście! Może za tydzień pojedę. Samochodem.

Jak się zresztą okazało, pogodynka ze mnie żadna. Mniej więcej około pierwszej niebo zaszło chmurami i zaczął padać drobny, nieprzyjemny deszcz. Zrobiło się chłodniej.

Z drugiej strony, jak bardzo może się ochłodzić w lipcu? Nawet jeśli w powietrzu jest dwadzieścia stopni, od ziemi i tak czuć gorąco.

Długo, do znudzenia (i wyjątkowo cierpliwie) czekałem, aż wreszcie przestanie się śniżyć (dobrze, że nie zaczęło lać). Potem, około czwartej po południu, narzuciłem na siebie wiatrówkę i wyprowadziłem psy. Nie było zimno, ale wiał ostry wiatr. Nie dość, że miasto wybudowano w stepie, to w dodatku połowę osiedli postawiono jak na wypadek wybuchu bomby jądrowej, żeby zapewnić dobrą cyrkulację powietrza.

Zadzwoiłem do Wowki, by go uprzedzić o wizycie.

* * *

Dotarcie na miejsce nie zajęło mi zbyt wiele czasu, jeśli oczywiście wziąć pod uwagę, że w każdym korku (a było ich po drodze z pięć) zamiast dwudziestu, staliśmy tylko piętnaście minut. Kiedy dochodziła siódma, znalazłem się na podwórku przed kamienicą Wowki. Chwyciłem za telefon.

Szanowny kolega Dan odebrał i rzucił szybko:

- Już idę.

Z chęcią wszedłbym na górę i przywitał się z Aśką, ale jeśli znów nakryje do stołu i zacznie mnie częstować herbatą, co najmniej godzinę mam z głowy!

Postanowiłem więc, że usiądę na ławeczce obok placu zabaw i cierpliwie poczekam. Trzasnęły drzwi. Spojrzałem do tyłu, zmierzyłem beznamiętnym wzrokiem wychodzącego z klatki gościa w czarnej skórze (pewnie jakiś motocyklista), a potem odwróciłem się i czekałem dalej.

- Andriej, śpisz? - rozległ się za moimi plecami zniecierpliwiony głos.

Podniosłem głowę i osłupiałem. Rozumiem, że Wowka często zmienia styl, ale żeby aż tak drastycznie?!

Teraz szanowny kolega miał na sobie wysokie do połowy łydki, sznurowane buty na traktorach, czarne skórzane spodnie i jaskrawoczerwoną podkoszulkę, na której widniał wizerunek znanego wszystkim kłapouchego zwierza niewiadomego gatunku, wymyślonego przez Edwarda Uspienskiego. Zwierzątko nosiło czarny beret z napisem

„Kiwaczek”. Na ramiona Wowka zarzucił skórzaną kurtkę motocyklisty przyozdobioną łańcuchami, a na głowie zawiązał bandanę.

- Szkoda, że nie włożyłeś koszulki z Yodą - zdołałem z siebie wydusić.

- Z Yodą bym nie ubrał - odrzekł Wowka niespodziewanie smutnym głosem. - On jest zły.

Zatkało mnie na taką deklarację. Yoda - zły? A może mówiliśmy o różnych zielonych ludkach? Ja akurat miałem na myśli tego, który trenował Luke'a Skywalkera.

- Widziałeś wszystkie odcinki *Gwiezdných wojen*? - zapytał Wowka jakby z pretensją w głosie.

- Nie widziałem tylko trzeciej części, a co?

Treść *Zemsty Sitków* co prawda trochę znam - Romek mi opowiadał po powrocie z kina, ale o ile dobrze pamiętam, tam Yoda też niczego złego nie robił. Może Wowka tak mówi z powodu Anakina? Pewnie o to chodzi. Z tego, co mi wiadomo, Kenobi nieźle mu tam obił głowę.

- A widziałeś tę reklamę, co ją nadawali w telewizji, kiedy w kinach grali *Zemstę Sitków*? Tę z tekstem: „Po co ci cheeseburger, kartofelki lepiej oddaj Yodzie”?

- Widziałem - odparłem, nie mogąc zrozumieć, do czego zmierza kolega..

- No i?

- Co no i?

- Nie rozumiesz;?! Przecież on w ten sposób zabierał cukierki biednemu Anakinkowi! To dlatego dzieciak wyrósł na takiego potwora, przywdział maskę i poszedł się mścić na Jedi - wytłumaczył Wowka, powstrzymując śmiech.

Cóż, fantazja bywa bujna. I niebezpieczna, na ludzi się rzuca...

Próbowałem pozbierać myśli, kiedy nagle Wowka zapytał:

- Andriej, po co tak właściwie do mnie przyjechałeś?

Pokrótkie opowiedziałem mu o wczorajszym spotkaniu z Siemionem.

- To co, idziesz ze mną?

W głębi duszy dręczyły mnie obawy, że Wowka wykpi się jakąś pilną robotą albo argumentem, że Aśka znów urządzi mu koncert, ale on tylko się uśmiechnął.

- Jasne! Czekaaj, dryndnę do domu. Nie mogę teraz wrócić, bo mnie nie wypuszczą.

- A jakbyś nie zadzwonił? - zainteresowałem się bardziej dla podtrzymania rozmowy.

- Zabiliby mnie natychmiast po powrocie. I żadne prawa człowieka by mi nie pomogły.

Wowka wyciągnął komórkę, wybrał numer i zadzwonił. (Podobno wszystko może się zmienić: niebiosa mogą się rozstąpić i lunąć ognistym deszczem, w Afryce mogą zamieszkać pingwiny, na rozdanie dyplomów może przybyć dziesięciu obcych z innej planety, żeby uścisnąć rękę dziekanowi mojego wydziału - ale telefon Wowki to rzecz, która nie zmienia się nigdy!).

- Halo, Aśka? Tak, słuchaj, muszę pojechać do Andrieja. Jak to po co?! Już dawno obiecał, że mnie poduczy angielskich czasowników nieregularnych. Kto to słyszał, żeby się w wakacje uczyć? Widocznie ktoś słyszał! W końcu najwyższy czas wziąć się za siebie! Do której? No, myślę, że zostanę u niego na noc. No tak, żeby mieć więcej czasu na naukę. No co ty?! Jaka butelka piwa na każdy czasownik?! Żadnego piwa, tylko angielski! Uprzedzisz mamę? Aha, jesteś kochana! Na razie!

Wowka przerwał połączenie i spojrzał na mnie wymownie.

Dlaczego znów mam wrażenie, że stanie się coś niedobrego?

* * *

Tylko czasem nie mówcie, że mężczyźni nie mają intuicji. Właśnie że mają! Jest po prostu głęboko ukryta. Czasem na pierwszy rzut oka jej nie widać. I na drugi też. I na trzeci...

Złe przeczucia zaczęły dochodzić do głosu już po kilku minutach, kiedy Wowka podrapał się pod bandanę (normalni ludzie w tym miejscu mają głowę), a potem zapytał:

- Andriej, to co będzie z tymi czasownikami?

- A co ma być? - spojrzałem na niego kątem oka.

- Pomożesz mi się ich nauczyć?

- Wowka! - westchnąłem. - Tam nie ma nic do pomagania. Musisz je zakuć i już! Nawet nie ma w tym żadnej logiki.

Miny, jaką zrobił Wowka, mógłby mu pozazdrościć sam pułkownik SS (czy jak oni się tam zwali).

- Jakkolwiek by było, pozwolili mi wyjść na słowo honoru, że się ich nauczę!

No i co ja mam z nim zrobić? Sam się prosił.

- Być: *to be - was, were - been* - zacząłem znużonym tonem. Wyrecytowałem około dziesięciu czasowników, a potem nakazałem: - Teraz powtórz!

- Wredny jesteś - burknął drogi kolega i więcej do tematu języków nie wracał.

Dotarliśmy na miejsce dziesięć minut przed umówionym czasem.

Kochany Wowka (po prostu aniołeczek) od razu zaczął nadawać:

- Andriej, przecież tu nikogo nie ma! Andriej, po co my tutaj przyszliśmy? Andriej, no i gdzie są ci twoi ogoniaści przyjaciele?!

- Zamknij dziób, wypierdku wampira! - ktoś uprzejmie poradził mu zza krzaków.

Zaraz po tych miłych słowach wyrosło przed nami dziesięciu facetów (ale mam zły humor, chyba widać, nie?!). Tylko dwóch znałem: Siemiona i tego gościa, który w czwartek chciał mnie pożreć.

Ciekawe, dlaczego tak jest, że jak tylko te wilkołaki wychodzą z cienia, ulica nagle pustoszeje. Nie ma nikogo - ani dzieci, ani bab, co tak lubią obgadywać wszystkich i wszystko... Czyżby ci ogoniaści wytwarzali jakieś specyficzne pole magnetyczne?

- Andriej - ponurym głosem odezwał się Wowka. - Powiedz mi, czemu mam wrażenie, że nas tu zaraz będą bić?

- Jeszcze czego! - fuknął ze złością nasz czwartkowy znajomy. - Żebyśmy sobie o was pobrudzili ręce?

- Ach rozumiem, pan czyścioszek, tak? - zapytał uprzejmym tonem Wowka.

Zasunąłem mu kuksańca. Ależ ma niewyparzoną gębę! Przecież gołym okiem widać, że ich jest więcej. Zaraz nam skopią tyłki, a potem udowadniaj, że nie jesteś wielbłądem!

- Uważaj, chłopcze, zawsze się mogę rozmyślić - wycedził przez zęby ogoniasty.

- Proszę bardzo! - Wowa wzruszył ramionami.

Wilkołak chciał do niego doskoczyć, ale Siemion chwycił go za ramię.

- Najpierw muszą się spotkać ze starszyzną.

No proszę! Nie minęła chwila, a znów znaleźliśmy się w punkcie wyjścia.

Szczerze mówiąc, myślałem, że spotkanie odbędzie się właśnie tutaj. Gdzieżby! Przez półtorej godziny krążyliśmy po mieście środkami komunikacji miejskiej. Po drodze przesiadaliśmy się pięć razy. Nie pamiętają adresu czy co?

Kiedy w końcu dotarliśmy na miejsce, po prostu ścięło mnie z nóg.

Dwupiętrowy dom otaczały kolumny i wysoki płot, a na dziedzińcu stała fontanna. Co prawda Drakula też miał niezłą chatę, ale nie zdążyłem jej wtedy dokładnie obejrzeć. Wszystko przez ten pośpiech!

- Hmm... - zamyślił się Wowka, idąc asfaltową dróżką wiodącą do głównych drzwi. - To chyba nie nasz świat, Andriej. Jak umrę, przybij tu tabliczkę z napisem: „W tym domu marzył żyć i nie pracować Władimir Aleksandrowicz Dan”.

- Da się zrobić - mruknął jeden z naszych konwojentów z ironicznym uśmiechem.

- Tabliczkę? - Wowka odwrócił się w jego stronę.

- Nie, śmierć.

Cóż za dobroć, aż słów brakuje! Tych, które się cisną na usta, cenzura nie przepuści.

* * *

Miękki dywan niczym purpurowa wstęga wyściełający marmurowe schody, szeroki korytarz, ciężkie dębowe drzwi. I spojrzenia. Dziesiątki, a może nawet setki spojrzeń. Ciekawskie. Poważne. Sceptyczne. Wszystkie tak samo nienawistne.

Dosłownie czułem je na sobie. Nie oglądałem się, więc nikogo nie widziałem. Nikogo prócz siebie, Wowki i naszych konwojentów. Ale to się przecież nie liczy.

Czy ja mam jakieś omamy?

* * *

- *Przyszli? Sami?* - *W głosie siwowłosego mężczyzny zabrzmiało szczere zdumienie.*

- *No...* - *Cichy chichot.* - *Przecież nie wiedzą, po co ich tu zaprosiliśmy.*

* * *

Siwowłosa mężczyzna, siedzący na krześle z wysokim oparciem, zmrużył oczy, przyglądając się nam badawczo.

- Więc tak wyglądają wampiry, które nie boją się światła dnia? Zabawne. Dlaczego właśnie wy?

Jeśli mam być szczery, nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi.

- Można jaśniej?

- Jesteście raczej pospolici - rzuciła kobieta zajmująca miejsce obok siwowłosego.
- To może dziwić.

Wielkie dzięki. Naprawdę! Uroczy komplement, nie ma co!

- Jak to się stało - znów przemówił mężczyzna - że zostaliście wampirami?

Wyraźnie słyszałem, jak stojący za moimi plecami Siemion dyszy z wściekłości, nerwowo drepcząc w miejscu, więc milczałem, niepewny, czy warto się odzywać. Za to Wowka zareagował natychmiast:

- A co to, przesłuchanie?

- Być może. - Siwowłosey wykrzywił usta w sztucznym uśmiechu. - Jesteście w mniejszości, więc odpowiadajcie na pytania. Zaczynajcie od początku.

Wspominałem już o ich dobroci? Wowka chciał coś chlapnąć, ale szturchnąłem go łokciem w żebro.

- Od początku? Bardzo proszę. „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, i Bogiem było Słowo...”.

- Śmiesz kpić?! - ryknął mężczyzna (czy może wilkołak) i rzucił się w moją stronę. Odskokczyłem, wpadając na Siemiona.

- Aleks, zostaw! - wrzasnęła szpakowaty. Można uznać, że zostaliśmy sobie przedstawieni. - Potrzebujemy ich żywych. Tylko tak odzyskamy Efima całego i zdrowego. Jeśli włos im z głowy spadnie, tamci gotowi są uznać, że życie chłopca nie jest warte złamanego grosza, a wtedy co najwyżej oddadzą nam trupa twojego brata. Efim? Chłopiec? Brat? Coś mi zaczynało świtać. My dwaj za chłopca...

- Chcecie nas na kogoś wymienić? - zapytałem drżącym głosem.

- Na mojego brata, kretynie! - ryknął Aleks. Nagle wyostrzyła mu się twarz, a na policzkach zaczęła wyrastać sierść. - Ma dopiero dziesięć lat, a ten... baran więzi go już prawie miesiąc i wydaje rozkazy naszemu rodowi!

Zadałem sobie w myślach pytanie, czy wyjawić im, że tydzień temu spotkałem chłopca całego i zdrowego? Tylko co mi to da?

- A jeżeli ta zamiana nas nie interesuje? - oburzyliśmy się z Wowką równocześnie.

- Nie macie nic do gadania - obcesowo wyjaśniła kobieta. Siwowłosey powolnym kiwnięciem głowy przytaknął jej słowom, a następnie wydał polecenie:

- Aleks, Siemion, zamknijcie ich w jakimś porządnym pomieszczeniu, a potem poślijcie do Drakuli choćby i Maksyma. Niech mu powie, że proponujemy wymianę.

Nieźle się wpakowaliśmy.

Zerknąłem chyłkiem w „łagodne oczy” Aleksa, który był gotów udusić za krzywe spojrzenie i momentalnie odeszła mi ochota na jakiegokolwiek formy sprzeciwu.

* * *

„Porządnym” miejscem okazała się winiarnia.

Nie przypuszczałem, że na naszej szerokości geograficznej ktoś mógł mieć coś takiego w prywatnym domu. Ogromne pomieszczenie wielkości co najmniej mojego mieszkania wypełniały rzędy ciężkich dębowych beczek. Złoty sen każdego alkoholika.

Założę się, że niejeden oligarcha pozazdrościłby im takiej piwniczki.

- Tylko spróbujcie coś tknąć! - fuknął Siemion, zanim trzasnął drzwiami.

Nawet w mroku dostrzegłem, jak Wowce błysnęły oczy.

- Andriej, a może rzeczywiście zrobimy małą degustację, co? Wtedy ta turecko-rumuńska zaraza dostanie za swoje, gdy tylko spróbuje z nas coś wyssać. Cały tydzień będzie ich męczyć kac.

- Wowka, czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz? - Powoli opadłem na schodki pod drzwiami. - Przecież to nie amerykański film! Sytuacja jest poważna. Uwierz mi, nic dobrego z tego nie wyniknie.

Wowka z urażoną miną stanął obok mnie sztywny niczym kołek.

- Wszystko doskonale rozumiem. Ale co mamy robić? Wpaść w histerię i walić głową w mur? Jaki to ma sens?

- Gdy byliśmy w domu Drakuli, nic nie miało sensu, a jakoś ci to nie przeszkadzało - mruknąłem.

- Może wezwiemy na pomoc Czarnego Płaszczka, jak już uciekniemy?

- Może byśmy wezwali go teraz?

- A po cholere? - Wowka zmarszczył czoło. - Zaraz tu przyleci i będzie nam prawil kazania. „Po co się włóczycie nocą po mieście, dlaczego nie siedzicie w domu?!”. Później bardziej się nam przyda. Przyjdzie, obije im gęby i pójdzie!

- Myślisz, że się tu zjawi?

- A co ma biedaczek zrobić? - mruknął Wowka.

Optymista z niego, daję słowo.

* * *

Na kolejne spotkanie z przedstawicielami miejscowej wilkołaczej diaspory musieliśmy czekać do około dziesiątej wieczorem. Jedyne pocieszenie stanowił fakt, że tym razem zabrałem ze sobą komórkę. (Wowka aż zaczął krzyczeć z radości, że nam ich nie pozabierali: „Wezwijmy policję, niech tu przyjedzie jakiś miły pies!"). Kazałem mu siedzieć cicho, przynajmniej na razie, póki nas nie mordują i nie biją. Zadzwonimy, kiedy już spotkamy się z tym Drakulą ze szramą). No i w razie telefonu od rodziców będę mógł z czystym sumieniem powiedzieć, że u mnie wszystko w porządku.

Około dziesiątej (zegarka nie miałem, a na komórce sprawdzać mi się nie chciało) zaskrzypiały drzwi. Siemion wsunął głowę do środka i wrzasnął:

- Wyłaźcie!

Zachowywał się zupełnie jak bohaterowie filmu *Underworld*. Czyżby oparto ten horror na faktach?

Tuż za bramą czekał na nas ciemny zagraniczny samochód, obok którego stało dwóch kafarów o twarzach nieskażonych intelektem. Nigdy wcześniej ich nie widziałem, ale kiedy jeden z nich błysnął kłami w szerokim uśmiechu, zrozumiałem, że to ochroniarze Drakuli.

I co teraz?

- Czarnego Płaszczka coś nie widać - powiedział z namysłem Wowka. - Możemy już panikować, czy jeszcze poczekamy parę minut?

Czułem, jak ogarnia mnie cichy, histeryczny śmiech, ale udało mi się go zdławić. Dlaczego to wszystko coraz bardziej mnie niepokoiło? Wiem, że się powtarzam, ale nic na to nie poradzę!

Dopiero kiedy usłyszałem za plecami krzyk, zrozumiałem, że wpakowaliśmy się w niezły burdel.

- Nie rozumiem! Gdzie jest Efim?!

Powoli odwróciłem głowę. Oprócz Siemiona, który nas tu przyprowadził, stało za mną pięciu ludzi (choć może nie tak do końca ludzi). Ciekawe, kiedy zdążyli do niego dołączyć?

- A nie mówiłem?! - Ochroniarz wyszczerzył zęby. - Dostaniecie chłopaka dopiero wtedy, gdy szef będzie miał pewność, że to właśnie ci dwaj, o których mu chodziło.

- Nie za dużo sobie pozwa...

- Zamknij mordę! - Jeden z wampirów uśmiechnął się złośliwie, odsłaniając kły. - Chyba wam zależy na życiu małego? Jeżeli to oni, jutro dostaniecie swojego Efima, a jeżeli nie - pomieszka jeszcze kilka dni tam, gdzie...

- Dość tych pogaduszek! - ryknął drugi ochroniarz Drakuli. - Wsadź tych dwóch do samochodu i w drogę.

- Ci dwaj nigdzie nie pojadą - nagle usłyszeliśmy cichy, spokojny głos, od którego przeszły mnie dreszcze. - A już na pewno nie z wami.

Nad bramą zapaliły się lampy i z rozproszonej strugami światła ciemności wyłoniła się znajoma postać Czarnego Płaszca. Chociaż wyglądało na to, że tylko nam znajoma.

- Że co? - zapytał lekceważąco wampir. - Słuchaj, zakichany tolkienisto, spadaj stąd, pókiś cały! To ciebie nie doty...

Nie dokończył. Cicho chlipnął i padł na ziemię, trzymając się za pierś, jakby jeszcze próbował wyjąć tkwiący w sercu kindżał z ciemną rękojeścią.

- Tym, którzy mają problemy z pojmwaniem, powtórzę po raz drugi i ostatni - wycedził „tatuś” Wowki. - Oni nigdzie nie pojadą.

Po chwili Czarny Płaszcz wykonał gest, jakby chciał odsłonić niewidoczną kurtynę.

Jęknąłem, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Wydawało się, jak gdyby dzięki ruchowi jego ręki wszystko, co się dotychczas działo, było jedynie sceną w teatrze, w którym odsunięta na bok kurtyna, złożona w harmonijkę niczym pofałdowany materiał, odsłoniła kawałek zupełnie innej rzeczywistości - ogromny zamek zbudowany z masywnych szarych kamieni.

- Chodźcie - powiedział do nas Drakula, wskazując budowlę (na widok której, nawiasem mówiąc, wszystkich zatkało. To znaczy nie tylko mnie i Wowkę, ale również wilkołaków i wampiry).

Mój drogi kolega, niewiele myśląc, ruszył w stronę zamku, który wyrósł przed nami nie wiadomo skąd (i który znajdował się w odległości kilku kroków), ale mnie coś tknęło. Tak po prostu pójść w nieznaną? Tym bardziej że to niemożliwe, by ten zamek naprawdę istniał! Po chwili jednak odgoniłem od siebie rozsądne myśli i skierowałem się w stronę przyciągającego swym urokiem pejzażu. Ledwie zrobiłem krok, gdy żywy jeszcze zębaty chwycił mnie za ramię i wycedził:

- A właśnie że nie! On tu zostanie i pojedzie na spotkanie z szefem. A jak będziesz się wymądrzać, sam też pojedziesz, tolkienisto zrasa...

Srebrzyste ostrze sztyletu błysnęło w powietrzu i palce, które aż do bólu ścisnęły mnie za ramię, powoli się rozgięły.

Potem poczułem, jak ktoś mnie popycha.

- Ruszaj się!

Ton, jakim zostały wypowiedziane te słowa, nie pozostawił mi wyboru. Poza tym nie miałem ochoty dłużej gawędzić z wilkołakami.

Ale, mój Boże, czyżby on znów kogoś zabił?!

- A ty byś wolał, żeby zabili ciebie? - burknął za moimi plecami Drakula.

Odwróciłem się gwałtownie. Sam nie wiem, kiedy przekroczyłem granicę dzielącą dwa światy, ale zarówno posiadłość wilkołaków, jak i szpanerski zagraniczny samochód wampirów zniknęły bez śladu.

Wokół rozpościerała się szara, jednolita przestrzeń: wyblakłe, jakby pochmurne niebo, niczym nie przypominające nieba nocą; pod nogami cicho szeleszcząca trawa; obok mnie drepczący z przejęciem Wowka, a za plecami ogromne zamczysko.

- Gdzie my jesteśmy?! - krzyknęliśmy jednocześnie.

- W fałdce świata, czwartym wymiarze, nazywajcie to jak chcecie - rzucił rozdrażniony Drakula.

- A ten ze szramą też tak potrafi? - dociekał Wowka.

- Nie.

- Dlaczego?

- Dlatego! - uciał Czarny Płaszcz, po czym wrzasnął: - Idziemy!

* * *

Równym tempem podążaliśmy za żwawo kroczącym Drakulą. Poły płaszcza powiewały za jego plecami. Nagle coś chrupnęło pod jego ciężkim obcasem, ale nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Wrota zamku były otwarte na oścież. Weszliśmy na dziedziniec. Rozejrzałem się dookoła i wtedy do mnie dotarło, co tak naprawdę przez ten cały czas trzymało mnie w napięciu (oczywiście pomijając wszechobecną szarość) - zdumiewająca cisza. Oprócz sennego szelestu srebrzystej trawy i stukotu naszych kroków nie było słychać absolutnie niczego - ani głosów, ani śpiewu ptaków. NI-CZE-GO!

- Skąd tu się wziął ten zamek? - zapytałem nieśmiało.

- Tutaj istnieje wszystko, co w zwyczajnym świecie zostało zburzone i zniszczone - odrzekł Drakula, idąc w kierunku kolejnych drzwi.

- To twój dom?

- Można tak powiedzieć.

Nie zrobił najmniejszej uwagi na temat tykania jego wrażliwej osoby!

- W takim razie gdzie są hobbici w maskach przeciwgazowych? - Wowka nie dawał za wygraną.

Drakula zatrzymał się tak gwałtownie, jak gdyby tuż przed nim wyrosła kamienna ściana (o mało na niego nie wpadłem), a potem odwrócił się powoli.

- Kto?! - Ton, jakim zadał to pytanie, nie wróżył niczego dobrego ani Wowce, ani jego hobbicom.

Co oczywiście nie skłoniło mojego szanownego kolegi do zastanowienia i jak gdyby nigdy nic, ciągnął dalej:

- Nie pamiętam, jak się na nich mówi. W *Van Helsingu* po zamku biegali. Jeszcze nimi taki dziwaczny garbus komenderował, jak mu było? Egan? A może to ktoś z *Ghost Busters*?

Drakula podszedł do Wowki i wycodził przez zaciśnięte zęby:

- Zapamiętaj sobie: tu nie ma żadnych hobbiców w maskach przeciwgazowych, Igorów ani seksownych wampirzyc! - Ale numer, wychodzi na to, że zna współczesną kinematografię! - Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?!

Wowka pospiesznie kiwnął głową, a gospodarz zamku, uzyskawszy pewność, że nie usłyszy więcej głupich żartów, odwrócił się i ruszył przed siebie.

- A tych wszystkich fantastów ze Stokerem na czele powinno się wbijać na pal!

Wowka zakaszlał nerwowo. Chyba chciał powiedzieć coś „rozsądnego, miłego i prawdziwego”.

Zaczynałem podejrzewać, że ta wycieczka po zamku odrobinę się przeciągnie.

* * *

Co za ulga! Wycieczki nie było. Ponury jak diabli Drakula zaprowadził nas na koniec jednego ze skrzydeł zamku. Weszliśmy do pokoju, w którym wisiały dziesiątki przeróżnych eksponatów militarnych. Na pożegnanie rzucił:

- Możecie wybierać - i poszedł w cholerę.

Kątem oka spojrzałem na głośno zatrzaśnięte przez Drakulę drzwi. Odchrząknąłem, a potem zacząłem się przechadzać wzdłuż ściany, oglądając broń z zainteresowaniem. Czego tu nie było! Zachodnioeuropejskie średniowieczne kindżały, miecze z asymetrycznymi rękojeściami, szable z purpurowymi temblakami, cienkie sztylety... Potem wszelkiego rodzaju gwiazdy, trójzęby i inne rodzaje nietypowej broni białej, a na samym końcu broń palna, między innymi pistolety PM i tetetki.

- Nie rozumiem - ożywił się milczący do tej pory Wowka. - Co mu nie pasuje w tych fantastach? Stoker mu na odcisk nadepnął? W *Drakuli* przy tych palach taki staruszek Abraham biega!

- Wowa! - Przerwałem oglądanie śmiercionośnych zabawek. - Czego ty znowu nie rozumiesz? A tobie by się podobało, gdyby za pięćset lat jakiś fantast napisał, że pod koniec dwudziestego wieku żył niejaki Władimir Dan, maniak, degenerat i w ogóle baran?

- Wtedy będzie mi już wszystko jedno!

- Jesteś pewien?

Wowa zrobił obrażoną minę.

- No dobra, Stoker to Stoker! A ode mnie czego chce ten koszmar z ulicy Wiązów? Zażartowałem parę razy, a on mnie traktuje jak wroga narodu.

Ostrożnie odwiesiłem miecz, który przed chwilą oglądałem (ostrze długie? - długie, proste? - proste, jelec jest? - jest; znaczy miecz. Na pozostałych szczegółach broni białej się nie znam). Spojrzałem uważnie na Wowkę, dobierając w myślach odpowiednie słowa.

- Jak by ci to powiedzieć... Czytałeś te dokumenty, które ci skopiowałem?

- Przejrzałem - beztrąsko bąknął Wowa, wymachując innym mieczem i o mały włos nie odrąbując sobie głowy. - No dobra! Nie miałem czasu!

Westchnąłem. Zadanie było trudniejsze niż przypuszczałem.

- Chodzi o to, że... nie wiem, który z tych dwóch jest prawdziwym Władem Palownikiem, a który tylko udaje, ale Drakula jako postać historyczna to prawdziwy bohater narodowy, który walczył o niepodległość swojego kraju. Co prawda początkowo na tron Wołoszczyzny wynieśli go Turcy, ale potem... Gdybyśmy mieli porównać historię Rumunii i Rosji, Wład Palownik był dla swojego narodu kimś, kim dla nas są Minin i Pożarski razem wzięci. Na południowym wschodzie Rumunii do tej pory istnieje miasto o nazwie Vlad Tepes. Myślisz, że ta nazwa zachowałaby się tak długo, gdyby nic dla narodu nie znaczył? Z tego co wiem, imieniem Iwana Groźnego,

który zresztą według legend uwielbiał czytać „Opowieść o wojewodzie Drakuli”, żadnego miasta nie nazwano. A jeżeli nawet, teraz i tak nazywa się inaczej, dam głowę!

Wowka jedną ręką zaczął pocierać podbródek, w drugiej wciąż trzymając miecz.

- A jeśli to wszystko, co mi opowiadałeś o tych okrucieństwach, to prawda? W takim razie co z niego za bohater?

- Wowa, sam pomyśl - historia bywa zdradliwa. Po pierwsze wszystko, co można znaleźć w rękopisach, zostało napisane przez zwycięzców. Po drugie przypuścimy nawet, że to prawda. Gdybyśmy na to spojrzeli z punktu widzenia przeciętnego obywatela, okazałoby się, że Sankt Petersburg jest miastem zbudowanym na kościach, że Che Guevara to zwyczajny terrorysta, taki sam jak ben Laden czy al-Chattab, a Juliusz Cezar to niegodziwiec, który - co można wyczytać w jego dziele „O wojnie galijskiej” - brał zakładników podczas swych podbojów, tak samo zresztą, jak później robiło imperium osmańskie. Co w tym wszystkim najdziwniejsze, to fakt, że Cezar jest dobry, a Mehmed II Zdobywca - zły. Podobne przykłady można mnożyć bez końca!

* * *

Zabawne. W momencie, kiedy to, czego tak bardzo pragnąłeś, jest na wyciągnięcie ręki, zaczynasz się czuć pusty w środku. Jak rozbity dzban.

Mówią, że zemsta najlepiej smakuje na zimno. Sam nie wiem... Teraz, gdy od zwycięstwa dzieli mnie zaledwie krok, dusza zdaje się być popiołem, resztkami pozostawionymi przez dawno ugaszony pożar.

Zemsta, słodkie słowo. Ale co będzie potem, kiedy już doczekam tej chwili, na którą czekałem ponad pięć wieków?

Linia życia znów zmieniła swój bieg. Tylko co się stanie, gdy nastąpi ten nagły zwrot?

Do licha! Nikt nie może MNIE takim zobaczyć!

* * *

Nagle skrzypnęły zawiasy i drzwi z hukiem uderzyły o ścianę. Podskoczyłem ze strachu. Mało brakowało, a wyleciałby mi z rąk ciężki sztylet.

- Wybraliście coś? - zapytał Drakula głosem tak ponurym, jakbyśmy to my go tutaj zaciągnęli, a nie on nas.

Odwrociłem się powoli w jego stronę.

- Szczerze mówiąc, nie rozumiem, do czego nam to...

Nie dokończyłem, gdyż w tym samym momencie Wowka postanowił upuścić jakąś cudaczną kuszę z dwiema metalowymi płytkami zamiast cięciwy (oczywiście trafiając w nogę, na szczęście tym razem własną). A jakim kwiecistym zdaniem nas uraczył! Co prawda było krótkie, ale za to pełne emocji. Nawet szewc by mu pozazdrościł inwencji!

- Już? - beznamiętnie zapytał Drakula.

Wowce nie pozostało nic innego, jak tylko umilknąć. Cicho pojękując, odwiesił broń na ścianę, tak jak ja przed chwilą sztylet, po czym odezwał się niezadowolony:

- I po co było te żelastwa wieszać gdzie popadnie? A w ogóle po jaką cholere mamy sobie coś wybierać?

Na twarzy Czarnego Płaszczka zawitał krzywy uśmiech.

- Wolicie nie mieć przy sobie broni? Wasze prawo. - Nie zapytał nawet, czy umiemy się tym wszystkim posługiwać. Najwidoczniej wszystko działało tu na zasadzie: „nasza sprawa proponować, wasza - odmówić”. - Idziemy.

- Dokąd?

- Tam, dokąd mieliście iść dziś wieczorem.

- To znaczy?! - krzyknęliśmy z Wowką jak na komendę.

- Do tego typu ze szramą? - A to zdanie wypowiedział już tylko kolega Dan.

- Dokładnie.

- Ktoś tu oczadział?!

Nie bardzo wiedziałem, czy było to pytanie, czy raczej stwierdzenie, chociaż co do treści zgadzałem się w pełni.

Drakula spojrział na nas uważnie.

- Chcecie - dosłownie wycedził przez zęby - do końca życia się przed nim chować? Drzeć z powodu każdego szmeru w nocy?

Okej, przyznaję, nie chcę, ale iść do tego zębatego to jeszcze większe wariactwo. Tak czy inaczej jednak ani ja, ani Wowka nie zdążyliśmy wyrazić swojej opinii. Drakula diametralnie zmienił ton:

- Chociaż... - Jego oczy rozbłysły. - Może zdamy się na ślepy los? - W jego dłoni nie wiadomo skąd pojawiła się nagle ciężka moneta. - Jak wypadnie orzeł, idziecie ze mną, a jak reszka, dokąd chcecie. Zgoda?

Jasne, prędzej się dwie niedziele zejdą w środę!

Swoją drogą ciekawe, czy to właśnie tę monetę pozostawiano na ulicy Târgoviște, by sprawdzić, ilu jest w mieście złodziei.

- Zgoda - mruknął.

Mój drogi kolega spojrzał na mnie jak na wariata, a ja wzruszyłem ramionami. I tak wątpiłem, by miał nas puścić wolno, jeśli wypadnie reszka, więc dlaczego nie spróbować?

- Okej - westchnął Wowka.

Ciężka, źle wypolerowana moneta zawirowała w powietrzu. Drakula złapał ją w locie, po czym otworzył pięść. Wypadł orzeł - zobaczyłem dziwnego ptaka, stojącego na koronie i trzymającego w dziobie sześć - lub ośmioramienny krzyż. Dziwny herb, cokolwiek by mówić.

Gwałtowna komenda przerwała moje rozmyślenia:

- Idziemy!

Moneta zniknęła tak samo nieoczekiwanie, jak się pojawiła.

Westchnąłem ciężko. Wciąż nas gdzieś ganiają, koszmar! W przeciwieństwie do mnie, Wowka nie umilkł:

- Można zadać pytanie?

- Nie!

- Ale tylko jedno?

- Nie!

- Ale słowo honoru, że tylko jedno jedyne ostatnie! - nie dawał za wygraną. W zamyśleniu podrapał się po głowie i zapytał: - Dlaczego wtedy, kiedy nam za pierwszym razem pomagałeś uciec, nie skorzystałeś z tego samego sposobu co teraz?

Zabawne, ale mnie nawet coś takiego nie przyszło do głowy.

Drakula zaczął się przyglądać Wowce długo i wnikliwie, jakby rozważał w myślach, czy warto odpowiadać na to pytanie, a potem cicho bąknął:

- W ogóle nie miałem zamiaru wam tego pokazywać.

- Dlaczego?

- Ostatnie pytanie już padło - warknął. - Idziemy!

Do stu diabłów, jak ten Czarny Płaszcz to robi?! Kiedy opuściliśmy zamek i znów uniósł rękę, by odciągnąć zasłonę czasu (żebyście nie myśleli, że nie potrafię używać wysokiego stylu!), zamiast wylądować pod siedzibą wilkołaków, znaleźliśmy się niedaleko willi tego, jak go określił Wowka, typa ze szramą.

Drakula zdecydowanie zastukał we wrota. Chociaż zastukał to w tym przypadku eufemizm - od jego walenia podniósł się taki łomot, że hej. Umarłych postawiłby na nogi.

Chwilę później po drugiej stronie płotu rozległo się pobrzękiwanie kluczy (co na tle wcześniejszego hałasu zabrzmiało niczym dźwięczne dzwoneczki), po czym na ulicę wyrzwał... Komar, czyli ten sam kafar, któremu Wowka swego czasu poprawił fizjonomię. Nie dostrzegłszy ani mnie, ani Wowki, zapytał nader uprzejmym tonem:

- Czego?

- Chcę się widzieć z twoim panem - wycedził Czarny Płaszcz.

- Szef nie przyjmuje. - Wampir wyszczerzył zęby, próbując zatrzaskać drzwi.

Nie udało mu się tego zrobić. „Tatko” Wowki chwycił go za kołnierz tak mocno, że biedaczek natychmiast posiniał.

- Nie pytam, czy przyjmuje czy nie! Chcę go widzieć!

- Nie... będzie... chciał... - próbował perswadować wampir, z trudem cedząc słowa.

- Słyszałeś o Rollanie z rodu Klaris? - nadspodziewanie spokojnym tonem zapytał Drakula.

- Aha.

- Chcesz pójść w jego ślady?

- Już prooowadzę do szefa.

Drakula powoli rozgiął palce i z obrzydzeniem otrzepał dłoni. Komar wreszcie ustąpił, otworzył szerzej wrota i wpuścił nas do środka. Żebyście widzieli jego wzrok, kiedy wreszcie zauważył mnie i Wowkę!

- No? - warknął ponaglająco Drakula.

- Chodźcie za mną. - Komar odwrócił się i ruszył w kierunku domu, rzucając na odchodnym: - Karl, zamknij wrota!

* * *

Kiedy szliśmy schodami na górę, szeptem zadałem Drakuli pytanie, nie licząc zresztą na odpowiedź:

- A kto to jest Rollan? - Imię brzmiało dziwnie znajomo, ale nie mogłem skojarzyć, gdzie i kiedy je usłyszałem.

Może się to wydać dziwne, ale odpowiedź uzyskałem. Co prawda dość enigmatyczną.

- Zginął pięć dni temu na waszych oczach.

Chodzi o tego sympatycznego chudzielca? Pewnie tak.

Więcej pytań nie padło.

Drakulę Pierwszego zastaliśmy na trzecim piętrze w ogromnym pomieszczeniu, które pełniło rolę biblioteki. Wzdłuż ścian, od podłogi aż po sufit, ciągnęły się regały z książkami. W pobliżu drzwi stała głęboka, wygodna wersalka, a w kącie błękitnym światłem błyszczał ekran płaskiego monitora. Gospodarz domu, ubrany w prosty, dodający powagi czarny garnitur, siedział w fotelu, niespiesznie sączył pąsowy napój ze złotego (czy pozłacanego) kielicha i wertował strony książki oprawionej w skórę.

To wszystko zdołałem dostrzec w tym krótkim czasie, kiedy już znaleźliśmy się w pokoju, ale jeszcze zanim Komar zdążył niezręcznie oznajmić:

- Szefie, to oni. Chcieli...

Wampir oderwał wzrok od książki i powoli uniósł głowę. Nagle z całej siły zacisnął szczęki, a cienka blada szrama na jego twarzy nabrała kolorów.

- Won!

- Ale szefie, ja ich tylko przyprowadziłem. Nie mam z tym nic wspólnego, oni...

- Poszedł won!

Komar nagle się ulotnił, jakby zdmuchnął go wiatr. Zapanowała długa, dziwna, szemrząca niczym potok cisza, w którą nagle wdarł się głos Czarnego Płaszczaka:

- Dobry wieczór... Radu.

CZEŚĆ CZWARTA

**OBEJRZELI PAŃSTWO
STO PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY ODCINEK...**

I znów martwa cisza. Nie wiem jak Wowka, ale ja wciąż analizowałem w myślach wszystko, co przed chwilą usłyszałem. To imię... O ile mnie pamięć nie myliła, tak nazywał się brat Włada Palownika, ale... to przecież nie mógł być on! A może jednak?

- Witaj, Wład. Dawno się nie widzieliśmy - mruknął wampir z nutką zadziorności w głosie.

Wyraz twarzy Czarnego Płaszcza pozostał beznamiętny.

- Nie mogę powiedzieć, że to spotkanie mnie cieszy.

Radu (swoją drogą ciekawe, dlaczego przedstawił nam się jako Wład?) pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Wzajemnie, bracie, wzajemnie.

A jednak! Tylko jak to możliwe? Przecież pamiętam doskonale - w tych artykułach, które znalazłem w Internecie, wyczytałem, że Radu Piękny rządził Wołoszczyzną po Władzie Palowniku. No i przydomek „Piękny” jakoś nie pasował do gościa ze szramą na całą gębę.

Za moimi plecami skrzypnęły drzwi i do pokoju wpadł znany mi z widzenia kafar. Potrącił mnie, a po chwili, z lekceważeniem odsunawszy Wowkę i Drakulę (o ile Wowka tylko chrząknął, Drakula wyraźnie się rozżłościł) wciągnął za rękę młodą dziewczynę. Ania?! Skąd ona się tu wzięła?!

Kafar pchnął Anię pod ścianę i oznajmił głośno:

- Szefie, ta mała obserwowała dom.

Obserwowała? Z jej charakterem turgieniewskiej hrabianki? W życiu nie uwierzę!

- Poszedł won! - rzucił zniecierpliwiony Radu. (Uprzejmy, aż słów brak! Widać to cecha rodzinna).

Kafar najwyraźniej uznał, że nie zyska zbyt wiele na kłótni z szefem, bo postanowił jak najszybciej zniknąć mu z oczu. Wyciągnąłem do Ani rękę.

- Nic ci nie jest?

- Nie. - Posłała mi delikatny uśmiech.

- Co ty tu robisz? - wtrącił się jak zwykle zbyt ciekawski Wowka.

Ania spojrzała na niego spod rzęs i nagle obląła się rumieńcem.

- Widzisz...

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej.

- Szef?! - jak uderzenie bata zabrzmiał lodowaty głos Włada (całe szczęście, że w końcu określili, który jest który). - Co to za zwrot? Aż tak nisko upadłeś, Radu?

- Ja?! Jak śmiesz! To przez ciebie tak skończyłem! To twój hajduk rozciął mi szablą twarz, a ty...

Następnie popłynęły obce słowa, których nikt z nas nie rozumiał.

Kilka lat temu miałem do czynienia z greką w mowie. Język, którego używały obydwaj wampiry, przypominał właśnie grecki, chociaż z pewnością nim nie był. Z drugiej jednak strony czytałem kiedyś, że greka pod względem brzmienia nie różni się wiele od tureckiego - mam na myśli wyłącznie melodykę i rytmiczność, a nie znaczenie słów - choć oba te języki należą do zupełnie różnych gałęzi języków indoeuropejskich.

A mama dobrze radziła: „Andriej, weź turecki jako trzeci język, będziesz mi Tarkana tłumaczył”.

Radu wykrzyczał dość długie zdanie, na chwilę umilkł, po czym znów wybuchnął. Tym razem używał języka z obszaru pomiędzy wschodnią a zachodnią Europą, biorąc za punkt odniesienia miejsce pochodzenia obydwu wampirów.

A Romek słusznie podpowiadał: „Andriej, weź rumuński jako trzeci język, będziesz mi teksty O-Zone przekładał”.

W pewnym momencie Radu musiał głęboko zaczerpnąć powietrza. Wład wykorzystał chwilę ciszy i przemówił. W odróżnieniu od Banderasa, nie podnosił głosu, choć jego krótkie, dobitne zdania powodowały, że Radu Piękny co chwila bladł i zaciskał pięści. Drakula najpierw wypowiedział kilka słów po rumuńsku, a potem kilka zdań po turecku. Na koniec popłynęła czysta niemczyzna (co prawda trochę przestarzała, ale zawsze) i dopiero wtedy zrozumiałem, dlaczego twarz Radu tak gwałtownie zmieniała kolory.

Niemiecki to nie mój konik, zresztą tak samo jak i angielski. Wolę francuski - język Dumasa, Hugo i de Bergeraca. (Tak na marginesie, gdyby pogrzebać w ich dziełach, można by znaleźć mnóstwo ciekawych treści. Powróćmy jednak do tematu).

Z tego co mówił Wład, nie rozumiałem zbyt wiele, ale zawsze coś.

Najpierw powiedział, jak by to delikatnie ująć... że miał intymne stosunki z Radu. Potem dodał, że matka Radu była damą lekkich obyczajów, a następnie rzucił coś o tym, że najchętniej widziałby go „w grobie i w białych trumniakach”. Zakończył długim monologiem, ale z tych rozbudowanych zdań nie udało mi się niczego wyłowić.

Odrobinę ośmielona Ania pociągnęła mnie za rękaw i zapytała szeptem:

- Andriej, masz być tłumaczem, prawda?

- No tak - przytaknąłem, nie rozumiejąc, do czego zmierza.

- A wiesz, o czym oni rozmawiają?

Zesztywniałem. Przecież nie mogłem używać przy kobiecie tak obscenicznych wyrazów, nawet jeśli miało to być tylko tłumaczenie! Inaczej mnie wychowali...

Stojący obok Wowka zachichotał złośliwie. Na swoje nieszczęście nauczyłem go kiedyś kilku podobnie brzmiących słów - jeśli nie konkretnie tych, to na pewno z taką samą podstawą.

Wład kontynuował monolog, Wowka nie posiadał się z radości, a Ania patrzyła na mnie błagalnym wzrokiem. Raz kozie śmierć! W końcu jest ze mnie tłumacz czy nie?

Westchnąłem i zacząłem cicho:

- Mówi: „Mój kochany bracie!”. - Przecież miłość można rozumieć na wiele sposobów, więc nie skłamałem! W tym miejscu przypomniałem sobie wzmiankę na temat matki Radu, więc natychmiast poprawiłem: „Mój kochany przyrodni bracie!” - przy czym, kierując się rozsądkiem, nie wypowiedziałem głośno słów „cieszę się, że cię widzę”.

Moje tłumaczenie sprawiło, że nawet sam Drakula umilkł.

- Wiesz, Andriej - w zamyśleniu stwierdziła Ania - odnoszę wrażenie, że to tłumaczenie nie jest do końca poprawne.

Chrząknąłem cicho. Tłumaczenie akurat było jak najbardziej poprawne, a że nie całkiem dosłowne, to już inna sprawa.

Po tym wszystkim, co zostało powiedziane, pierwszy uspokoił się Radu. Rozciągnął usta w złośliwym uśmiešku i już chciał chlapanąć coś niekoniecznie miłego, gdy nagle do pokoju wpadł następny zębaty. Drakula znów oberwał klamką po plecach. Wampir, którego widzieliśmy po raz pierwszy, rzucił krótko:

- Idzie! - I wyszedł.

Radu wyraźnie spoważniał. Zaraz jednak uśmiechnął się szeroko i szybko powiedział:

- Wiesz, Wład, wydaje mi się, że trochę przesadziliśmy. Być może nie do końca mam rację. Musimy dokończyć tę rozmowę, ale nie teraz, bo mam dużo pracy. Przełożmy ją na później.

Nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Najpierw pan Piękny urządził awanturę, potem wysłuchał wiązanki obelg, których nie powstydziliby się szewc, a na koniec z serdecznym uśmiechem prosi o przełożenie rozmowy? Może to tylko moje wrażenie, ale dałbym sobie łeb uciąć, że nie mówił tego szczerze.

Drakula chyba myślał podobnie.

- Nie mam zamiaru przerywać tej rozmowy - syknął. - I tak zbyt długo czekałem. Dokończymy ją tu i teraz!

Uśmiechu, jaki zagościł na twarzy Radu, mógłby mu pozazdrościć największy łajdak.

- Doprawdy? Z pewnością chciałbyś się dowiedzieć, co słychać u Lidii. To jak, dogadamy się? Moi ludzie odprowadzą cię do jednego z pokoi gościnnych. Poczekasz tam cierpliwie, to o niej porozmawiamy. Przecież po to tutaj przyszedłeś?

Niech mi ktoś wyjaśni po naszymu i przystępnie, kto to jest Lidia i dlaczego Wład Palownik miałby chcieć o niej rozmawiać. I to w dodatku TAK BARDZO, że nie może od razu ukrećić łba temu wampirowi, tylko musi się z nim cackać?

- Anka. - Wowka trącił dziewczynę łokciem. - Lubisz seriale?

- Chyba tak - odparła Ania ze zdziwieniem.

- Świetnie! W takim razie patrz uważnie. Za chwilę zacznie się pięć tysięcy siedemset sześćdziesiąty drugi odcinek opery mydlanej pod tytułem „Bogaci ryczą wniebogłosy”.

Całe szczęście, że główni bohaterowie nie usłyszeli tej uwagi.

Nastała cisza. Martwa cisza, którą w końcu przerwał beznamiętny głos Drakuli:

- Poczekam.

* * *

Idzie. Ona. Idzie. Tak powiedział jeden z nowych. Idzie. Jeszcze chwila i wejdzie do pokoju. Wejdzie i go zobaczy, a wtedy wszystko stracone. Zemsta od ponad pięciu wieków tkana misternie niczym koronka porwie się jak pajęczyna. Nigdy! Nie mogę pozwolić, by się spotkali! Nie mogę!

Muszę ukryć głęboko gniew, nienawiść, rodzinną dumę (o honorze po tym, co się działo na dworze Mehmeda II, nawet nie wspominam!), uśmiechnąć się łagodnie... I poprosić o przełożenie rozmowy.

* * *

Zaprowadzono nas do pokoju gościnnego przypominającego ten, w którym całkiem niedawno chowaliśmy się z Wowką przed uźębioną damą i kafarem Karlem

(chodzi o pokój z epoki upadku z niezłej wysokości). Istotnym elementem, jaki odróżniał to pomieszczenie od poprzedniego, była miękka wygodna wersalka, na którą klapnęliśmy równocześnie wszyscy troje (ja, Wowka i Ania), jak tylko weszliśmy do środka. Wład musiał się zadowolić fotelem, chociaż trzeba przyznać, że nie wyglądał z tego powodu na niezadowolonego. Nie zdenerwował go również fakt, że drzwi zostały zamknięte na klucz i to na cztery spusty.

Jeżeli ktoś tu panikował, to na pewno ja. Nie wiedziałem, co to za Lidia i dlaczego to takie ważne, żeby się o niej czegoś dowiedzieć. I wcale nie miałem ochoty iść do żadnego pokoju. Wolałem zostać w bibliotece i zobaczyć, jak się to wszystko skończy, ale... No właśnie, kto tu rządzi? Zgadza się - Wład! I tak nikt nie zwróciłby na mnie uwagi. A skoro o tym mowa...

- Kto to jest Lidia? - zapytałem.

Drakula z poważną miną patrzył przed siebie.

- Ta sprawa was nie dotyczy - odpowiedział niegrzecznie.

Aha, jakoś mam co do tego wątpliwości. Chwila! Istnieje przecież takie fajne i miłe zjawisko jak telepatia. Kilka razy mi się udało, więc dlaczego nie teraz?

Podczas gdy Wowka i Ania oglądali pokój, ja wlepiłem wzrok w Drakulę, próbując przeniknąć go na wskroś. Powtarzałem bezgłośnie: „Chcę poznać twoje myśli! Chcę poznać twoje myśli! Chcę...”.

Nagle poczułem, jakby ktoś wymierzył mi porządny policzek, od którego aż mnie odrzuciło. Przed oczami zawirowały kolorowe kółka, a w głowie zagrzemiał rozzłoszczony głos: „Idiota!”.

Ale mnie boli głooowa...

- Andriej, co ci jest?! - Wystraszona Ania potrząsała moim ramieniem.

- Nic - odparłem z trudem. - Wszystko w porządku.

Moja biedna głowaaa!

- Telepatia nie istnieje - cicho oznajmił Czarny Płaszcz. - Oczywiście czasem można uchwycić czyjąś myśl, ale tylko wtedy, kiedy jest skierowana właśnie do ciebie, a nie wtedy, gdy dotyczy czegoś zupełnie innego.

Aha, a wcześniej nie można było mi tego powiedzieć?!

- O co chodzi? - zaciekawił się Wowka. - Coś mnie ominęło? - Nie uzyskawszy odpowiedzi, westchnął cicho: - No tak, jak tylko dzieje się coś ciekawego, ja o niczym nie wiem.

* * *

Ciche kroki, szelest sukni.

- Słyszałam jakieś hałasy?

To nie zabrzmiało jak pytanie, raczej jak stwierdzenie. Wszystko, na co było go stać, to krzywy uśmiech.

- Wydawało ci się.

- Czyżby?- W jej głosie po raz pierwszy od dłuższego czasu pojawiła się ironia.

- Powiedzmy, że to nic takiego. Po prostu przyszli nieproszeni goście, ale odesłałem ich, więc nie będą cię więcej niepokoić.

Dziewczyna z niedowierzaniem uniosła brew.

- To wszystko, co masz mi dopowiedzenia, Radu?

- A co byś jeszcze chciała usłyszeć?

Wzruszyła ramionami i powolnym krokiem wyszła z biblioteki.

* * *

Udało się. Lidia nie ma pojęcia, KTO U nas przebywa, a Wład nie wie, gdzie jest Lidia. Pierwsza bitwa wygrana. Trzeba tylko uważać, by nie przegrać wojny, by wszystkiego nie zepsuć. Posiedzę tu jeszcze z pół godziny, przejrzę książki...

Najważniejsze, że uwierzyła.

A Wład niech się trochę podenerwuje. Dobrze mu to robi.

W końcu nie tylko on czekał na tę noc ponad pięć wieków.

* * *

Kłamie. Wszystko, co mówi, to jedno wielkie kłamstwo. Gdyby tak nie było, patrzyłby mi w oczy. Ci nowi muszą coś wiedzieć.

Wątpliwość powoli opadła na ramię strażnika, który stał nieruchomo pod drzwiami biblioteki.

- Jakich gości ma Radu?

- Nie wiem! Słowo! - wyznał złęczony wampir.

- Nie wiesz? - zapytała cichym łagodnym głosem, wyzwajającym jeszcze większy strach. - A wiesz, że powtórna inicjacja nie jest możliwa i ten, z którego

krw zostanie wyssana po raz drugi, staje się szaleńcem, odejmuje mu mowę, słucha rozkazów tego, kto go skosztował? Jej usta znalazły się niebezpiecznie blisko szyi wampira.

- Powiem! Wszystko powiem!

* * *

Wowka bez trudu znalazł sobie nowy temat do dyskusji.

- Anka, jak ci się udało znaleźć ten dom?

Bingo! Przecież Ania nie widziała domu z zewnątrz, cały czas była nieprzytomna.

Kiedy dziewczyna upewniła się, że na razie nie zamierzam wpaść w ciężkie omdlenie, spojrzała na Wowkę i pociągnęła nosem. Najprawdopodobniej rozważała, czy warto zacząć histeryzować. Chyba doszła do wniosku, że nie, bo tylko westchnęła.

- Ostatnim razem trafiłam tutaj z pobliskiej ulicy. Szłam spokojnie, nikogo nie zaczepiałam, aż tu nagle drogę zastąpił mi wielki facet, w dodatku z wystającymi kłami. A teraz znowu tu jestem. Wczoraj obserwowałam inny dom, dzisiaj ten. Tak po kolei. Wiesz, jak się bałam?

- W takim razie po co to robiłaś? - nie odpuszczał Wowka.

- Mam praktykę w wydawnictwie...

- Nic nie rozumiem. Co to za praktyka, że trzeba się do domu wampira pchać? W szkole dla początkujących pogromców zła? A może ktoś tu uważa, że jest najmądrzejszy, w wampiry nie wierzy, a wszystko, co się wokół dzieje, to jeden wielki wymysł? Lepiej mi powiedz, moja droga, gdzie taką trawkę dostałaś, może też skorzystam!

- To nie mój wymysł. - Ania spuściła smutne oczy i nerwowo poprawiła koronkę spódnicy. - To wymysł mojego kierownika praktyki. Studiuję dziennikarstwo, a kierownik twierdzi, że w mieście grasuje stado wampirów. Powiedział, że musimy zdobyć na to dowody, bo inaczej nie tylko nie dostaniemy piątek, ale nawet o trójkach będziemy mogli zapomnieć. A ja przez te wszystkie lata miałam najwyższe stypendium naukowe! - głosik jej się załamał. Wyglądało na to, że czas na etap pod tytułem „o, ja biedna, nieszczęśliwa, kto mnie pożałuje?”

Wowka natychmiast złagodniał. Chyba ją rozumiał (nic dziwnego zresztą, miał to na co dzień z Aśką).

- Anka, tylko nie płacz! Lepiej mi powiedz, jak ten twój kierownik się nazywa.

- Chodyncew - chlipnęła dziewczyna. - Dymitr Wasiliewicz.

O rety, co za zbieg okoliczności!

Wowce jakoś dziwnie zabłysnęły oczka.

- A to ciekawe... Mam dla ciebie propozycję - gdy stąd wyjdziemy, postaram się, żebyś miała normalną ocenę z praktyki, a w zamian ty spełnisz jedną moją małą prośbę.

- A możesz to zrobić? - nieufnie zapytała dziewczyna, wycierając łzy.

- Bardzo się postaram! - niemal przysiągł Wowka.

Ania chrząknęła z niedowierzaniem i spuściła oczy.

- Słowo honoru! - nie rezygnował. - Z tym Chodyncewem pracuje mój ojczym. Co prawda mam z nim na pieńku, ale... ale dla ciebie zrobię wszystko!

Ciekawe, dlaczego kierunek tej rozmowy jakoś mi się nie podobał...

- A czego chcesz w zamian? - ostrożnie zapytała Ania.

- Nic takiego, naprawdę. Krótko mówiąc, ma to związek z pewnym ślubem.

- Z ja-a-akim ślubem? - wyjąkała.

- Wyobraź sobie, że nagle postanawiasz wyjść za mąż.

Zabiję go! Nie będę czekał, aż Radu wysie z niego całą krew, tylko go na miejscu uduszę! I to nie dość, że gołymi rękami, to jeszcze własnymi!

Tymczasem Wowka rzucił mi drwiące spojrzenie, po czym ciągnął:

- Dla ciebie to naprawdę drobnostka. Chodzi o to, żebyś na obrączce Andr... narzeczonego - proszę, jaką siłę perswazji ma czasem pokazana za plecami pięść - zamiast tych głupot typu „kocham, całuję, czekam”, kazała wygrawerować coś bardziej normalnego.

Skończyło się! Już jest trupem!

- Bardziej normalnego? - dopytywała Ania.

- Och, nic takiego. Słuchaj, w czasie ślubu narzeczonemu zakłada się na palec obrączkę, tak? Tak. Czyli jaki on wtedy jest? Doskonale! Zaobrączkowany! A co się pisze na obrączce zwierzątka? Tak jest: „Dany egzemplarz został wyłowiony o takiej to a takiej godzinie, takiego to a takiego miesiąca i roku, w takim to a takim miejscu. W przypadku nieusankcjonowanego odłowu - ukatrupić” - triumfalnie zakończył Wowka.

Szczęka opadła mi do samej podłogi.

Powiedzcie, do czego on właściwie zmierza, co?!

* * *

Nagle cicho otworzyły się drzwi. Nie skrzypnęły zawiasy i nie szczęknął zamek, nic z tych rzeczy. Łagodny głos przerwał beztroską paplaninę Wowki:

- Powinnaś była odgadnąć, że to ty.

Odwróciłem się na dźwięk tych słów. W drzwiach stała młoda, nadzwyczaj blada kobieta, ta sama zresztą, której portret tak bardzo poruszył Drakulę podczas naszej ostatniej wizyty w tym miejscu. Pozwólcie mi zgadnąć - Lidia?

Chciałbym się jeszcze dowiedzieć, co w niej było takiego osobliwego?

Jestem pewien, że Wowce przyszło do głowy podobne pytanie (myślałby kto, że go nie znam), ale zanim mój szanowny kolega zdążył coś palnąć, Wład rzucił nam krótkie spojrzenie. Poczulem ukłucie bólu, a potem usłyszałem w głowie głos:

„Nie wtrącajcie się! Cokolwiek by się działo, nie wtrącajcie się!”. Au, mój łeb!

Mina Wowki mogła świadczyć, że nie tylko ja otrzymałem to ostrzeżenie.

Ależ mnie łupie pod czerepem! I po co mi to wszystko? Odpowiedź - „sam jesteś sobie winien, nie trzeba było próbować zaglądać w cudze myśli” - spowodowała kolejny atak bólu.

Królestwo za aspiryne!

No cóż, jak się nie wtrącać, to nie wtrącać. Ścisnąłem mocniej rękę Ani. Już ja znam te dziewczyny, najpierw mdleją, a później udają bohaterki!

Cisza, jaka zapanowała, dosłownie mnie przygniotła.

- Powinnaś była - niespodziewanie odezwał się Wład. - To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

Dziewczyna przestąpiła próg, zostawiając za drzwiami nerwowo drepzczących w miejscu ochroniarzy.

- Wszystko? - Na jej twarzy zagościł drwiący uśmiezek. - O nie!

Przeszła przez pokój i zatrzymała się naprzeciwko Drakuli.

- Nienawidzę cię, Wład - oznajmiła dobitnie. - Słyszysz? Nienawidzę! Nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile lat czekałam, żeby to powiedzieć!

Wowka drgnął.

- Wiesz, Ania, nie miałem racji. To nie meksykański serial, tylko brazylijski!

Nie zauważyłem reakcji aktorów na wypowiedzianą przed chwilą kwestię, zbyt byli pochłonięci własnymi. Twarz Drakuli nie wyrażała żadnych emocji.

- Naprawdę, Lidio?

Czyli nie pomyliłem się co do imion.

- Tak! - wrzasnęła kobieta, patrząc na niego z góry. - Nienawidzę cię! Nienawidzę z całego serca! Przez ciebie stałam się tym, czym teraz jestem!

- Przeze mnie? - zapytał szczerze zdziwiony Drakula. - Nie ja cię uaktywniłem!

Lidia roześmiała się cierpko.

- Uważasz, że to coś zmienia? Co za różnica, kto wyssał moją krew, jeśli stało się to z twojej winy? Wyjechałeś z Târgoviște! Jakaś mrzonka o niepodległości Wołoszczyzny była dla ciebie ważniejsza od własnej żony!

Ale się porobiło...

Tymczasem Lidia mówiła dalej:

- Zostawiłeś mnie! Porzuciłeś na pastwę losu! Gdybyś wtedy, gdybyś... - zająknęła się, próbując dobrać odpowiednie słowo - gdybyś został przy mnie, zamiast włóczyć się po Multanach w poszukiwaniu armii Mehmeda, nie byłabym... Nie byłabym taka! Nadal byłabym człowiekiem!

- I umarła pięćset lat temu? - Drakula uniósł brew.

Na twarzy kobiety malował się gniew.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła znowu. - Nienawidzę! Przysięgam, gdy tylko nadarzy się okazja, zabiję cię. Przysięgam!

Zapanowała długa, grobowa cisza. Od czasu do czasu zakłócało ją jedynie sapanie ochroniarzy pod drzwiami.

Potem Wład w milczeniu podał kobiecie sztylet, trzymając go za ostrze.

Dlaczego mi się to wszystko nie podoba?!

Ledwie poruszyłem ustami, jak między skrońmi znów eksplodował ból, a w uszach zabrzmiało: „Nie wtrącajcie się!”.

Oj, moja głowa!

Lidia gwałtownie chwyciła sztylet i szarpnęła za rękojeść, raniąc Drakulę w dłoń. Pocięła strużka krwi, szkarłatne krople wsiąkały w wysokie włosie dywanu. Wład ani drgnął.

Tylko nie mówcie, że go to nie boli!

- Wydaje ci się, że nie jestem do tego zdolna? - zapytała Lidia, mierząc męża wzrokiem.

- Rób, co chcesz.

Ostrze sztyletu wbiło się w szczelinę pomiędzy kośćmi obojczyka. Pod koronkowym kołnierzem koszuli Włada wykwitła czerwona plama.

Ania drgnęła nerwowo, a ja mocniej ścisnąłem jej dłoń. Wowka chwycił ją za drugą rękę. W tej chwili, nawet bez wymownych ostrzeżeń Drakuli, wiedzieliśmy, że nie należy się wtrącać. Co by było, gdyby Lidia nie wytrzymała, gdyby omsknęła się jej ręka? Mimo wszystko chciałbym jeszcze trochę pożyć.

- Co w ten sposób osiągniesz? - ospale zapytał Wład.

- Co? - Lidia zadrżała. Chwilę potem zaniósła się cichym, histerycznym śmiechem. - Co osiągnę dzięki twojej śmierci?

Czy mi się wydaje, czy sztylet wszedł jeszcze głębiej? Na pewno mi się wydawało. A że plama wciąż rosła, to widocznie mój wymysł. Zwyczajny wymysł.

- Nie to miałem na myśli - westchnął Drakula. - Nawet jeżeli zatopisz sztylet w moim gardle po samą rękojęść i przebijesz tchawicę, zdołam przeżyć jeszcze kilka sekund, a to wystarczy, by wyssać krew z pierwszej lepszej osoby w tym pokoju - powiedział ze stoickim spokojem, jak gdyby nie jemu podrzynano właśnie gardło. - Może dźgnij niżej?

- Myślisz, że tego nie zrobię?

Wzruszył ramionami.

Kindzał powędrował niżej, rozcinając cienką tkaninę koszuli. Wład roześmiał się.

- I co dalej, Lidio? Sztylet utknął na mostku. Ostrze jest bardzo cienkie, kości nim nie złamiesz. Przesuń w lewo.

Nagle ich oczy się spotkały - spokojne, nieco drwiące spojrzenie Włada i pełen furii wzrok Lidii. Sztylet powoli przesunął się w lewo.

- Znów błąd - westchnął Wład. - W ten sposób nie zadasz śmiertelnego ciosu. Ostrze opiera się o żebro, jeśli wetkniesz je głębiej, ześliźnie się po kości. Opuść odrobinę sztylet, tylko troszeczkę - mówił łagodnym, czarującym głosem, jakby nie przekonywał do zabójstwa, a do... sam nie wiem do czego! - Wtedy ostrze przebije się między żebrami i trafi prosto w serce. No, Lidio, na co czekasz?

O ile wzrok mnie nie mylił, Drakula chyba się nawet uśmiechnął.

Kobieta wyszarpnęła sztylet, rzuciła go na podłogę i wybiegła z pokoju. Mało brakowało, a przewróciłaby stojącego pod drzwiami ochroniarza, który zaczął dreptać w miejscu, nie wiedząc, co robić.

Drakula niespiesznie podniósł kindzał, przeciągnął opuszkami palców wzdłuż rozcięcia na koszuli, po czym powiedział cichym głosem:

- Zabawne, w pewnej chwili zaczęło mi się wydawać, że jednak to zrobi.

Potem ruszył energicznym krokiem w kierunku drzwi. Ochroniarzy natychmiast wywiało.

Już stojąc w korytarzu, obejrzał się na nas.

- Macie zamiar tak siedzieć? Pora odwiedzić Radu - warknął gniewnie.

Skoczyłem na równe nogi.

- Aaaaaa...nuszka! - wrzasnął Wowka. Zdaje się, że dziewczyna z całej siły nadepnęła mu na stopę. - Wiesz, kto ty jesteś?! Słuchaj uważnie! Zaraz ci powiem!

O matko...

* * *

Ależ ja jestem zmęczony! Zupełnie nic mi się nie chce. Chociaż nie, to nie do końca prawda, coś mi się jednak chce.

Usiąść na podłodze, spleść ręce i zacząć przeklinać. Brzydko. Długo i do znudzenia. Szkoda tylko, że nikt mi na to nie pozwoli. Zwolennicy pięknej mowy uważają, że przeklinanie... A tak na marginesie, przekleństwa to starodawny sposób na odpędzenie nieczystych sił. Dajmy na to, wspominasz dalekiego przodka ze strony matki, aż ten w końcu przyjdzie i wypleni z ciebie całe zło.

Podejrzewam, że właśnie z tego powodu Radu Piękny to bladł, to znów się czerwienił podczas wymiany zdań z braciszkiem. Tylko dlaczego nie udało się go wypędzić?

Pewnie język nie ten, nie nasz ojczysty. A gdyby tak spróbować użyć silniejszej, bliższej nam mowy? Chociaż nie, nie pozwoliłaby mi na to wrodzona uprzejmość. Poza tym Wowka zacząłby mnie jak zwykle krytykować: „Tylko tyle potrafisz?”. A przecież potrafię o wiele więcej!

Niestety wpajana mi od dziecka i pielęgnowana przez rodziców kultura osobista powstrzymuje mnie przed wypowiedzeniem na głos wszystkich ciekawych słów, które znam.

* * *

O ile dobrze zrozumiałem, zmierzaliśmy do biblioteki. Ciekawe. A jeśli Radu stamtąd wyszedł, będziemy go szukać po całym domu?

W dodatku nie miałem zielonego pojęcia, co takiego straszego zaszło pomiędzy nim, Władem, a Lidią (oczywiście pomijając fakt, że Piękniś stał po niewłaściwej stronie barykady). Jaki hajduk i w imię czegoś rozciął mu twarz, ktoś stał się wampirem, kiedy kogoś innego nie było w domu (a przede wszystkim, jak do tego doszło)... Jasne, to i owo zrozumiałem, ale złożyć tego do kupy nijak nie potrafiłem.

Bohaterowie powieści fantastycznych - ci to mają dobrze! Gdy tylko pojawia się większy czy mniejszy problem, zza krzaków wyskakuje jakiś mądrała i zwyczajnie objaśnia, kto winien, a kto nie, i podpowiada, co dalej robić.

W naszym towarzystwie do roli mądrali pretendował jedynie Wład. Problem w tym, że jakoś nie był skory do zwierzeń. Zawsze można zapytać, ale wątpiłem, by coś to dało.

No a przede wszystkim kto miałby to zrobić? Ja? Przecież Drakula mnie nie trawi (oczywiście w przenośni). Ania? Ma tak przerażone oczy, że pewnie najchętniej wzięłaby nogi za pas. Wowka? Jasssne. Szczególnie po tym, jak zaczął tykać nerwowego pana Włada.

Krótko mówiąc, znaleźliśmy się w sytuacji patowej.

Tak bardzo byłem zaprzątnięty rozmyślaniami, że nie zauważyłem, kiedy dotarliśmy pod drzwi biblioteki. Jedyne plus całej sytuacji polegał na tym, że nie zastaliśmy ochroniarzy. Bardzo dobrze, przynajmniej nikt nam nie skopie tyłków.

* * *

Pierwszy wszedł pan Drakula - to znaczy Czarny Płaszcz. Ktoś miał jakieś wątpliwości? Stukot podkutych butów odbijał się echem od ścian biblioteki. Potem do środka wśliznęliśmy się ja i Ania, a Wowka osłaniał tyły.

Radu oczekiwał nas jak cywilizowany człowiek. Siedział w fotelu i czytał książkę w czarnej skórzanej oprawie. (Zacząłem podejrzewać, że śledzi nas ukryta kamera, a główny sponsor tego reality show to producent skórzanych obwolot, oczywiście czarnych). Radu Piękny nawet nie podniósł głowy, słysząc szmer i tylko rzucił chłodno:

- Karl, postaw wino na stole.

- Coś jeszcze? - uprzejmym tonem zapytał Wład. (No już dobrze, wcale nie uprzejmym, a ordynarnym, i do tego głośno).

Gospodarz podniósł głowę.

- Co jest, do dia...

- To samo, Radu, wciąż to samo - odparł Drakula z uśmiechem. (Trzeba ten dzień zaznaczyć czerwonym kółeczkiem w kalendarzu!). - Najwyższy czas doprowadzić sprawy do końca.

Radu leniwie odłożył książkę.

- Na co liczysz, Wład? Sądzisz, że możesz mi coś zrobić w domu, w którym ochrania mnie kilkudziesięciu ludzi? - Kilkudziesięciu? Jak zdołali się pomieścić w trzypiętrowym budynku? Warstwami czy jak? - A wkrótce przybędzie drugie tyle. Nie zdążysz nawet kiwnąć palcem!

- Grozisz mi? - Drakula uniósł brew. - Przecież chcesz tej rozmowy. Pora to wreszcie zakończyć! - Zwrócił się do nas: - Zamknijcie drzwi!

Co on nam tak rozkazuje, chłopców na posyłki sobie znalazł, psiakrew? A właśnie że nie zamknę! Nie i już! Chociaż, jak się dobrze zastanović, kilkadziesiąt wampirów... Dlaczego ten Wowka jeszcze nie zamknął?!

Sęk w tym, że od środka się nie dało. Nie było zamka ani nawet zwykłej zasuw. I co teraz?

Wowka pierwszy wpadł na pomysł.

Rozejrzał się i ruszył w kierunku stojącej obok komputera wersalki. Chwycił ją i zaczął powoli przesuwac do drzwi, okropnie szurając nóżkami o lakierowany parkiet. Radu wybałuszył oczy.

- Andriej, długo się będziesz gapić? - wysapał Wowka. - Rusz wreszcie cztery litery!

Jak na komendę podbiegłem, by mu pomóc. Po chwili kanapa stała pod drzwiami, skutecznie blokując wejście. Na szczęście drzwi otwierały się do środka, więc każdy, kto zechciałby nam przeszkodzić, będzie musiał odsunąć mebel.

Radu wciąż jeszcze nie mógł dojść do siebie, za to Wład wyglądał na wyjątkowo zadowolonego.

Wowka opadł na wersalkę, która żałośnie zaskrzypiała pod jego ciężarem i zaczął dobrotliwie poklepywać ją po siedzisku.

- Anka, chodź tutaj, czas na kolejny odcinek. Andriej, a ty co tak stoisz jak słup soli? Miejsca nie braknie!

Dziewczyna posłusznie usiadła i zapytała:

- Jaki odcinek?

Klapnąłem obok Wowki na poręczu wersalki.

- Jak to jaki? - Wowka uniósł brwi. - Brazylijskiej telenoweli, rzecz jasna. Przecież już mówiłem. Teraz zaczną się wzruszające opowieści w stylu: A ty mi w piaskownicy łopatkę zabrałeś! A ty mnie uderzyłeś foremką i już cię nie lubię!

Zatkało mnie. Zanim rozmowa, którą próbował odegrać Wowka, doszła do skutku (Radu wciąż stał bez ruchu, porażony tym, jak nonszalancko potraktowaliśmy jego majątek, a Wład po prostu czekał), zapytałem cicho:

- Wowa, co ty za głupoty opowiadasz? Czy ty się ani trochę nie boisz?

Wowka westchnął głęboko i po raz pierwszy tego wieczoru odpowiedział poważnie:

- Pewnie że się boję, ale w takich sytuacjach człowiekowi nie pozostaje nic innego, jak zaśmiać się strachowi prosto w twarz.

W końcu pan Piękny zrozumiał, że wybałuszanie oczu nic tu nie pomoże - nikogo w ten sposób nie odstraszy ani nie skłoni do ucieczki (co prawda ja bym skorzystał, ale wątpię, żeby mi ktoś na to pozwolił), więc kolejny raz zaczął wygłaszać swoje teorie.

- Oszalałeś, Wład! - Ciekawe, dlaczego nie zwracał na nas troje uwagi? Nie wiem, co na to Ania i Wowka, ale ja czułem się pominięty. - Już powiedziałem, wszyscy czworo - (hura, a jednak!) - jesteście martwi.

- A ostatnie życzenie? - wypalił nagle Wowka.

Radu zatkało.

- Że co?!

Mój drogi kolega niewinnie zatrzepotał rękami, nie próbując nawet podnieść się z wersalki.

- Ostatnie życzenie. Jeśli mamy zginąć, powinniśmy mieć prawo do ostatniego życzenia.

Gospodarz domu zmierzył go wzrokiem, a potem wybuchnął nerwowym śmiechem.

- I czego byś sobie życzył?

- Chciałbym osobiście uścisnąć dłoń pana Van Helsinga. Może być Abraham, ale wolałbym, oczywiście, żeby to był Gabriel.

- Poproś jeszcze o kolację z Buffy - wyrwało mi się bezwiednie.

Nie wiedzieć czemu, w bibliotece znów zapanowała martwa cisza.

Jednak nie na długo.

- Ja? Oszalałem?! - syknął Wład. - Obawiam się, że źle postrzegasz rzeczywistość. Jeśli ktoś tu oszalał, to z pewnością ty.

Czyżby? A gdyby rozważyć ostatnie życzenie Wowki?

- Jak... jak śmiesz - bąknął Radu.

- Coś ci się nie podoba? - Drakula uniósł brew.

Czy mi się zdaje, czy szydzenie z brata sprawiało mu satysfakcję?

- Tak! Wszystko mi się nie podoba! A najbardziej to, że zniszczyłeś mi życie!

A ten znowu swoje! Ciekawe, czy w tym mieście żyje choć jeden wampir, któremu Czarny Płaszcz nie nastąpił na odcisk? Może ma takie hobby? A może sława wspomnianego Van Helsinga nie daje mu spokoju?

Drakula przyjął niedbałą pozę, opierając się o regał z książkami.

- A niby w jaki sposób? - zapytał. - Nie miałem pojęcia, że tu jesteś, tak samo jak nie wiedziałem, że wciąż żyjesz.

Ten spokojny ton rozjuszyl Radu na dobre.

- Nie wiesz, w jaki sposób?! W takim razie ci powiem! Chcesz?! Opowiem ci, jak siedemnastego czerwca 1462 roku, podczas gdy służyłem w wojsku Mehmeda II, twoi piekielni hajducy w ciągu jednej nocy wyrznęli pół obozu! Jak któryś z twoich podwładnych rozciął mi szablą policzek, kiedy byłem nieuzbrojony! To chcesz usłyszeć?! Czy może opowiedzieć ci, jak leżałem ranny w błocie? Albo jak końskie kopyta o mały włos nie stratowały mi ręki? A może też i o tym, jak wysysałeś ze mnie krew - zapamiętałem twoją twarz! Słyszysz?! Zapamiętałem!

* * *

Nienawiść wzbiera niczym lodowata fala. Tak, to Wład ponosi winę za to, co się stało!

I znów przed oczami mam tamtą noc.

Płonące pochodnie.

Krzyki.

Jęki.

Między namiotami krążą na wpół nadzy żołnierze.

Czarny koń staje na tylnych kopytach. Hajduk ubrany w turecki uniform podnosi rękę, by zadać cios.

Szabla rozcina skórę, uszkadza kość. Czuję straszliwy ból.

*Jedyne, co pozostaje, to paść na kolana, skręcić się z bólu i zakryć dłońmi ranę.
Cieknie krew, zamieniając ziemię w błoto rozchlapywane końskimi kopytami.
Trawy już dawno tu nie ma, wypalili ją chłopi.*

Aż chce się wyć z bólu.

Płonące pochodnie.

Krzyki.

Jęki.

Nie wiem, co robię, nie widzę, co się wokół dzieje. Słyszę uczone słowa: „szok wywołany bólem”.

Potem męka. Twarz Włada, wytarzana w krwi i błocie. Minęło czternaście lat. Niewiele się od tego czasu zmienił. Podobno przed śmiercią człowiekowi przed oczami staje obraz całego życia... Dziwna ironia losu.

I ból, znowu ból, straszliwy, ostry.

Powstaje w gardle i w jakiś dziwny sposób przeplata się z palącym bólem policzka.

I znów niepamięć.

A potem...

Po śmierci człowiek zazwyczaj trafia do piekła lub nieba. Przed muzułmanami otwierają się bramy raju. Ale dlaczego teraz, kiedy tuż przed świtem odzyskałem świadomość, znów widzę jedynie pole usłane ciałami?! Gdzie jest to wszystko, co obiecywali prorocy?! Gdzie?!

Nagle pierwszy promień słońca niczym sztylet wbija się w ciało. Przypominam sobie bajki z dzieciństwa, historie o wampirach, którym światło dnia sprawia ból.

Wszystko, co miało miejsce nocą, staje się nieważne, a nawet... przyjemne w porównaniu z tym, co czuję teraz.

Muszę wstać, muszę iść, ślizgając się w kałużach krwi i potykając o ciała, gnać przed siebie w nadziei, że ten ból to tylko sen, miraż!

Dopiero gdy przed oczyma wyrośnie opustoszała wioska i gdy zdołam wdrzeć się do opuszczonego domostwa, będę mógł bez sił paść na podłogę w sieni, poczuć, jak ustępuje ból, jak znów pulsuje rana na policzku. Zapaść w głęboki sen.

Do nocy...

** * **

Chwila moment, czegoś tu nie łapię... O czym on mówi?!

Zaraz, Drakula twierdził, że pierwszy raz zanurzył usta w ludzkiej krwi, niech sobie przypomnę... w czasie jakiejś ważnej bitwy. Czyżby właśnie tej?

- Andriej, ej, Andriej! - Wowka pociągnął mnie za rękaw. - Czy to przypadkiem nie chodzi o tę bitwę z siedemnastego czerwca 1461 roku? Mówiłeś, że Władus się wtedy skaleczył.

Na szczęście Czarny Płaszcz nie usłyszał, jak został ochrzczony.

Zdaje się, że zaczynam już kojarzyć.

Jeżeli Wład odniósł ciężką ranę i wypił krew Radu, nawet przypadkiem, myśląc, że to pierwszy lepszy Turek, odzyskałby siły witalne (czy jak to mówią), a wtedy mógłby się wykpić lekką raną głowy. A Radu przez niego zamienił się w wampira?

Oszaleć można.

* * *

Rozmowy, rozmowy! Od jak dawna z nikim nie rozmawiałam? Zresztą, na te tematy nawet nie miałam z kim porozmawiać. Od dawna.

Odpowiedzią Radu na wszystkie pytania jest miły uśmiech. Jego wampiry boją się nawet spojrzeć. Tylko od czasu do czasu któryś opowie dowcip, rzuci parę słów, a po chwili - cisza.

Szczególnie po tym, co się stało z Rollanem.

Teraz myślę, że nie warto było słuchać Radu, nie warto było kosztować krwi tego wampira. Nie można jednak cofnąć czasu! Nie można, do stu diabłów! Ale dlaczego Radu mnie tym obarczył? Dlaczego sam nie umoczył ust w krwi Rollana? Może chciał mieć czyste ręce?

A do tego jeszcze ta rozmowa z Władem. Boże jedyny! A przecież chciałam jego śmierci, tak, chciałam! Aż drżały mi ręce! Pragnęłam poczuć zapach krwi, od którego kręci się w głowie, zobaczyć w jego oczach strach, który odbiera rozum! I co z tego wyszło?!

Boże, dlaczego?!

Dość tego! Czas przestać histeryzować i wziąć się w garść. Porozmawiać z Radu. Po tym wszystkim on jak nikt inny może ukoić skolatane nerwy.

Dziwne, w bibliotece słycać głosy...

Radu z kimś rozmawia? Jak śmie! Jak może z kimś rozmawiać, kiedy ja tak... tak cierpię?!

Ciekawe, z kim rozmawia?

A przede wszystkim - o czym?

* * *

- Przypuśćmy, że rzeczywiście stałeś się przeze mnie nocnym łowcą - powiedział cicho Wład. - Ale, do diabła, dlaczego wciągasz w to Lidię?

Oj, chyba się zdenerwował. Kiedy ostatnio mówił podobnym tonem...Tak czy siak, po ostatnim razie stół w kuchni wymaga naprawy!

- Jak to dlaczego? - zapytał Radu z uśmiechem. (Zdaje się, że nagle zmiany nastroju są u nich rodzinne. Chociaż, dla pewności wyniku eksperymentu, trzeba by było przebadać kogoś trzeciego). - Przecież to twoja żona!

- I? - chłodny ton Drakuli nie wróżył niczego dobrego. Radu nie zwrócił na to uwagi.

- Co i? Nie rozumiesz? Naprawdę mam ci to wyjaśnić, Wład?! - Zdaje się, że właśnie taki stan nazywamy „doprowadzeniem do ostateczności”. - Czy pogróżki to wszystko, na co cię stać? Jeśli nie, to po co te zapiski - *En ne tud ki te, de mi csendes fog összejarnak?* - z ust Radu dosłownie sączył się jad.

W przerwach między krzykami wyraźnie słyszałem cichy szelest przewracanych stron. Nie rozumiem, czy ktoś tu coś czyta?

Ostrożnie rozejrzałem się dookoła i nagle znieruchomiałem z otwartą ze zdumienia gębą. Ania trzymała na kolanach cienki notes (na jej miejscu już dawno bym się pozbył tego kapownika gdzieś w korytarzu), w którym właśnie skrzętnie coś notowała.

Nachyliłem się nad Wowką i delikatnie potrząsnąłem ją za ramię.

- Ania, co ty wyprawiasz?

- Daj mi spokój - opędziła się zniecierpliwiona. - Jestem na praktyce! A przy okazji, co oznacza to *En ne tu...?* Dalej nie pamiętam.

- To po węgiersku - cicho oznajmił Wład, patrząc bezmyślnie w jeden punkt. Miałem wrażenie, jakby mówił do ściany, a nie do nas. - „Nie wiem, kim jesteś, ale wiem, że się jeszcze spotkamy”.

- A skąd się wziął węgierski? - Wowka wtrącił swoje trzy grosze. - W tych tekstach z Internetu napisano wyraźnie: „Wład III Palownik znał niemiecki i łacinę”! Więc skąd w takim razie węgierski?!

Radu znów się zorientował, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Najprawdopodobniej główny wampir w kraju nie był przyzwyczajony do podobnego traktowania, więc kolejny raz zdębiał, łykając powietrze.

Tymczasem Wład raczył obdarzyć Wowkę światłym spojrzeniem.

- Kicham na to, kto, co i gdzie napisał - mruknął zdenerwowany, rzucając mojemu koledze lodowate (o temperaturze przynajmniej siedemdziesiąt stopni poniżej zera) spojrzenie. - List do gospodarza został napisany po węgiersku. - A gdyby gospodarz nie znał węgierskiego? Poprosiłby Lidię o przetłumaczenie? Dlaczego akurat ona mi przyszła do głowy? Chwila, coś tam było na temat siostry czy córki króla węgierskiego - żony Włada. Może to ona? - Jeszcze jakieś pytania?!

Oczywiście miałem kilka wątpliwości, ale jako nad podziw mądry i rozsądny chłopiec postanowiłem trzymać gębę na kłódkę. W przeciwieństwie do Wowki.

- Nie! - gwałtownie pokręcił głową. - Pytań nie mamy, tylko propozycję. Zanim zaczniecie kichać, uprzedźcie nas, żebym się mógł odsunąć, bo jeszcze...

Ania zapisała już całą kartkę, przewróciła stronę i stenografowała dalej.

Szczerze mówiąc, do tej pory sądziłem, że tylko prawnicy mają nierówno pod sufitem, a tu się okazuje, że dziennikarze też.

* * *

W końcu po jakichś pięciu minutach Radu Pięknemu znudziła się rola wyciągniętego z wody karpia. (Wład z wyraźnie niezadowoloną miną przydreptał już do Wowki, ale szybko uznał, że nie czas teraz na wyrównywanie rachunków. Zatrzymał się więc i wrócił z powrotem pod półkę z książkami).

Radu nie mógł się pochwalić aż tak żelazną samokontrolą. A może zwyczajnie postanowił wylać na rodzzonego brata morze pomyj?

Może jedno i drugie.

* * *

Dosyć! Pora zakończyć tę farsę! Wład i tak już nadużył mojej cierpliwości. Czas, by sprawy wróciły na właściwy tor!

Trzeba to zrobić delikatnie i dyplomatycznie. Nie chciałbym sobie upaćkać rąk jego krwią. Co innego posłużyć się cudzymi.

Gdyby tylko udało się wyprowadzić go z równowagi...

* * *

- Porozmawiamy o Lidii, Wład? - Radu zadał pytanie takim tonem, że równie dobrze mógł po prostu powiedzieć: „wróćmy do naszych baranów”. Gdyby tylko barany były w stanie doprowadzić Włada do białej gorączki. - Zdaje się, że o nią pytałeś. Wobec tego opowiem ci o niej. - Uśmiech milutki jak na fotelu u stomatologa na widok maszyny do borowania. - Kiedy doszedłem do siebie i uświadomiłem sobie, kim jestem, udało mi się dotrzeć do Târgoviște i o dziwo, spotkałem tam Lidię. Nie musiałem długo czekać - bardziej interesowały cię wtedy sprawy tej nieszczęsnej Wołoszczyzny niż własna żona. Sama rzuciła mi się w ramiona. Kiedy wróciłeś do stolicy, dowiedziałeś się, że Lidia zniknęła.

To ma chyba związek z legendą o żonie Palownika, która rzekomo wyskoczyła z okna, kiedy wróg stanął u bram zamku.

- Po co mi to wszystko opowiadasz, Radu? - zapytał chłodnym tonem Wład. - Żeby zaspokoić moją ciekawość? To ci się nie uda.

- Czy ty nadal niczego nie rozumiesz? Lidia jest tutaj, rozumiesz, tutaj!

- Wiem - oznajmił nagle Drakula. - Uświadomiłem to sobie, kiedy zobaczyłem jej autoportret. Namalowała go, patrząc w lustro.

- Tak?! - roześmiał się Radu. - W takim razie powinienes wiedzieć i to, że ją zwyczajnie wykorzystałem! Wy-ko-rzy-sta-łem! Żeby ci się odpłacić za tamtą noc!

Ostatnie słowa zagłuszył okropny trzask. Mocne pchnięcie sprawiło, że dosłownie wystrzeliłem w powietrze. Gdy już poczułem grunt pod nogami, natychmiast skoczyłem w bok, wystraszony, że wersalka spadnie mi na głowę.

O rety, a co z Anią i Wowką?!

Rozejrzałem się dookoła. Głowa mi dziwnie ciążyła. Ania, tak samo jak ja, zdążyła odskoczyć, a Wowka poszybował odrobinę dalej.

Tak czy inaczej niepotrzebnie się martwiłem. Wersalka zatoczyła łuk nad naszymi głowami i runęła na podłogę.

Wład przez cały czas opierał się o regał, natomiast Radu utkwiał wzrok w drzwiach, dosłownie wyrwanych razem z framugą. W powstałej dziurze ujrzałem Lidie.

Co jest?! To ona tak z rozmachu? Oj, mamusiu, obym się jej nigdy nie naraził!

* * *

- Dość! - wrzasnęła siwowłosa mężczyzna. - Przestań się jąkać i zacznij wreszcie mówić do rzeczy! Pozwoliliście im uciec, tak?

- Tak, do diabła! - wzburzył się Siemion. - Nie wiem, jak do tego doszło, ale ten dziwoląg zabił ludzi czarnego wampira i uciekł, zabierając tych dwóch ze sobą! Nie mam pojęcia, co robić!

- Sądzę, że trzeba po prostu poczekać - rzekła cicho szatynka.

Wszyscy obecni spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

- Poczekać - powtórzyła kobieta. - Nie wiemy, jak wampir zareaguje na wieść o śmierci jego posłańców. Jeżeli teraz zaczniemy działać, Efiim może zginąć. Zabiją go, jak tylko zrobimy pierwszy krok.

- Bzdury! - przerwał jej inny ze zgromadzonych. - Czekanie nic nie da. Wampir może pomyśleć, że to my zabiliśmy jego ludzi, a wtedy Efiim na pewno nie dożyje jutra.

- Postanowione. Przystępujemy do działania - podsumował siwowłosa.

* * *

Lidia powiodła ciężkim spojrzeniem po ścianach pokoju, na krótko zatrzymując wzrok na odrzuconej wersalce. Ania, nie wypuszczając z ręki notesu, zaczęła nerwowo przesuwając dłońmi po podłodze, usiłując namacać ołówek. Wowka pospiesznie odsunął się od braci Drakulów. Lidia przystanąła pomiędzy naszą trójką z jednej strony i Władem oraz Radu z drugiej.

- To ciekawe, Radu - jej głos łagodnością i delikatnością przypominał górską lawinę; też nie wiadomo, kiedy przydusi. - Bardzo ciekawe. Wykorzystać mnie, żeby dokonać zemsty na Władzie. Tylko jakoś nie przyszło ci do głowy, żeby mi o tym powiedzieć?

Głupie pytanie - niby po co? Radu uśmiechnął się czarująco (a właściwie prawie czarująco - niestety szrama popsowała cały efekt).

- Lidio, nie zrozum mnie źle, nie to miałem na myśli.

- Czyżby? - Kobieta uniosła brew. - W takim razie może mi wyjaśnisz, jak mam to rozumieć?

Kolejny słodki uśmiech.

- Oczywiście, moja droga.

Ej, co jest? Nas tu nie ma, czy jak?

Wład postanowił udawać posąg. Co prawda dopóki trzyma nerwy na wodzy, na ludzi nie powinien się rzucać. Z drugiej strony mam dziwne przeczucie, że nie będzie się długo kontrolował.

* * *

Martwą ciszę przerwał dochodzący z korytarza tupot (Lidia czekała na odpowiedź Radu, Radu myślał nad odpowiedzią, a Wład najprawdopodobniej zastanawiał się, jak ten poukładany Otello wybrnie z sytuacji). Spojrzałem z ukosa na wyłamane drzwi i czym prędzej oddaliłem się od wejścia. Wowka i Ania natychmiast zrobili to samo, przemknęli niepostrzeżenie za plecami Lidii i stanęli bliżej mnie.

Ochroniarz o typowym wyglądzie szafy dosłownie wleciał do pokoju, potknął się o jakąś deskę, która jeszcze do niedawna stanowiła element ściany i przekoziółkował po podłodze. Mało brakowało, a potraciłby Lidie.

- Szefie! Nieszczęście! Zaatakowali dom!

Że co?! Czyżbyśmy się cofnęli do czasów średniowiecza i przeżywali najazd wojsk nieprzyjaciela? A może to *Powrót Robin Hooda*, część druga?

Tyle że kafar nie kłamał, bo naraz do naszych uszu dobiegły dochodzące z dołu krzyki i wystrzały.

Ależ mi się to wszystko nie podoba! Ale chyba już o tym wspominałem?

* * *

Strzały. Krzyki. Ludzkie ciała niczym połamane zabawki padają na podłogę. Plamy krwi, cieknącej strużkami, tworzą surrealistyczne obrazy na wypolerowanym parkiecie.

- Żwawo! Efił na pewno tu jest!

Szare, rozmyte cienie przesuwają się po ścianach domu. Nie wiadomo, czy to cienie ludzi czy może zwierząt.

* * *

Włosy w ciągu lata urosły tak bardzo, że bez przerwy wpadają mi do oczu. Sam nie wiem, czy potrząsnąć głową i odgarnąć uparty kosmyk, czy zagryźć wargę i zacząć się gapić w sufit.

Boże, za co to wszystko? Za co?! Tak bardzo chciałbym wrócić do domu, do mamy, do brata, aż chce mi się wyć jak wilk i ronić łzy.

A na dole nie przestają krzyczeć...

Przez grube drzwi słyszeć, jak dźwięczą klucze.

Gdybym nawet przeszedł na drugą stronę, nie zdołał uciec. Są o wiele silniejsi. Tak pragnę skoczyć, poczuć pod łapami cudze ciało, wbić kły w nieosłoniętą szyję!

Wreszcie mogę zapomnieć, że mam dziesięć lat, że jestem prawie dorosły. Mogę zwyczajnie zatopić twarz w ubrudzonej, pachnącej prochem koszuli brata i do reszty przemoczyć ją łzami.

* * *

- Szeffie, niebezpieczeństwo! - ochryplym głosem powtórzył kafar, wciąż leżąc na podłodze. Jego jasna koszula pociemniała od krwi. Ciekawe, cudzej czy własnej? - Niech pan ucieka!

Radu obrzucił spojrzeniem bibliotekę, na chwilę zatrzymał wzrok na Władzie, a potem posłał jeszcze jeden uśmiech Lidii (o nas, zdaje się, już całkiem zapomnieli).

- Cóż, moja droga, widać nie jest mi pisane wszystko ci wyjaśniać. Kolejny szturm, czas odejść.

- Ty nie odchodzisz, a uciekasz - w głosie Drakuli zabrzmiała pogarda. - Zresztą jak zawsze.

- Takie jest życie, Wład... - westchnął z ironicznym uśmiechem Radu. - Takie jest życie. I wiesz co? Lepiej żyć w taki sposób niż wcale!

* * *

*Dzisiaj się nie udało. Cóż, teraz odejdziemy, ale niebawem wrócimy.
Przeegraliśmy tylko bitwę, a nie wojnę!*

* * *

Radu ominął leżącego na podłodze ochroniarza, który przestał już dawać jakiegokolwiek znaki życia.

- Lidia, idziesz ze mną?

Kobieta zamarła, ale po chwili ocknęła się i podeszła bliżej.

- Za nic.

Radu wzruszył ramionami.

- Jak chcesz. Muszę przyznać, że było mi z tobą całkiem dobrze. - Uśmiechnął się krzywo, po czym ruszył w stronę wyjścia.

Czegoś tu nie rozumiem... Wład pozwolił mu tak po prostu odejść?

Nie pozwolił. Nie wiem, jak to zrobił, ale zaraz po tym, jak Radu przekroczył próg, zastąpił mu drogę.

- Myślisz, że możesz odejść? - Rzucił pod nogi braciszka szablę. Stał zadzwięczała na drewnianej posadzce. - Broń się! - W jego ręce błysnęła jeszcze jedna, lekko zagięta klinga.

Radu zagryzł wargę, w napięciu mierząc przeciwnika wzrokiem. Schylił się powoli i podniósł broń.

* * *

Gdybym miał jakiegokolwiek pojęcie o fechtunku, z pewnością mógłbym opowiedzieć o mnóstwie pchnięć, parowaniu tercjami i kwartami, o wspaniałych postawach i wypadach.

Niestety, wiedzy wystarcza mi tylko na tyle, by odróżnić dagę od miecza. Mimo to przeczuwałem, że pojedynki nie potrwa długo. Kilka gwałtownych, a zarazem posuwistych ruchów, świst klingi rozcinającej powietrze, frędzle na kolorowych temblakach, krople krwi na broni...

I ścielące się na podłodze ciało Radu.

* * *

W ciągu całego pojedynku Lidia obojętnym wzrokiem obserwowała krążące po bibliotece postaci, od czasu do czasu odsuwając się, by nie stanąć im na drodze. Ja, Wowka i Ania odskoczyliśmy pod ścianę już na samym początku. Tylko tego brakowało, żeby się o nas potykali! O ile Wład co najwyżej rzuciłby jakieś miłe, uprzejme słowo, to Radu z pewnością udusiłby nas gołymi rękami. Cóż, teraz już tego nie robi.

Kiedy pojedynek dobiegł końca, wampirzyca, szeleszcząc długą suknią, dostojnym krokiem ruszyła w kierunku fotela, gdzie wcześniej siedział Radu. Po drodze minęła nieruchomego Włada, który wciąż dzierżył w dłoni szablę. Usiadła i oparła się wygodnie.

- Przecież chciałeś odejść. - W spokojnym głosie zabrzmiało coś dziwnego - nabiegające do oczu łzy? - A zatem idź.

Szabla Włada rozplynęła się w powietrzu (czyżby zniknęła w tym dziwnym zamku za zasłoną świata?). Drakula powoli otarł twarz, jakby chciał coś z niej strząsnąć, a potem zwrócił się do nas:

- Wyjdźcie na korytarz.

Ze niby co?! Tak sami, bez niego? Przecież tam biegają jakieś monstra i w dodatku szturmują dom!

- Ale... - zacząłem ostrożnie.

- WYJDŹCIE!

- Kiedy...

- Andriej. - Ania pociągnęła mnie za rękaw. - Poczekamy na zewnątrz. Chodź!

I mówi to osoba, która niedługo ma zostać dziennikarką... A co z praktyką?

Tymczasem Wowka zdążył już opuścić bibliotekę.

Z sercem w gardle cierpliwie czekaliśmy na korytarzu. Na szczęście atakujący nie dotarli jeszcze do drugiego piętra, na razie byli zajęci przeczesywaniem pierwszego i parteru.

* * *

Ciszę rozerwał na strzępy przeraźliwy huk, od którego zatrzęsły się wszystkie szyby, również te w bibliotece. Kobieta siedząca w fotelu nawet nie drgnęła. Dopiero po upływie kilku minut raczyła spojrzeć na męża.

- Wciąż tu jesteś? Dlaczego? - zapytała beznamiętnym głosem.

Wład ostrożnie ruszył w jej stronę.

- Przyszedłem tu po ciebie...

- Na rany Chrystusa, Wład! - roześmiała się gorzko. - Po co to mówisz? Pragnąłeś zemsty na Radu i dopiąłeś swego. Czego chcesz ode mnie? Odejdź! A gdy będziesz wychodził, rozsuń szerzej zasłony - prawie wyszeptała.

Nagle Wład poderwał się z miejsca i stanął nieruchomo tuż nad jej delikatną postacią, niemal wtopioną w fotel.

- Posłuchaj, Lidio. Przyszedłem po ciebie i bez ciebie nie odejdę! Czy naprawdę niczego nie rozumiesz? Szukałem cię ponad pięć wieków!

Kobieta zamarła. Siedziała w jednej pozycji dłużej chwilę, a potem powoli uniosła wzrok.

- Ty... naprawdę?

- Tak, do diabła, tak! - Wład chyba po raz pierwszy od wielu dziesięcioleci dał upust dręczącym go uczuciom. - Szukałem cię ponad PIĘĆ WIEKÓW! Kiedy wróciłem do Târgoviște, myślałem, że zginęłaś. Potem, w siedemdziesiątym szóstym roku, dowiedziałem się, że żyjesz. Rzuciłem wszystko, upozorowałem swoją śmierć i zacząłem cię szukać! Szukałem przez ponad pięćset lat...

Lidia próbowała powstrzymać łzy. Jej usta zadrżały.

- Po co mi to mówisz, Wład? Odeszłam z Radu. On... On zrobił ze mnie to, czym teraz jestem! Rozumiesz? Nigdy, nigdy nie będę mogła wyjść za dnia na ulicę! Czy ty to rozumiesz?!

Mężczyzna nagle wybuchnął donośnym śmiechem.

- I to cię tak martwi? Jak myślisz, dlaczego Radu pragnął zanurzyć usta w krwi tych chłopców? - W jego, dłoni pojawiły się kindżał i czara.

* * *

Na dole znów zrobiło się głośno. Co oni, demolkę tam urządzają czy jak?! Zaczęli od parteru i już spadają statuetki, jedna za drugą. Zapewne podobny los czeka sprzęt gospodarstwa domowego.

Mam tylko jedno głupie pytanie - kimkolwiek są ci na dole, prawdopodobnie przyszli obić głowę panu Pięknemu. Czy to znaczy, że nas zostawią w spokoju?

- Andriej, boję się! - pisnęła cicho Ania, chowając do torby notes i ołówek.

- Wszyscy się boimy - westchnąłem.

- To może będziemy się bać grupowo, co? - wtrącił Wowka.

Ten to dopiero ma mentalność, ciągle wtyka nos w cudze sprawy! I wiecznie ucha nadstawia!

- Proszę posłuchać, drogi kolego Danie - nie wytrzymałem. - Idź ty do...

- Dan?! - krzyknął Wład, który jak zwykle pojawił się w nieodpowiednim momencie.

Wzrok miał taki, jakby chciał nim co poniektórych zadusić. Nawet mrugnąć byśmy nie zdążyli. Za jego plecami stała Lidia.

- No - pokiwał rudą głową Wowka. - Dan, Władimir Aleksandrowicz. Bardzo mi miło!

Wład przyjrzał mu się dokładnie, mruknął pod nosem coś w rodzaju „no, no!” i rzucił:

- Idziemy. Chyba że wolicie zostać?

Jasssne...

* * *

Pierwsze piętro podobało mi się jeszcze mniej niż drugie, choćby z powodu scenerii, jaką tam zastaliśmy: leżące na podłodze rzeźby (dokładnie takie same, jak te na parterze - postaci wampirów podtrzymujących mdlejące dziewczęta) oraz trupy. No i krew.

Oj, mamusiu, nie lubię takich widoków. Ale bądź co bądź, w końcu jestem mężczyzną. Zaciśnąłem zęby i ruszyłem za Władem w stronę schodów.

- Andriej - usłyszałem z boku cichy jęk Ani. - Ja...

- Nie teraz - rzuciłem zniecierpliwiony.

- Andriej, ja...

- Nie teraz.

- Andriej, mi się...

- Anka, później, dobrze?!

Usłyszałem głuchy huk.

- Andriej, wiesz co? Ania chyba chciała ci powiedzieć, że jej niedobrze - zauważył Wowka.

Jedyne, co mogłem zrobić, to zakląć pod nosem, wziąć zemdloną dziewczynę na ręce, a torebkę, z której nie spuszczała z oka, podać uczynnemu koledze.

Dokładnie w chwili, gdy stanęliśmy przed prowadzącymi na parter schodami, usłyszeliśmy kroki. Po chwili wyszli nam naprzeciw Aleks z nie mniej znajomym, eee, Efimem? Chyba dobrze zapamiętałem jego imię?

A więc to wilkołaki zaatakowały dom. Cóż mogę powiedzieć? Najwyższa pora!

Wowka nie zasypiał gruszek w popiele:

- O, Fimka, siema! Dawno się nie widzieliśmy, co u ciebie? To twój brat?

- To znowu wy? - westchnął zrezygnowany chłopiec.

Chwila, czegoś tu nie rozumiem - jemu też się sprzykrzyliśmy? O nie, ja się tak nie bawię!

* * *

Tym razem nikt nie rzucił na Anię czaru uśpienia, toteż dziewczyna oprzytomniała, zanim dotarliśmy na parter. Najpierw zaczęła się nerwowo wyrwać, a gdy byliśmy w holu, zeskoczyła na podłogę i chwiejnym, choć zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę wyjścia. Ostrożnie chwyciłem ją pod ramię. Tylko tego brakowało, żeby sobie rozbiła głowę o ścianę! Musiałbym ją wtedy na rękach do rodziców zanieść. Do jej rodziców, oczywiście, nie do moich. Czego by później Wowka nie opowiadał...

Ponieważ wspomniany kolega trzymał Anię za drugie ramię, cała nasza trójka utknęła w drzwiach, kiedy opuszczaliśmy rezydencję w ślad za parą państwa Drakulów i braćmi wilkołakami. Osobiście uważam, że to Wowka powinien był puścić dziewczynę.

Po chwili kombinowania znaleźliśmy najlepsze możliwe wyjście z sytuacji - przecisnęliśmy się bokiem.

- Wszyscy są? - ze zniecierpliwieniem w głosie zapytał siwowłosy mężczyzna.

Nie wytrzymam, nawet najstarszego rodu ze sobą przywlekli! A gdyby ktoś mu dał po głowie? Chociaż... może mają jeszcze jednego na zapas i gdzieś go chowają? Kto ich tam wie?

- Wszyscy - ponuro przytaknął Aleks. - A nawet więcej.

Mężczyzna ze zdziwieniem spojrział z ukosa na naszą wesołą piątkę, zachodząc w głowę, skąd się tu wzięliśmy zupełnie nieproszeni.

- Później wszystko wyjaśnię - rzucił brat uwolnionego chłopca.

Siwowłosy skinął na znak zgody, wyraźnie zadowolony, po czym rozkazał:

- Podpalaj!

- Umyślne zniszczenie lub uszkodzenie cudzego mienia przez podpalenie... - cicho zaczął Wowka.

Pogroziłem pięścią temu nedorobionemu prawnikowi. Na szczęście zamknął jadaczkę.

- Zaczekajcie! - wyrwała się Ania. Spoglądała przerażonymi oczami to na jednego, to na drugiego wilkołaka. - Zaczekajcie, a jeśli w środku został ktoś żywy?!

Siwowłosy zmierzył ją wzrokiem, po czym odwrócił się twarzą w stronę domu.

- Podpalaj!

* * *

Nie sądziłem, że puszczą nas wolno. Spodziewałem się raczej, że ukatrupią nas na miejscu (choć jeśli wziąć pod uwagę, z jaką łatwością zabijał Drakula...), tym niemniej fakty pozostają faktami. Siedziba Radu stanęła w płomieniach niczym bożonarodzeniowa choinka (co prawda choinek nie podpala się z czterech stron, ale co tam). W jaki sposób wilkołaki wytłumaczą policjantom i strażakom ten pożar, to już ich problem. Przecież nas tu jakby nie było. Pożegnaliśmy się uprzejmie z wilkołaczą diasporą, po czym ruszyliśmy w miasto całą piątką.

Jasne, wszystko rozumiem, ale przecież jeszcze kilka chwil temu Lidia chciała zabić Włada, zgadza się? W takim razie dlaczego ją ze sobą zabrał? Czyżby się rozmyśliła? I ciekawe, o czym tak długo rozmawiali? Widocznie to już na zawsze pozostanie tajemnicą. Szkoda.

Kiedy uroczą pochodnia, która jeszcze przed chwilą była domem Radu, zniknęła za kolejnym zakrętem, Wład nagle się odwrócił.

- Cóż, chyba najwyższy czas na... pożegnanie.

O rany, nie wierzę własnym uszom! Jaki on uprzejmy i miły! To faktycznie koniec, teraz mogę ze spokojnym sumieniem dać się zakopać na Cmentarzu Północnym (tak na marginesie, największym w całej Europie). W tym życiu już niczego bardziej zadziwiającego ani nie zobaczę, ani nie usłyszę.

- Chyba. - Wowka wzruszył ramionami.

Wład uśmiechnął się (niewiarygodne, ale po rozmowie z Lidią zmienił się nie do poznania, zupełnie jakby odzyskał ludzkie cechy). Uniósł rękę, odciągając zasłonę dzielącą dwa światy.

Lidia przekroczyła granicę i spojrzała za siebie. Drakula stał jeszcze chwilę, jakby na coś czekał, a potem rzucił:

- Żegnajcie.

Już miał odejść, gdy zdecydowałem się zabrać głos:

- Zaczekaj!

- Tak? - Spojrzał do tyłu. Nawet pozwolił powiedzieć do siebie „na ty”.

- Gdyby wtedy wypadła reszka, naprawdę puściłbyś nas wolno?

Wład rozchichotał się na dobre. Wesoło, serdecznie, jak chyba nigdy w życiu, biorąc pod uwagę, jakie miał dzieciństwo. (W Internecie wyczytałem opowieść o tym, jak na dworze Mehmeda II skradziono z oranżerii kilka świeżych ogórków. Mehmed kazał rozpruć brzuch podejrzanemu, by dowieść prawdy. Albo historię jednego z wasalów, który zbuntował się przeciw sułtanowi. Jego dzieciom, przetrzymywanym na dworze Mehmeda, „miłościwie”, bo przecież mogli zabić, wydłubano oczy. Aż mimowolnie przychodzi mi na myśl anegdota o dobrym wujciu Leninie).

Nagle Wład machnął ręką. Moneta - dokładnie ta sama, której wtedy użył - wyleciała w powietrze i spadła prosto na moją dłoń.

Gapiłem się na Drakulę ze zdziwioną miną.

- Weź to na pamiątkę - mruknął.

- Dzięk... dziękuję - udało mi się wyjąkać.

Tym niemniej moje pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Ciekawe, jaki to nominał? Zdaje się, że na Wołoszczyźnie narodową walutą był denar czy talar. Spojrzałem na rewers i osłupiałem. Ze źle oszlifowanej powierzchni spoglądał na mnie jeszcze jeden ptak z krzyżem w dziobie.

Nagle usłyszałem śmiech.

- Trzeba się zdawać na ślepy los, ale czasem należy mu dopomóc.

Potem Drakula rozpląnął się w powietrzu. Tym razem chyba na dobre.

- Jednej rzeczy wciąż nie rozumiem - powiedział zamyślony Wowka. - Jeżeli Radu w czasie tej wielkiej bitwy został wampirem, to kto władał Wołoszczyzną po Palowniku? Czytałem nawet, że jakiś tam król Mołdawii wziął sobie za żonę córkę Radu Pięknego.

Albo mi się wydawało, albo usłyszałem niesiony wiatrem śmiech, a potem słowa: „Czy to nie u was pojawili się kiedyś Dymitrowie Samozwańcy?”.

* * *

Po pięciu minutach dotarliśmy na przystanek i wsadziliśmy Anię do spóźnionego autobusu. (Dziewczyna z wdzięczności cmoknęła mnie w policzek. Zdaje się, że moje policzki zapłonęły, bo Wowka zaczął nieprzyzwoicie rzeć). Już z autobusu Ania krzyknęła, że pomoc Wowki nie będzie jej potrzebna, skoro zdobyła tak dużo materiału. Ruszyliśmy do domu. Ja do siebie, Wowka do siebie (mam nadzieję).

Gdy tylko wszedłem do mieszkania, nakarmiłem wygłodzone kundły, wyprowadziłem je na spacer, a potem wpakowałem się do łóżka. Zagroziłem Kiciusiowi i Mruczusiowi, że jeżeli usłyszę choćby jedno miauknięcie, tfu, szczeknięcie, to uduszę je gołymi rękoma. Ciao-ciao zrobiły rozsądne miny na znak, że zrozumiały.

Koniec! Teraz śpię. Nie budzić, nie ruszać, w razie pożaru wynieść z łóżkiem.

Dziki pisk dzwonka u drzwi wyrwał mnie z krainy sennych marzeń. Podskoczyłem i rozejrzałem się w panice. Za oknem ciemno. Wyciągnąłem rękę po komórkę, która wypadła z kieszeni koszuli. Jeśli dać wiarę temu, co zobaczyłem na wyświetlaczu, była niedziela, godzina trzecia trzydzieści nad ranem. Co za baran? Dobra, nie warto pytać i tak wszystko jasne.

Prawie za uszy podniosłem obolałe ciało, poczłapałem do przedpokoju i spojrzałem w wizjer. Przeczucie mnie nie myliło - przyłazł Wowka. Czego on znowu chce?! Dopiero co się położyłem!

Otworzyłem drzwi.

- Cześć, Andriej! - radośnie przywitało mnie to dziwactwo, chuchając na mnie świeżym alkoholem.

I kiedy on zdążył się napić? Chociaż, dużo to trzeba?

- Cześć - odpowiedziałem zaspanym głosem. - Co się stało?

- Andriej, dasz wiarę?! Z Irką się pogodziłem! Zadzwoiłem do niej, porozmawiałem i wszystko mi wybaczyła! - Sennym głosem: - *Halo? Tak... Wowa?! Tak, Wowka, jestem niezmiernie szczęśliwa, że się wreszcie namyśliłeś. Tak, Wowka, wybaczam ci. Tak, Wowka, jesteśmy pogodzeni. Ale jeżeli jeszcze raz*

*zadzwonisz do mnie o trzeciej nad ranem, TO CIĘ WŁASNORĘCZNIE UDUSZĘ, BARANIE
JEDEN!*

- Aha, wybaczyła. - Ziewnąłem. - Wowa, naprawdę się cieszę z twojego szczęścia, ale po co do mnie przyszedłeś? Przecież za oknami jest ciemna noc.

- No... - Mój drogi kolega potrząsnął zawartością ogromnego nylonowego worka.

- Przecież musimy to uczcić!

Roześmiałem się.

- Wiesz, Wowa, ja na najbliższy miesiąc mam dość.

EPILOG

Długo spacerowali po uśpionym mieście. Nabrzeże o północy wyglądało jak szeroki bulwar spleciony z wielu dróg. Ciemny park rozpostarł gałęzie, rzucając cienie na przedziwnych gości. A oni wciąż szli. Wysoki młodzieniec w ciemnym, średniowiecznym stroju, jakby przed chwilą opuścił stronice historycznej powieści i drobna dziewczyna w zielonej wieczorowej sukni.

Promienie słońca purpurową łuną rozświetliły horyzont ukryty za wysokimi domami. Pierwsze krople deszczu wybijały na asfalcie przypadkowy rytm. Miasto budziło się ze snu.

Dziewczyna mocno ścisnęła dłoń męża, jakby się bała, że za chwilę ją opuści niczym sen, który przychodzi nad ranem. Zadzierła wysoko głowę, by poczuć na twarzy ciepło promieni słonecznych, nie palących, lecz delikatnych i przyjemnych.

A ciekące po policzkach krople były rzecz jasna kroplami deszczu. Lekko słonymi w smaku.